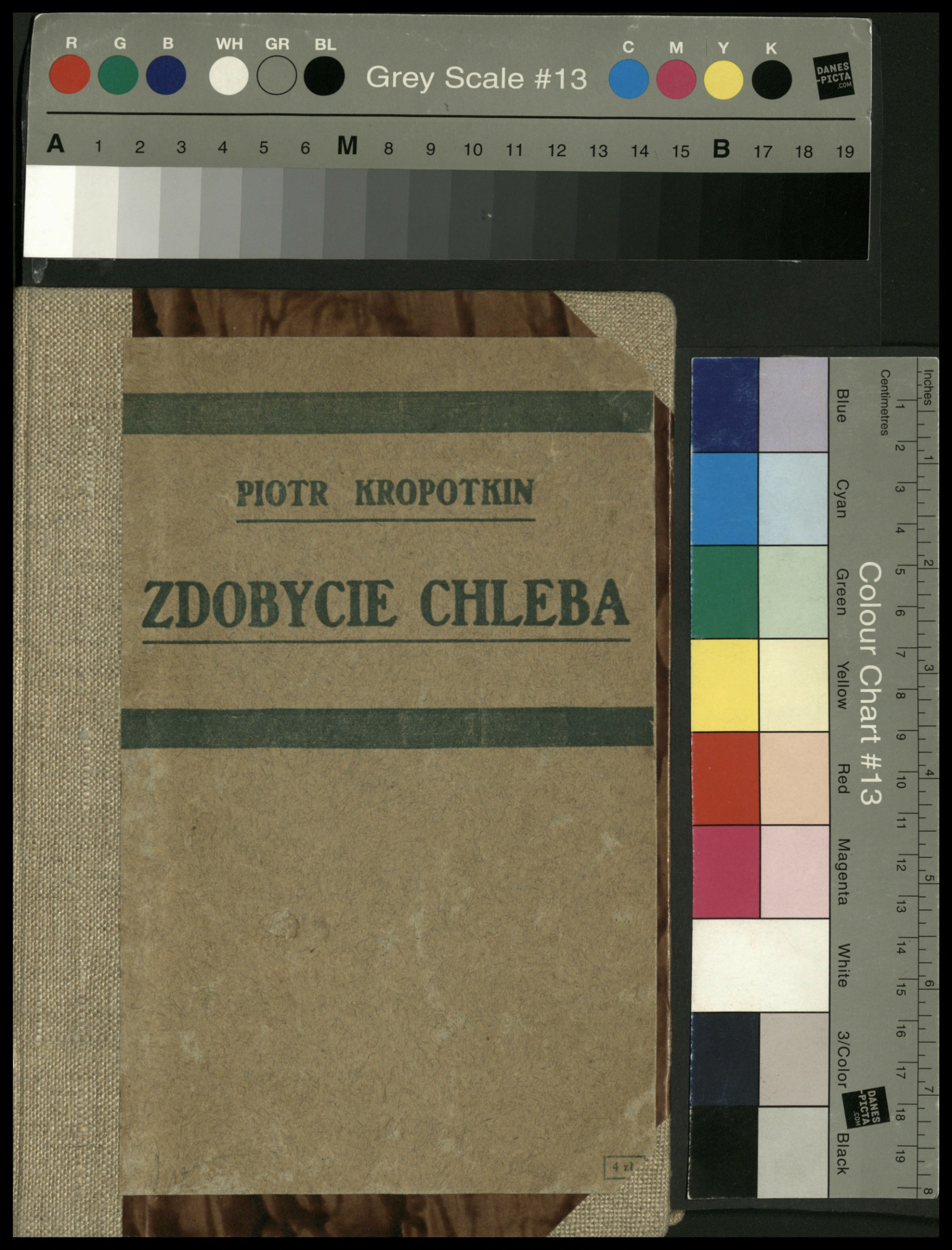

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
PIOTR KROPOTKIN
ZDOBYCIE CHLEBA
4 zł

PIOTR KROPOTKIN

ZDOBYCIE CHLEBA

4 zł

PIOTR KROPOTKIN

ZDOBYCIE CHLEBA

K. C. P. Z. P. R.
BIBLIOTEKA
No 66

Wyd. II-gie podług XIV-go wydania oryginału

pod redakcją i z przedmową

EDWARDA GODWINA.

K.C. P.P.R.
BIBLIOTEKA
3K
K84
P-

NA SKŁADZIE W KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO. KRAKÓW — BRACKA 2
WARSZAWA — AL. JEROZOLIMSKIE 24.
1925.

3K9 : 33(09)

ODBITO W DRUKARNI
R. OLESIŃSKI, W. MERKEL I S-KA
WARSZAWA, ul. CHŁODNA Nr. 37
TELEFON Nr. 69-46

KC PZPR
BIBLIOTEKA

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
57486/2
im. F. Dzierżyńskiego

PRZEDMOWA
do II-go wydania polskiego.

Z licznych prac Piotra Kropotkina „Zdobycie Chleba" cieszy się bodaj największą popularnością śród zwolenników socjalizmu bezpaństwowego. Przemawiając nietylko do rozumu, ale poruszając równocześnie sumienie i rozżarzając uczucia, książka ta, jak żadna inna, podnosi czytelnika na duchu. Przekonywa, na podstawie danych objektywnych, że, będące dziś w rozporządzeniu możliwości techniczne, przy rozumnem ich użytkowaniu oraz przy wyzwoleniu się od wielu zakorzenionych przesądów ekonomicznych — wystarczyłyby w zupełności, by wszystkim zapewnić warunki bytu, godne człowieka.

Hańbą dzisiejszej cywilizacji jest to właśnie, że dzieje się inaczej, że ogromna większość ludzi, przytłoczona nadmierną, a tak często bezsensowną i szkodliwą pracą, cierpiąc niedostatek lub nędzę — nie ma możności ducho wego rozwoju, spełnia do dziś poniżającą rolę środka dla celów garstki uprzywilejowanych.

Zdumiewające triumfy umysłu ludzkiego w innych dziedzinach — aeronautyki czy radjotechniki — hańbę tę tylko pogłębiają.

Niezłomna wiara Kropotkina w instynkt społeczny i twórczość społeczną mas ludowych, tłumiona przez obecny ustrój — wiara, będąca źródłem Jego optymizmu — stanowi wybitną cechę „Zdobycia Chleba", a zarazem jest jednym z rysów zasadniczych, wyróżniających światopogląd anarchistyczny z pośród wszystkich innych szkół socjalistycznych. Ta wiara Kropotkina ma poniekąd podstawy realne — jest wynikiem gruntownych studjów, które przeprowadził nad ewolucją ludzkości, a które wzbogaciły literaturę społeczną szeregiem prac wybitnych.

Zdawaćby sie mogło na pierwszy rzut oka, że światowe doświadczenia powojenne optymizmowi temu zadają cios śmiertelny. A jednak głębsze zapoznanie się z faktami, jak to uczynił np. A. Berkman w stosunku do Rosji, wskazuje, że wszystko, co się stało, potwierdza pogląd Kropotkina na bezsilność jakichkolwiek rządów w dziele odrodzenia społecznego.

Czy potrzeba dodawać, że komunizm anarchistyczny Kropotkina nie ma żadnych punktów stycznych z rzekomym „komunizmem" bolszewickim, będącym skrajnym wyrazem idei państwa i dyktatury. „Uczymy się w Rosji, powiada Kropotkin w liście do robotników Zachodu z r. 1919, — w jaki sposób komunizm nie powinien być wprowadzany nawet w kraju, gdzie ludność jest przemęczona dawnemi stosunkami i nie przeciwstawia żadnego czynnego oporu eksperymentom nowych rządów".

Kropotkin bynajmniej nie bagatelizuje ogromu niezbędnych wysiłków i wypowiada na ten temat niejedną myśl głęboką, zwłaszcza w swej niezmiernie ciekawej autobiografji. Troska o to nie opuszcza go do końca. „Pozostaje kolosalna praca do spełnienia dla rewolucji w Rosji i na całym świecie" — są, jak powiadają — ostatnie Jego słowa na łożu śmierci.

Można mieć wątpliwości, czy optymizm Kropotkina nie jest przesadzony, gdyż masy ludowe, przynajmniej w pewnych momentach dziejów, cechuje jednak bierność, a przeciętna jednostka nie jest wolna od żądzy władzy i despotyzmu, przejawiającej się we wszystkich stosunkach z ludźmi: w rodzinie, przy pracy, w stowarzyszeniach. Atoli każdy przyznać musi, że, głosząc konieczność zharmonizowania rolnictwa z przemysłem, pracy ręcznej z pracą umysłową, przeciwstawiając utartym poglądom o dobrodziejstwach centralizacji przemysłu i podziału pracy — hasło decentralizacji i integracji pracy— Kropotkin otwiera nowe rozległe perspektywy społeczne.

Myśli te, rzucone w „Zdobyciu Chleba", zostały szerzej rozwinięte w innej pracy Kropotkina [1]), o której Rudolf Rocker jeden z teoretyków spółczesnego anarcho-syndykalizmu, słusznie powiada, że cała literatura socjalistyczna ostatnich lat trzydziestu nie wydała dzieła bardziej doniosłego.

„Zdobycie Chleba" powstało w końcu XIX stulecia, z artykułów, pomieszczonych w piśmie „Le Revolté" — „Zbuntowany". Oryginał wszedł dotychczas w 14-tu wydaniach, lecz niestety Autor nie miał możności gruntownie uzupełnić ostatnich wydań nowemi danemi. Dlatego na pierwszy rzut oka książka czyni, być może, wrażenie przestarzałej, nieaktualnej. Jasnem jest wszakże, że idea przewodnia tego dzieła żywotności swej dotąd nie straciła — w ostatnich latach kilkudziesięciu ludzkość niestety nie postąpiła się wyraźnie w kierunku urzeczywistnienia tych postulatów. Co się tyczy danych, dotyczących produkcyjności pracy w przemyśle i rolnictwie, to stają się one bardziej jeszcze wymowne przez to, że odnoszą się do okresu wcześniejszego. Natomiast niektóre tezy Kropotkina, co do tendencji decentralizacji przemysłowej, bankructwa zasady podziału pracy pomiędzy narodami — należałoby poprzeć faktami spółczesnego rozwoju. Zamierzamy uzupełnienia te wprowadzić do następnego wydania i wdzięczni będziemy za wszelką pomoc, jaką, rozsiani po świecie, nasi przyjaciele zechcą okazać nam w tym względzie.

Pierwsze wydanie polskie „Zdobycie Chleba" z r. 1904, ze względu na cenzurę rosyjską, wyszło we Lwowie w przekładzie Pawła Zaorskiego, nakładem Polskiego Towarzystwa Nakładowego z funduszu wyd. im. R. Gieysztora i bardzo szybko zostało zupełnie wyczerpane. Wydanie obecne jest uzgodnione z XIV-tem wydaniem oryginału francuskiego z r. 1921.

EDWARD GODWIN

Warszawa, w kwietniu 1925 r.

[1]) „Fields, Factories and Workshops". London 1912. New revised, and enlarged edition. Str. 477.

I. NASZE BOGACTWA.

Ludzkość odbiegła daleko od owej epoki zamierzchłej, w której człowiek, przy pomocy niezdarnych narzędzi, czerpał środki do życia z przypadkowych zdobyczy myśliwstwa i potomkom swym pozostawiał, jako jedyne dziedzictwo — schronisko w grocie skalnej, liche narzędzia z krzemienia i... Przyrodę, niezmierzoną, nieznaną, okrutną Przyrodę, z którą trzeba było prowadzić twardą walkę o nędzny byt.

W ciągu tego okresu pełnego niepokojów, trwającego tysiące i setki tysięcy lat, rodzaj ludzki zdołał jednak nagromadzić niesłychane skarby. Wykarczował olbrzymie przestrzenie, osuszył bagna, poprzecinał puszcze leśne, przeprowadził drogi, budował, robił wynalazki i spostrzeżenia, uczył się, stworzył narzędzia skomplikowane, wydarł Przyrodzie jej tajemnice, ujarzmił parę wodną; tak dalece, że dziś człowiek cywilizowany, przychodząc na świat, ma na swe usługi ogromny zasób bogactw, nagromadzonych przez pokolenia poprzednie. Pozwala mu to stwarzać pracą własną, nowe bogactwa, o jakich nie marzyła nawet wyobraźnia Wschodu w bajkach z „Tysiąca jednej nocy".

Powierzchnia ziemi, częściowo wykarczowana, oczekuje tylko pracy inteligentnej i doborowego ziarna, by pokryć się plonem bujnym, przewyższającym potrzeby całej ludzkości. Technika i środki uprawy są zbadane.

Na dziewiczych łanach stepów amerykańskich, stu ludzi przy pomocy potężnych maszyn, produkuje w ciągu paru miesięcy tyle zboża, ile potrzeba dla dziesięciu tysięcy na przeciąg roku. Gdzie chodzi o podwojenie, potrojenie lub o stokrotne pomnożenie zbiorów, tam człowiek sam **stwarza** glebę, pielęgnuje odpowiednio każdą roślinę i otrzymuje bajeczne plony. I podczas, gdy pierwotny myśliwy potrzebował dla wyżywienia

swej rodziny, conajmniej stu kilometrów kwadratowych ziemi, dziś człowiek cywilizowany, nieskończenie mniejszym trudem i z większą pewnością, zapewnia utrzymanie dla swej rodziny z uprawy roślin na powierzchni dziesięć tysięcy razy mniejszej.

Klimat nie stanowi już dzisiaj przeszkody. Brak słońca człowiek zastępuje ciepłem sztucznem, zanim wynajdzie także odpowiednie sztuczne światło, dla przyspieszania rozwoju roślin. Przy pomocy szkła i rur z ciepłą wodą zbiera plon dziesięciokrotny, w porównaniu do tego, jaki otrzymywał dawniej na tej samej przestrzeni.

Cuda, dokonane w przemyśle, są jeszcze bardziej uderzające. Przy pomocy tych mądrych istot — maszyn spółczesnych — owocu pracy, trzech lub czterech pokoleń, przeważnie nieznanych, wynalazców — stu robotników wytwarza tkaniny, potrzebne na odzież dla dziesięciu tysięcy ludzi w ciągu dwóch lat. W dobrze urządzonej kopalni węgla stu górników wydobywa opał dostateczny dla dziesięciu tysięcy rodzin w surowym klimacie.

I jakkolwiek, zarówno w przemyśle, rolnictwie, jak wogóle w całokształcie organizacji spółczesnej, z pracy naszych przodków korzysta w całej pełni niewielka garstka ludzi, tem niemniej jednak twierdzić możemy, że już dziś ludzkość, posługując się nawet temi tylko maszynami, które posiada, mogłaby zapewnić wszystkim życie dostatnie, a nawet zbytkowne.

Tak, w istocie jesteśmy bogaci, nieskończenie bardziej, niż przypuszczamy: bogaci, dzięki temu, co już posiadamy, a bardziej jeszcze ze względu na to, co stworzyć możemy przy pomocy istniejących środków produkcji, nieskończenie zaś bogaci przez możność tego, co da się otrzymać z ziemi, z fabryk, z wiedzy i umiejętności technicznych, gdy cała produkcja zostanie skierowana dla zapewnienia dobrobytu powszechnego.

Czemuż, skoro społeczeństwa cywilizowane są tak bogate, spotyka się tyle nędzy naokoło? Po co ta ciężka, ogłupiająca praca mas ludzkich? Skąd ta niepewność jutra, trapiąca robotnika, najlepiej nawet uposażonego? A wszystko to pośród niezliczonych bogactw, odziedziczonych po przeszłości

i w obliczu potężnych sił wytwórczych, które mogą dać dobrobyt wszystkim wzamian za kilkugodzinną pracę dzienną.

Odpowiedź na to pytanie dali socjaliści. Odpowiedź tę powtarzają codziennie, popierając ją argumentami, zaczerpniętemi ze wszystkich dziedzin wiedzy. Dzieje się tak dlatego, bo wszystko, co jest niezbędne dla produkcji: ziemia, bogactwa mineralne, narzędzia i maszyny, środki komunikacji, żywność, mieszkania, wykształcenie, wiedza, wszystko zostało zagarnięte przez jednostki w ciągu tych długich dziejów łupiestwa, wędrówek ludów, wojen, ciemnoty i ucisku, które przeżyła ludzkość, zanim nauczyła się ujarzmiać siły przyrody.

Dzieje się tak dlatego, że korzystając z domniemanych praw, nabytych w przeszłości, jednostki te przywłaszczają sobie dwie trzecie produktu pracy ludzkiej, które trwonią w sposób nierozumny, gorszący; dlatego, że, pozbawiwszy masy środków istnienia, dopuszczają człowieka do pracy tylko pod warunkiem, że lwią część plonu swej pracy im oddawać będzie; przytem nie dają mu wytwarzać tego, co jest mu potrzebne lub byłoby pożyteczne dla innych, lecz to, co zapewnia właścicielowi największe zyski!

W odpowiedzi powyższej streszcza się cały socjalizm.

Istotnie, spójrzmy na którykolwiek kraj cywilizowany. Lasy, które go ongiś pokrywały zostały przetrzebione, bagna— osuszone, klimat — uzdrowiony: dogodne to miejsce dla siedzib ludzkich. Gleba, rodząca dawniej jeno dzikie zielska, dziś wydaje bogate plony. Urwiska skalne, zwisające nad dolinami południa, pocięto w tarasy, na których wspina się krzew winny, o złocistych gronach. Rośliny dzikie, dające niegdyś owoc cierpki, lub korzeń niejadalny, zostały przekształcone przez umiejętną uprawę w jarzyny soczyste, w drzewa, dające owoc doskonały.

Tysiące dróg bitych i żelaznych krzyżują się na powierzchni ziemi, lokomotywa gwiżdże w dzikich wąwozach Alp, Kaukazu i Himalajów. Rzeki uczyniono spławnemi; brzegi zgruntowane i uregulowane starannie, ułatwiają dostęp statkom; sztuczne porty z wielkim trudem wznoszone i zabezpieczone od burz, dają schronienie okrętom. W skałach, przewiercono głębokie tunele, całe labirynty korytarzy podziemnych ciągną się na wielokilometrowych przestrzeniach tam, gdzie znajdują się złoża węgla kamiennego, lub rud mineralnych. Na

wszystkich skrzyżowaniach dróg, powstały ogromne miasta, a w ich murach kryją się wszelkie skarby przemysłu, wiedzy i sztuki.

Całe pokolenia ludzi, zrodzonych i zmarłych w nędzy, uciskanych i poniewieranych przez swych panów, upadających pod brzemieniem pracy, przekazały naszym czasom to olbrzymie dziedzictwo.

Przez tysiące lat miljony ludzi pracowały nad trzebieniem puszczy leśnych, osuszaniem bagnisk, torowaniem dróg, otamowywaniem rzek. Każda piędź ziemi, którą uprawiamy w Europie, przepojona jest potem paru ras ludzkich, każda droga ma swoją historję świadczeń pańszczyźnianych, pracy ponad siły i cierpień. Każdy kilometr kolei żelaznej, każdy metr tunelu pochłonęły należną im daninę krwi ludzkiej.

W kopalniach zachowały się na ścianach do dziś jeszcze wyraźne ślady zaciosów, które ręka pioniera żłobiła w opoce. A w korytarzach podziemnych, ile jest słupów, wspierających sklepienia, tyle możnaby postawić nagrobków dla górników, zabitych w sile wieku przez gazy trujące, usuwanie się ziemi, lub zalew wody; a wiemy dobrze, ile każda taka mogiła kosztuje nędzy, niedoli i łez rodzinę, która żyła z lichego zarobku, pogrzebanego pod gruzami, człowieka.

Miasta dzisiejsze, powiązane ze sobą siecią kolei żelaznych i dróg wodnych, są to organizmy, liczące setki lat istnienia. Sprobujcie kopać grunt, na którym stoją, a znajdziecie uwarstwione jedne na drugich fundamenty ulic, domów, teatrów, gmachów publicznych. Zapoznajcie się bliżej z ich dziejami, a dowiecie się jak, dzięki spółdziałaniu mieszkańców, zwolna dźwigały się, rozwijały i rosły, zanim dosięgnęły stanu obecnego.

I dziś jeszcze wartość każdego domu, każdej fabryki, każdego sklepu: pochodzi z nagromadzonej pracy miljonów pracowników, spoczywających snem wiecznym, utrzymuje się zaś jedynie dzięki wysiłkom zastępów ludzi, zamieszkujących dany punkt globu. Każdy atom tego, co nazywamy bogactwem narodu, nabiera wartości jedynie przez fakt, że stanowi cząstkę składową tej olbrzymiej całości. Bo i czemże byłyby np. doki londyńskie lub wielkie magazyny Paryża, gdyby nie znajdowały się w wielkich ogniskach handlu wszechświatowego? Czem

byłyby kopalnie, fabryki, warsztaty okrętowe i drogi żelazne bez tej masy towarów, przewożonych codziennie lądem i morzem?

Miljony istot ludzkich pracowały, by stworzyć całą tę cywilizację, z której dziś tak jesteśmy dumni. Inne miljony, rozsiane po wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, pracują nad jej utrzymaniem. Bez nich w ciągu lat pięćdziesięciu z cywilizacji naszej pozostałyby gruzy.

Wszystko, nawet myśl, nawet wynalazek, jest faktem zbiorowym, zrodzonym z przeszłości i teraźniejszości. Tysiące wynalazców, znanych lub nieznanych, z których nie jeden umarł w nędzy, przygotowywali grunt dla wynalezienia każdej z tych maszyn, będących świadectwem genjuszu ludzkiego. Tysiące pisarzy, poetów, uczonych pracowało nad budową gmachu wiedzy, nad prostowaniem błędów, tworzeniem tej atmosfery myśli naukowej, bez której żaden z cudów naszego wieku nie mógłby się ujawnić. Ale czyż i te zastępy poetów, filozofów, uczonych, wynalazców nie korzystały z prac wieków ubiegłych? Czy przez całe swe życie nie byli żywieni i wspierani, zarówno fizycznie, jak i moralnie — przez rzesze rękodzielników i robotników wszelkich zawodów? Czy nie czerpali natchnienia i zapału ze swego środowiska?

Zapewne genjusz takiego Seguina[1]), Mayera[2]) lub Grove'go[3]) przyczynił się bardziej do pchnięcia przemysłu na nowe

---

1) **Marek Seguin** (1876 — 1873), samouk, który zdobył początki wiedzy technicznej w przędzalni swego ojca, później słynny inżynier wynalazca. Wsławił się ulepszeniem kotła parowego w parowozie przez wprowadzenie rur, które zwiększyły powierzchnię ogrzewania i umożliwiły szybkie wytwarzanie pary (1829). W nauce znany jako jeden z ojców teorji o równoważności ruchu i ciepła (1839), którą sformował na podstawie spostrzeżeń nad pracą pary wodnej w lokomotywie (ilość zużytego ciepła odpowiada ilości wykonanej pracy mechanicznej).

2) **Robert Juljan Mayer** ogłosił w roku 1842 rozprawę pod tytułem: „Uwagi nad siłami przyrody martwej", w której z doświadczeń nad rozszerzaniem się gazów wyprowadził wniosek, że pomiędzy ilością wykonanej pracy mechanicznej, a ilością zużytego ciepła zachodzi stosunek równoważności. Wniosek ten, stwierdzony na wszystkich polach wiedzy przyrodniczej, stał się podwaliną nauki o zachowaniu energji.

3) **Wiliam Robert Grove,** fizyk angielski, z zawodu prawnik, należał do rzędu badaczów, którzy w drugiej połowie XIX wieku siły przyrody jak ruch, ciepło, światło usiłowali sprowadzić do spólnego mianownika, tym sposobem przygotowali grunt, na którym rozwinęła się nowożytna wiedza fizyczno-chemiczna.

tory, niż wszyscy kapitaliści świata, razem wzięci. Ale również i ci genjusze są dziećmi — nietylko nauki, ale i przemysłu. Albowiem potrzeba było, aby przez długie lata tysiące maszyn parowych przekształcały w oczach wszystkich ciepło w pracę mechaniczną, tę zaś w dźwięk, światło i elektryczność, zanim te umysły wybrane nie ogłosiły światu teorji o jedności sił fizycznych. I jeżeli następnie ludzie XIX stulecia zrozumieli tę ideę i potrafili ję zastosować praktycznie, to tylko dzięki temu, że doświadczenie codzienne ich do tego przygotowało. Już myślicieli osiemnastego wieku przewidzieli i zapowiadali tę teorję, ale pozostała niezrozumiana, ponieważ wiek ów nie wzrastał przy huku maszyn parowych.

Pomyślmy, jak długo trwałaby jeszcze nieznajomość prawa o zachowaniu energji, które zrewolucjonizowało cały przemysł spółczesny, gdyby Watt nie był znalazł w miasteczku angielskim, Soho, pracowników, zdolnych do wykonania w metalu jego pomysłów teoretycznych. Oni to udoskonalili wszystkie części nowej maszyny i dopięli tego, że para, uwięziona w doskonale zbudowanym mechanizmie — okazała się uleglejszą od konia, dogodniejszą w użyciu od siły spadku wody, słowem, stała się duszą przemysłu spółczesnego.

Każda maszyna posiada podobną historję: szereg nocy bezsennych, walk z nędzą, rozczarowań i uniesień, ulepszeń częściowych, dokonywanych przez kilka pokoleń bezimiennych pracowników, którzy dodawali do pierwotnego wynalazku jakieś nieznaczne szczególiki, bez czego jednak najbardziej płodna idea pozostałaby jałową. Można nawet powiedzieć, że każdy nowy wynalazek jest pewnego rodzaju syntezą, wynikiem tysiąca innych wynalazków, dokonanych poprzednio na niezmierzonem polu mechaniki i przemysłu.

Wiedza i przemysł, teorja i praktyka, wynalazki i ich zastosowania, wiodące do nowych wynalazków, praca umysłowa i praca fizyczna, myśli i dzieła rąk — wszystko to wiąże się ściśle ze sobą, Każde odkrycie, każdy postęp, każde pomnożenie skarbów ludzkości wiedzie swój początek ze zjednoczonych wysiłków pracy ręcznej i umysłowej przeszłości i teraźniejszości.

A więc jakiem prawem może ktoś przywłaszczyć dla siebie bodaj najmniejszą cząstkę tej nieobjętej całości i rzec: „To należy do mnie, nie do was".

Atoli w ciągu długiego szeregu stuleci, które przeżyła ludzkość, wszystko to, co służy człowiekowi do wytwarzania i powiększania sił wytwórczych zostało przywłaszczone przez jednostki. Kiedyś opowiemy, być może, w jaki sposób się to stało. Obecnie chodzi nam tylko o stwierdzenie samego faktu i o zanalizowanie jego skutków.

Dzisiaj ziemia, zawdzięczająca swą wartość właśnie potrzebom wciąż wzrastającej ludności, jest w posiadaniu nieznacznej mniejszości, która może nie dopuszczać i rzeczywiście nie dopuszcza reszty ludności do ziemi, lub też nie daje ją uprawiać zgodnie z potrzebami spółczesnemi. Kopalnie, które są owocem pracy paru pokoleń i których wartość pochodzi także od potrzeb przemysłu i gęstości zaludnienia, również są własnością prywatną. A skutkiem tego ogranicza się ilość wydobywanego węgla, lub całkiem zawiesza działalność kopalń, o ile jej właściciel znalazł dla swych kapitałów lokatę korzystniejszą. Narzędzia pracy znajdują się również w rękach niewielu posiadaczy. Nawet maszyna, nosząca najoczywistsze ślady ulepszeń, dokonywanych na jej pierwowzorze przez trzy pokolenia pracowników, nawet taka maszyna należy do jakiegoś przedsiębiorcy. I gdyby wnukowie wynalazcy, który przed stu laty zbudował pierwszą maszynę koronkarską, zjawili się dziś w którejkolwiek z fabryk Bazylei lub Nottinghamu i upomnieli się o swe prawa, przyjętoby ich okrzykiem: „Idźcie precz! ta maszyna należy nie do was!" Rozstrzelanoby ich, gdyby chcieli wejść w jej posiadanie.

Koleje żelazne, któreby były tylko żelastwem bezużytecznem bez gęstego zaludnienia Europy i bez przemysłu i handlu, należą do garstki akcjonarjuszów, niewiedzących może nawet, gdzie znajdują się te linje, dające im zyski większe od dochodów, jakie mieli królowie średniowieczni. A gdyby dzieci tych, którzy ginęli tysiącami wznosząc nasypy i budując tunele, przyszły tłumnie, zgłodniałe i w łachmanach, upomnieć się o chleb u akcjonarjuszów —to powitałyby je bagnety i armaty, stojące na straży praw zdobytych.

Dzięki takiej potwornej organizacji społecznej, syn robotnika, gdy wchodzi w życie, nie znajdzie ani piędzi ziemi, którą mógłby uprawiać, ani jednej maszyny, którąby mógł pu-

ścić w ruch, ani jednej kopalni, w którejby mógł pracować, jeśli nie zgodzi się oddawać lwiej części plonu swej pracy jakiemuś panu. Musi sprzedawać swe siły pracy za utrzymanie liche i niepewne. Ojciec jego i dziad pracowali nad użyźnieniem tego pola, nad budową fabryki, nad udoskonaleniem maszyny. Sterali w pracy wszystkie swe siły, a cóż nadto człowiek dać jest w stanie? Lecz on, ich potomek, przyszedł na świat uboższy, niż człowiek dzikiego plemienia. Jeżeli pozwolą mu uprawiać ziemię, to jedynie pod warunkiem, że czwartą część plonu swej pracy odda właścicielowi ziemi, a drugie tyle państwu i pośrednikom. Przyczem danina ta, którą pobiera od niego państwo, kapitalista, obszarnik i pośrednik, stale wzrasta i rzadko kiedy pozwala mu wprowadzić do własnego gospodarstwa jakiekolwiek ulepszenie. Jeżeli oddaje się pracy przemysłowej, to pozwolą mu pracować — i to zresztą nie zawsze — pod warunkiem, że otrzymywać będzie zaledwie trzecią część lub połowę plonu swej pracy, reszta zaś dostanie się temu, kto uznany jest przez prawo jako właściciel narzędzi pracy.

Oburzamy się na barona feodalnego, który zabierał rolnikowi czwartą część jego zbiorów. Nazywamy czasy te epoką barbarzyństwa. Jeżeli jednak formy zmieniły się, to treść stosunków ludzkich pozostała ta sama. Pod nazwą wolnej umowy robotnik przyjmuje jeszcze i dziś zobowiązania feodalne. Wobec tego, że wszystko jest czyjąś własnością, musi on ulec, lub zginąć z głodu!

Wynikiem takiego porządku rzeczy jest fakt, że cała nasza produkcja skierowana jest jakby na opak. Przedsiębiorca głuchy jest na potrzeby społeczeństwa: jego jedynym celem jest zwiększenie własnych zysków. Stąd bezustanne wstrząśnienia przemysłowe, przesilenia, które przechodzą w stan chroniczny, a z których każde wyrzuca na bruk setki tysięcy robotników.

Ponieważ robotnicy za swą nędzną płacę nie są w stanie nabywać bogactw, które wytworzyli, przemysł szukać musi rynków zbytu daleko poza granicami kraju, wśród warstw posiadających innych narodów. Na Wschodzie, w Afryce, mniejsza o to gdzie, w Egipcie, w Tonkinie, Kongo, — europejczyk zmuszony jest w obecnych warunkach szukać odbiorców od siebie uzależnionych. Wszędzie jednak napotyka spółzawodników, ponieważ wszystkie narody rozwijają się w tym kierun-

ku. Stąd wojny, wojny bez końca, o pierwszeństwo na rynkach wszechświatowych, wojny o posiadłości na Wschodzie, wojny o panowanie na morzu, wojny celne, wojny przeciw tym, co się buntują! Huk armat nie ustaje, pokolenia całe są masakrowane, państwa europejskie poświęcają na zbrojenia trzecią część swych budżetów, a wiemy dobrze, czem są podatki dla warstw ubogich.

Wykształcenie pozostaje przywilejem nieznacznej mniejszości. Bo czyż można mówić o wykształceniu, jeżeli dziecko robotnika zmuszone bywa w trzynastym roku życia pracować w kopalni, lub pomagać ojcu w pracy na roli. Czyż można mówić o nauce robotnikowi, który wraca wieczorem do domu zmordowany całodzienną ciężką, a prawie zawsze ogłupiającą, pracą. Społeczeństwa rozpadają się na dwa wrogie obozy, a w tych warunkach wolność staje się czczem słowem. Radykalny liberał domaga się rozszerzenia swobód politycznych, lecz, przekonawszy się rychło, iż podmuchy wolności budzą klasę robotniczą do życia czynnego — zmienia przekonania, zwraca się do praw wyjątkowych i do rządu pięści.

Dla obrony przywilejów potrzeba utrzymywać olbrzymi aparat sądów, więzień, żandarmów, dozorców i katów. Aparat ten sam staje się źródłem całego systemu szpiegostwa, oszustw, zepsucia i przekupstw.

Nadto system ten tamuje rozwój uczuć społecznych. Każdy rozumie, że bez prawości, poczucia godności osobistej, bez sympatji i pomocy wzajemnej rodzaj ludzki musi zginąć tak, jak zginęły niektóre gatunki zwierząt, żyjące z rabunku. Cechy te wszakże nie są korzystne dla klas panujących, to też wysilają się one, by stworzyć całą, z gruntu fałszywą naukę, której celem jest dowieść, że rzecz ma się przeciwnie.

Mówi się pięknie o potrzebie dzielenia się wszystkiem, co posiadamy, z tymi, którzy nie mają nic. Ale niechby ktoś zechciał wykonywać tę zasadę w praktyce, natychmiast usłyszy ostrzeżenie, że wszystkie te wielkie uczucia dobre są w książkach, w poezji, ale nie w życiu. Przyznajemy, że kłamstwo jest brzydkie i poniżające, atoli całe życie człowieka cywilizowanego staje się wielkiem kłamstwem. Sami przyzwyczajamy się i przyuczamy dzieci nasze do moralności dwulicowej, do obłudy! A gdy mózg nasz nie chce się z tym pogodzić, usypiamy

go sofizmatami. Obłuda i sofistyka stały się drugą naturą człowieka cywilizowanego.

Ale społeczeństwo nie może tak żyć, musi powrócić do prawdy lub zginąć.

* * *

Fakt prywatnego zawłaszczenia bogactw wywiera zatem wpływ na całokształt stosunków społecznych. Pod grozą zagłady społeczeństwa ludzie powrócić muszą do kardynalnych zasad: środki produkcji, będące dziełem zbiorowem ludzkości stać się winny znowu własnością spólną. Przywłaszczanie ich przez jednostki nie jest rzeczą, ani sprawiedliwą, ani pożyteczną. Wszystko należy do wszystkich, ponieważ wszyscy wszystkiego potrzebują, ponieważ wszyscy pracują w miarę swych sił i ponieważ, przy obecnym systemie produkcji, absolutnie niepodobna określić, jaka część się komu należy.

Wszystko należy do wszystkich! Oto niezliczone środki produkcji, które stworzył wiek XIX. Oto miljony niewolników z żelaza — maszyn, które heblują, tną, przędą, tkają, przekształcają materję pierwotną i stwarzają wszelkie cuda naszych czasów. Nikt nie ma prawa przywłaszczyć sobie bodaj jednej z nich i powiedzieć: „Ta maszyna należy do mnie. Za jej używanie będziecie mi płacić daninę od każdej sztuki waszego wyrobu". Podobne bezprawie popełniał pan średniowieczny, gdy mówił do rolników: „to pole, ta łąka należą do mnie. Składać będziecie daninę od każdej zebranej miary zboża, od każdego nagromadzonego stogu siana".

Wszystko należy do wszystkich! I o ile tylko człowiek wykonywuje przypadającą nań cząstkę pracy — to ma prawo korzystania ze wszystkiego, co zostaje stworzone przez wszystkich. I to już zapewni mu dobrobyt.

Dość już tych haseł dwuznacznych, jak „prawo do pracy" lub „każdemu całkowity produkt jego pracy". — Wyznawane przez nas hasło głosi **„prawo do dobrobytu — dobrobyt dla wszystkich".**

II. DOBROBYT DLA WSZYSTKICH.

Dobrobyt dla wszystkich — to nie jest czcze marzenie. Hasło to jest możliwe do urzeczywistnienia, ponieważ przodkowie nasi uczynili pracę niesłychanie wydajną.

Istotnie, wiadomo, że warstwy pracujące, które stanowią zaledwie trzecią część ludności krajów cywilizowanych, wytwarzają już tyle, ile starczyłoby na zapewnienie każdej rodzinie pewnego dobrobytu. Gdyby wszyscy ci, co dzisiaj trwonią owoce cudzej pracy, zmuszeni byli poświęcić swoje wczasy pracy użytecznej, bogactwa nasze wzrosłyby parokrotnie. — Wiemy wreszcie, że, wbrew teorji kapłana nauki mieszczańskiej, Malthusa, siła wytwórcza człowieka wzrasta daleko szybciej, niż przyrost ludności, Im gęstsze zaludnienie danego kraju, tem szybszy jest postęp jego sił wytwórczych.

Istotnie, podczas gdy ludność Anglji wzrosła od 1844 roku o 62%, siła produkcyjna kraju zwiększyła się w stosunku conajmniej dwa razy większym — powiedzmy o 130%. We Francji, gdzie przyrost ludności jest słabszy, rozwój produkcji postępuje jednak bardzo szybko. Pomimo przesilenia, ciążącego nad rolnictwem, pomimo wtrącania się państwa, pomimo podatku krwi, banków, finansów i przemysłu, produkcja zboża w ciągu XIX-go wieku, wzrosła czterokrotnie, a produkcja przemysłowa dziesięćkrotnie. Jeszcze bardziej zdumiewający jest rozwój Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej: pomimo emigracji, a raczej właśnie dzięki temu napływowi robotników z Europy, Stany Zjednoczone dziesięciokrotnie zwiększyły produkcję.

Liczby te dają jeno słabe wyobrażenie o tem, czem mogłaby być nasza produkcja w lepszych warunkach. Dziś, w miarę wzrostu wydajności pracy, liczba próżniaków i pośredników mnoży się w stosunku zatrważającym. Dzieje się zupełnie inaczej, niż przypuszczali dawniejsi socjaliści, którzy sądzili, że kapitał skoncentruje się wkrótce w niewielkiej liczbie rąk i że dość będzie wywłaszczyć kilku miljonerów, aby społeczeństwo mogło objąć w posiadanie ogólne bogactwo. Widzimy obecnie, że odwrotnie ludzi, żyjących z cudzej pracy, jest coraz więcej.

We Francji na 30 mieszkańców nie przypada nawet dzie-

sięciu wytwórców bezpośrednich. Całe bogactwo rolne kraju jest dziełem niespełna 7 miljonów ludzi, a dwie największe gałęzie przemysłu — przemysł górniczy i tkacki — nie liczą więcej nad dwa i pół miljona robotników. A jakaż jest liczba wyzyskiwaczy cudzej pracy! W Anglji, (nie licząc Irlandji i Szkocji) 1.030.000 robotników, mężczyzn, kobiet i dzieci, wytwarza wszystkie tkaniny, nieco więcej niż pół miljona pracuje w kopalniach; niespełna pół miljona trudni się uprawą ziemi—i statystycy muszą dobrze rozdymać liczby, żeby otrzymać w rezultacie swych obliczeń cyfrę 8.000.000 wytwórców, na 26 miljonów ogółu ludności. W rzeczywistości najwyżej 6 — 7 miljonów robotników wytwarza towary, rozsyłane na cztery strony świata. A jak liczni są rentjerzy i pośrednicy, którzy zyskiem, ściąganym ze świata całego, powiększają swój dochód z haraczu, narzuconego spożywcy, zmuszając go do płacenia za towary pięć i dwadzieścia razy więcej, niż otrzymał zań wytwórca?

Niekoniec na tem. Kapitaliści, dzierżąc w swem ręku kapitał, stale zmniejszają produkcję i tamują jej rozwój. Nie mówimy tu o owych beczkach ostryg wrzucanych do morza, dla zapobieżenia temu, by ten przysmak ludzi zamożnych nie stał się pokarmem plebsu; nie mówimy o tysiącach i tysiącach przedmiotów zbytku — tkaninach, pokarmach i t. d. — z któremi postępuje się tak samo jak z ostrygami. Chcemy tylko przypomnieć, jakich sposobów używa się dla ograniczenia produkcji przedmiotów, niezbędnych dla wszystkich.

Całe armje górników nie pragną niczego więcej, jak tylko tego, aby im pozwolono codziennie wydobywać węgiel i wysyłać go tym, którzy drżą z zimna. Bardzo często wszakże zdarza się, że trzecia część tych ludzi, a nawet dwie trzecie zmuszone są pracować nie więcej niż trzy dni w tygodniu, ponieważ właścicielom kopalń chodzi o utrzymanie cen węgla na pewnej wysokości. Tysiące tkaczów nie mają gdzie pracować, podczas gdy ich żony i dzieci chodzą w łachmanach, a trzy czwarte ludności Europy nie posiada porządnego odzienia.

Setki fabryk, tysiące warsztatów stale stoją bezczynnie, drugie tyle zajętych jest tylko przez połowę czasu: a jednocześnie każdy naród cywilizowany posiada zawsze miljonowe zastępy ludzi, daremnie poszukujących pracy.

Miljony ludzi uważałyby za szczęście, gdyby im pozwo-

lono przekształcić pustkowia lub grunta źle uprawne w pola pokryte bujnym plonem. Wystarczyłby rok jeden rozumnej pracy, żeby pięciokrotnie powiększyć wydajność gruntu, który daje dziś z hektara tylko 8 hektolitrów zboża. — Ale ci odważni pionierzy skazani są na bezczynność, gdyż właściciele ziemi, kopalń i fabryk, wolą umieszczać swe kapitały, skradzione społeczeństwu, w pożyczkach tureckich albo egipskich, lub w akcjach kopalni złota w Patagonji, gdzie pracować na nich będą fellachowie egipscy, włosi, wyzuci z ziemi ojczystej i kulisi chińscy!

Jest to świadome i bezpośrednie ograniczanie produkcji; ale obok tego odbywa się jeszcze ograniczanie pośrednie i bezwiedne przez marnowanie pracy ludzkiej na wytwarzanie przedmiotów zgoła nieużytecznych lub mających na celu jedynie zaspokojenie głupiej próżności bogaczów.

Niepodobna nawet obliczyć w cyfrach ogromu strat, wynikających ze zmarnowanej w ten sposób pracy, która mogłaby być użyta na istotne potrzeby produkcji, a przedewszystkiem na wytwarzanie maszyn i narzędzi pracy.

Wystarczy wspomnieć o miljardach, które wydaje Europa na zbrojenia jedynie w celu zdobywania rynków, żeby móc narzucać swe prawa ekonomiczne sąsiadom, a u siebie ułatwić eksploatację pracy ludzkiej; do tego dodać należy miljony, płacone rok rocznie wszelkiego rodzaju urzędnikom, stojącym na straży prawa mniejszości do rządzenia życiem ekonomicznem narodu; miljony tracone na utrzymanie sędziów, więzień, żandarmów, i wogóle całej tej graciarni, zwanej sprawiedliwością, kiedy wiadomo, że dość byłoby ulżyć nędzy wielkich miast, by zbrodniczość zmniejszyła się w znacznym stopniu; wreszcie, miljony użyte na szerzenie, zapomocą prasy, idei szkodliwych, puszczanie pogłosek fałszywych w interesie pewnych partyj, pewnych działaczów politycznych lub pewnych grup wyzyskiwaczy.

Ale to jeszcze nie wszystko. Bo ileż pracy idzie całkiem na marne: na utrzymywanie gawiedzi dworskiej, stajen i psiarni bogaczów, na zaspakajanie światowych zachcianek i zbytkownej rozpusty klas próżniaczych, na zmuszanie spożywcy do nabywania przedmiotów, które zgoła nie są mu potrzebne, lub narzucanie mu lichoty zapomocą reklamy, wreszcie na produkowanie artykułów żywności bezwarunkowo

szkodliwych, lecz korzystnych dla przedsiębiorcy. Suma sił, zmarnowanych w ten sposób, wystarczyłaby do zdwojenia całej produkcji użytecznej lub do zaopatrzenia w maszyny i narzędzia wszystkich fabryk i warsztatów, które niebawem zalałyby wprost kraj wszystkiem tem, czego dziś brakuje dwóm trzecim narodu.

Z powyższego wynika, iż nawet z ogólnej liczby ludzi, zatrudnionych w każdym kraju pracą produkcyjną, conajmniej czwarta część stale zmuszona jest do próżnowania przez 3 — 4 miesiące w ciągu roku, a ponadto praca czwartej części, jeżeli nie połowy służy jedynie próżnej zabawie bogaczów lub wyzyskiwaniu publiczności.

Jeżeli weźniemy pod uwagę z jednej strony szybkość, z jaką narody cywilizowane zwiększają swoją produkcję — z drugiej zaś — granicę, którą bądź pośrednio, bądź bezpośrednio zakreślają produkcji istniejące warunki, to musimy dojść do wniosku, że mniej więcej rozsądna organizacja ekonomiczna pozwoliłaby narodom cywilizowanym w ciągu niewielu lat wytworzyć i nagromadzić takie mnóstwo przedmiotów użytecznych, iż w końcu zmuszone byłyby powiedzieć sobie: „Dosyć! dosyć węgla! dosyć odzieży! Odpocznijmy, opamiętajmy się, pomyślmy nad zrobieniem lepszego użytku ze swoich sił, nad lepszem spożytkowaniem naszych wczasów!"

Nie, dobrobyt dla wszystkich nie jest czczem marzeniem. Mógł nim być wtedy, gdy człowiekowi przy największych wysiłkach udawało się zebrać z hektara zaledwie ośm do dziesięciu hektolitrów zboża — lub kiedy zmuszony był własnoręcznie wytwarzać narzędzia rolnicze i przemysłowe. Ale nie jest to już marzenie, odkąd wynaleziony został motor, mogący, przy zużyciu niewielkiej ilości żelaza i węgla, zastąpić siłę konia, i to konia pojętnego, posłusznego, zdolnego do wprawiania w ruch maszyny najbardziej skomplikowanej.

Atoli na to, by dobrobyt dla wszystkich stał się rzeczywistością, potrzeba, żeby ten olbrzymi kapitał, który tkwi w miastach, domach, polach uprawnych, fabrykach, środkach komunikacji, szkołach, przestał być uważany, za własność prywatną, którą rozporządza dowolnie jakiś właściciel.

Trzeba, żeby te niezliczone środki produkcji, z wielkim mozołem zdobyte i nagromadzone pracą przeszłych pokoleń,

stały się własnością spólną, dającą wszystkim ludziom największe korzyści.

Niezbędne jest w y w ł a s z c z e n i e. Dobrobyt dla wszystkich to cel, wywłaszczenie — to droga wiodąca do tego celu.

Wywłaszczenie, oto problemat, wobec którego postawił nas rozwój dziejowy. Powrót do spólności mienia, który zapewni wszystkim dobrobyt.

Zagadnienie to wszakże nie może być roztrzygnięte na drodze prawodawczej. Zarówno biedak, jak bogacz rozumieją doskonale, że żadne rządy, ani istniejące, ani te, które mogłyby powstać wskutek przewrotu politycznego, nie są w stanie rozwiązać tego zagadnienia. Odczuwaną jest konieczność rewolucji społecznej; wszyscy czują, że rewolucja ta jest bliską, że lada dzień może wybuchnąć.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w umysłach dokonał się przewrót; tłumiony wszakże przez mniejszość t. j. przez klasy posiadające, i nie mogąc przyoblec się w ciało, siłą musi zwalczyć przeszkody i urzeczywistnić się gwałtownie przez rewolucję.

Skąd rewolucja nadejdzie? Jak się objawi? Nikt na te pytania odpowiedzieć nie może. Nie wiemy. Ale ci, co umieją patrzeć i myśleć, nie mylą się: robotnicy i wyzyskiwacze, rewolucjoniści i konserwatyści, myśliciele i profani, wszyscy zarówno czują, że rewolucja społeczna czai się tuż nad naszym progiem.

Cóż mamy czynić, skoro wybuchnie? Tak dobrze poznaliśmy wszyscy stronę dramatyczną przeszłych rewolucyj i tak mało znamy ich istotną treść rewolucyjną, że wielu z nas w tych wielkich ruchach dostrzega tylko moment zewnętrzny, dekoracyjny, walkę pierwszych dni, barykady. Ale ta walka, te pierwsze zmagania niebawem ustają, i dopiero po obaleniu starych rządów rozpoczyna się właściwe, istotne dzieło rewolucji.

Bezsilne, zaatakowane ze wszech stron, rządy upadają szybko od pierwszych podmuchów burzy ludowej. W 1848 roku dość było kilku dni, żeby monarchja mieszczańska przestała istnieć; Ludwik Filip, szukający ratunku w ucieczce, nie zdążył jeszcze przekroczyć granic Francji, gdy Paryż zapomniał już o nim. 18 marca 1871 roku rządy Thiers'a znikły w ciągu

Biblioteka Wojsk. Akc. Publ.

kilku godzin, pozostawiając Paryż jego własnym losom. A jednak i rok 1848 i 1871 były jeno insurekcjami. Wobec rewolucji ludowej rządy znikają z zadziwiającą szybkością. Zaczynają od ucieczki, próbując zabezpieczyć sobie możliwy powrót.

Gdy stary rząd przestał istnieć, wojsko, w obliczu wzburzonej fali ludu, wypowiada posłuszeństwo swym wodzom; ci zresztą sami opuścili przezornie stanowiska. Wojsko albo przygląda się biernie biegowi wypadków, albo przyłącza się do szeregów rewolucyjnych. Policja, straciwszy głowę, nie wie, czy ma uderzać, czy też wołać: „niech żyje Komuna" i jej ajenci idą do domu, by „oczekiwać nowego rządu". — Zamożniejsze mieszczaństwo pakuje tłomoki i chroni się w bezpiecznych kryjówkach. — Na placu zostaje lud. Oto w jaki sposób objawia się rewolucja.

Komuna zostaje ogłoszona w paru wielkich miastach. Tysiące ludzi zalega ulice i co wieczór gromadzi się w zaimprowizowanych klubach, pytając się nawzajem: „co robić?", i roztrząsa z zapałem sprawy publiczne. Wszyscy się niemi interesują; ci, co wczoraj byli obojętni, dziś są, być może, najgorętsi. Wszędzie widoczna jest dobra wola, gorąca chęć zapewnienia zwycięstwa. Mnożą się czyny wielkiego poświęcenia. Życzeniem ludu jest dążyć naprzód.

Wszystko to piękne, wspaniałe. Ale to nie jest jeszcze rewolucja. Przeciwnie, teraz dopiero rozpoczyna się właściwa praca rewolucjonisty.

Zapewne, będą i czyny zemsty. Watrin'owie i Thomas'owie padną ofiarą swej niepopularności. Będzie to wszakże tylko przypadkowy epizod walki, ale nie rewolucja.

Socjaliści państwowi, radykałowie, zapoznani genjusze prasowi, mówcy zawodowi — mieszczanie i eks-robotnicy — podążą do ratusza, do ministerjów, by zająć opuszczone fotele. Jedni cieszyć się będą dowoli zewnętrznym splendorem swych nowych stanowisk. Podziwiać będą w lustrach ministerjalnych odbicia własnych postaci, z odpowiednią powagą wydających rozkazy: potrzeba im czerwonego lampasa, galonów, majestatycznych gestów, by mogli imponować swym dawnym kolegom z redakcji lub fabryki! Inni pogrążą się w szpargałach ze szczerą chęcią zrozumienia czegokolwiek: będą redagowali paragrafy praw, pisali pełne dźwięcznych frazesów dekrety, których nikt spełniać nie będzie—właśnie dlatego że to czas rewolucji.

Żeby nadać sobie powagę, której nie posiadają, szukać będą poparcia w dawnych formach rządu. Przybiorą nazwę Rządu Tymczasowego, Komitetu Ocalenia Publicznego i t. p. Powołani przez wybory lub przez aklamację, zgromadzą się jako Parlament lub Rada Komunalna. Tam to zetkną się ludzie, należący do dziesięciu, dwudziestu różnych szkół, z których każda w sposób odmienny pojmuje zakres, środki i cele rewolucji. Posybiliści, kolektywiści, radykali, jakobini, blanquiści, z musu zasiadając razem,—tracą czas na rozprawy. Ludzie uczciwi znajdą się obok ambitnych, pożeranych żądzą władzy i dyszących pogardą dla tłumu, z którego wyszli.

Ponieważ każdy wyznaje przekonania, zupełnie sprzeczne z przekonaniami reszty kolegów, tedy wszyscy zmuszeni są zawierać sojusze fikcyjne dla utworzenia większości, która nie trwa dłużej nad jeden dzień; wszyscy się kłócą, obrzucają wzajem przezwiskami łotrów, reakcjonistów, zwolenników władzy: pochłonięci drobiazgowemi swarami i utarczkami, niezdolni są powziąć poważnych uchwał; ograniczają się do wydawania szumnie brzmiących proklamacyj i biorą się na serjo do pracy dopiero wtedy, gdy istotna siła ruchu wzmaga się i wychodzi na ulicę.

Wszystko to może być bardzo zabawne dla zwolenników widowisk teatralnych. Ale to jeszcze nie rewolucja: niema nic zrobionego!

Przez cały ten czas lud cierpi. Fabryki stoją bezczynnie, warsztaty zamknięte, ruch handlowy ustał. Robotnik nie ma nawet tych lichych zarobków, jakie miał przedtem; ceny artykułów żywnościowych rosną.

Lud znosi wszystko cierpliwie z tem bohaterskiem poświęceniem, które jest zwykłą jego cechą i które dosięga najwyższych szczytów w chwilach wielkich przełomów. To on wołał w roku 1848: „Oddajemy trzy miesiące nędzy na usługi „Rzeczypospolitej", podczas gdy jego „przedstawiciele" i panowie z nowego rządu, aż do ostatniego dozorcy więzienia, pobierali regularnie swoją pensję! Lud cierpi. Z dziecinną ufnością, z dobrodusznością tłumu, wierzącego w swych wodzów, czeka, aż tam w górze — w Izbie, Ratuszu, Komitecie Ocalenia Publicznego — pomyślą o nim i zajmą się jego losem.

Ale tam w górze myślą o wszystkiem, tylko nie pamię-

K.C. P.P.R.
BIBLIOTEKA

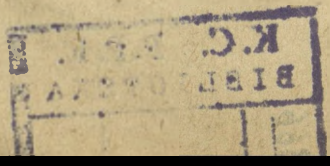
tają o cierpieniach tłumu. W 1793 r. podczas gdy głód pożera Francję i lud doprowadzony jest do ostatniej nędzy, pola Elizejskie roją się od strojnych dam i bogatych zaprzęgów, a Robespierre nalega w klubie Jakobinów, żeby wysłuchano jego memorjału o konstytucji angielskiej! Gdy w 1848 r. robotnik cierpi wskutek powszechnego zastoju w przemyśle, rząd tymczasowy i Izba dyskutuje nad pensją żołnierzy i pracą w więzieniach i nikomu nie przyjdzie na myśl zastanowić się, z czego żyje lud w tej chwili ogólnego przesilenia. I jeżeli jest co do zarzucenia Komunie paryskiej, zrodzonej przy odgłosie armat pruskich, i liczącej zaledwie 70 dni istnienia, to właśnie to, iż nie zrozumiała, że rewolucja ludowa, mająca głodne zastępy walczących, zwyciężyć nie może, i że za półtora franka dziennie niepodobna jednocześnie bić się na wałach i utrzymywać rodziny.

Lud cierpi i pyta: „Co robić, żeby wyjść z matni?"

Sądzimy, iż na to pytanie jest jedna tylko odpowiedź: — uznać i proklamować publicznie zasadę, że każdy, jakąkolwiek była jego przeszłość, jakiekolwiek są jego siły i zdolności, posiada przedewszystkiem prawo do życia: i że środki do życia, któremi rozporządza społeczeństwo, winny być rozdzielone pomiędzy wszystkich bez wyjątku. Uznać to, ogłosić i zgodnie z tem postępować!

Zrobić tak, żeby od pierwszego dnia rewolucji każdy pracujący wiedział, iż rozpoczyna się dlań naprawdę nowa era: że odtąd nikt nie będzie zmuszony spać pod mostem, o kilka kroków od wspaniałych pałaców, znosić głodu, choć nie brak żywności, dzwonić zębami z chłodu wobec magazynów, zawalonych futrami. Niech wszystko będzie dla wszystkich, nietylko w zasadzie, ale w rzeczywistości, i niech nakoniec w dziejach ludzkości dokona się rewolucja, która istotnie wpierw zaspokoi potrzeby ludu, zanim zacznie głosić kazania o jego obowiązkach.

A dokonać się to może nie za pomocą dekretów, lecz jedynie drogą natychmiastowego, faktycznego objęcia w posiadanie wszystkiego, co niezbędne dla zapewnienia życia wszy-



stkim: oto zaiste jedyny prawdziwy naukowy sposób działania, jedyny, który lud rozumie i którego żąda.

W imieniu wzburzonego ludu objąć w posiadanie składy zboża, magazyny, zawalone odzieżą, domy mieszkalne. Nic nie trwonić, natychmiast zorganizować się dla zapełnienia powstałej próżni, stawić czoło wszystkim koniecznościom społecznym, zaspakajać wszystkie potrzeby, prowadzić produkcję nie dla czyichkolwiek zysków, lecz dla wyżywienia społeczeństwa i dla zapewnienia mu swobodnego rozwoju.

Dość już tych haseł dwuznacznych, jak „prawo do pracy", którem łudzono lud w 1848 r. i chcianoby łudzić go bez końca. Miejmy odwagę wyznać, że zasada dobrobytu dla wszystkich, dziś już nie mrzonka, winna być za wszelką cenę urzeczywistniona.

Gdy w r. 1848 robotnicy domagali się prawa do pracy, organizowano dla nich warsztaty narodowe lub miejskie, gdzie płacono po dwa franki dziennie za ciężką pracę! Gdy robotnicy żądali organizacji pracy, odpowiedziano im: „Bądźcie cierpliwi, przyjaciele, rząd zamierza się tem zająć, a na dziś macie oto dwa franki. Odpocznijcie, biedni pracownicy, którzyście strawili życie w ciężkiej pracy" A tymczasem ustawiano armaty, ściągano wojsko, dezorganizowano samych robotników wszelkimi sposobami, które tak dobrze zna burżuazja. A pewnego pięknego poranku powiedziano im: „Wynoście się, idźcie kolonizować Afrykę, albo was wszystkich wystrzelamy"!

Zgoła inny będzie wynik, gdy robotnicy upomną się o p r a w o d o d o b r o b y t u! Tem samem stwierdzą swe prawo do korzystania ze wszystkich bogactw społecznych: użytkowania domów i mieszkań, stosownie do potrzeb każdej rodziny, czerpania z nagromadzonych zapasów żywności, co pozwoli im poznać dobrobyt zamiast dotychczasowego głodu. Ogłoszą swe prawo do całego dorobku ludzkości, owocu pracy przeszłych i żyjących pokoleń — a korzystając z niego, poznają wzniosłe rozkosze, które daje sztuka i wiedza, a które zbyt długo były wyłącznym udziałem burżuazji.

Uznawszy zaś swe prawo do dobrobytu, stwierdzą inne, jeszcze ważniejsze: prawo decydowania czem właściwie winien być ten dobrobyt — co należy produkować, ażeby go wszystkim zabezpieczyć, a czego odtąd należy zaniechać jako nie posiadającego żadnej wartości.

Prawo do dobrobytu — to możność prawdziwie ludzkiego istnienia, możność wychowywania dzieci na członków społeczeństwa, które będzie lepszem od naszego. Dawne zaś „prawo do pracy" — to utrwalenie płatnego niewolnictwa, w którem człowiek skazany jest na wiekuisty wyzysk pod berłem burżuazji jutrzejszej. Prawo do dobrobytu — to rewolucja socjalna; — prawo do pracy — to najwyżej więzienie, katorga przemysłowa.

Już wielki czas, by robotnik upomniał się o swe prawa do spólnego dziedzictwa i zaczął z niego korzystać.

III. KOMUNIZM ANARCHISTYCZNY.

Społeczeństwo, które zniesie własność prywatną, będzie musiało, zdaniem naszem, zorganizować się na zasadach komunizmu anarchistycznego. Anarchizm prowadzi do komunizmu, komunizm zaś do anarchizmu, zarówno bowiem jeden jak i drugi są wyrazem zasadniczej tendencji społeczeństw dzisiejszych — dążenia do równości.

Był czas, kiedy rodzina wieśniaka mogła uważać zboże zasiane i zebrane własnoręcznie, oraz odzież sporządzoną z samodziału, za produkty własnej pracy. Ale nawet i wówczas taki pogląd nie był ściśle zgodny z prawdą. Istniały już bowiem drogi publiczne i mosty, zbudowane spólną pracą, spólne pastwiska, ogradzane płotem, naprawianym przez wszystkich, moczary, osuszane pracą zbiorową. A i z ulepszeń w metodach tkania lub barwienia tkanin korzystali wszyscy; rodzina wieśniacza w owej epoce mogła istnieć tylko znajdując w tysiącznych okazjach oparcie i pomoc swojej wsi lub gminy.

Dziś, w epoce wielkiego przemysłu, gdzie wszystko przeplata się z sobą i krzyżuje, gdzie każda gałąź produkcji posiłkuje się wszystkiemi innemi, stosowanie do wyrobów przemysłowych zasady indywidualistycznej nie ma absolutnie żadnych podstaw. Jeżeli przemysł tkacki lub metalurgiczny uczynił w krajach cywilizowanych zdumiewające postępy, to zawdzięcza to równoczesnemu rozwojowi tysiąca innych gałęzi przemysłu, zarówno wielkiego jak i drobnego; zawdzięcza to rozszerzeniu sieci dróg żelaznych, zaoceanowej komunikacji, zręczności miljonów robotników, pewnemu poziomowi kulturalne-

mu całej klasy robotniczej, wreszcie pracom podejmowanym i dokonywanym na całym obszarze kuli ziemskiej.

Włosi, którzy umierali na cholerę przy kopaniu kanału Sueskiego lub na zapalenie stawów w tunelu St. Gotarda i Amerykanie, którzy padali od kul w wojnie o zniesienie niewolnictwa, przyczynili się do rozwoju przemysłu bawełnianego we Francji i Anglji nie mniej niż młode dziewczęta, więdnące po warsztatach Manchester'a i Rouan'u, lub inżynier, który, dzięki wskazówkom robotnika, zaprowadza ulepszenia w technice tkackiej.

Czyż można określić, jaka cząstka bogactw, w których nagromadzaniu bierzemy wszyscy udział, należy się każdemu z nas?

Rozpatrując produkcję z tego ogólnego, syntetycznego punktu widzenia, nie możemy przypuścić, jak to czynią kolektywiści, by wynagrodzenie, proporcjonalne do liczby godzin pracy, zużytych przez każdego w produkcji bogactw, mogło być ideałem lub nawet postępem — na drodze do tego ideału. Nie będziemy zastanawiali się nad tem, czy istotnie wartość zamienna towarów mierzy się w społeczeństwie dzisiejszem ilością pracy, potrzebnej do ich wytworzenia (jak to twierdzili Smith i Rikardo, których tradycję przejął Marks); powiemy tu tylko — zastrzegając sobie później powrót do tej kwestji,—że ideał kolektywistów wydaje się nam wprost niemożliwy do urzeczywistnienia w społeczeństwie, które narzędzia produkcji uważa za spólne dziedzictwo, spólną własność. Społeczeństwo, oparte na takiej zasadzie, musiałoby z konieczności wyrzec się wszelkich form najemnictwa.

Jesteśmy głęboko przekonani, że złagodzony indywidualizm kolektywistów nie mógłby istnieć obok częściowego komunizmu, polegającego na spólnem władaniu ziemią i narzędziami pracy. — Nowa forma własności wymaga nowej formy podziału bogactw. Nowa forma produkcji nie może pozostawić bez zmniany starej formy spożycia, tak samo jak nie może przystosować się do starych form organizacji politycznej.

System pracy zarobkowej jest wynikiem przywłaszczenia indywidualnego narzędzi produkcji i ziemi. Jest on zarazem koniecznym warunkiem rozwoju produkcji kapitalistycznej: wraz z nią musi też zginąć, nawet gdyby go chciano ukryć pod postacią „społecznych bonów pracy". Spólne władanie narzę-

dziami pracy niechybnie prowadzi do spólnego spożywania jej owoców.

Twierdzimy nadto, że komunizm nietylko jest pożądany, lecz, że, oparte na indywidualizmie, społeczeństwa dzisiejsze zmuszone są samoistnie rozwijać się w kierunku komunizmu.

Rozwój indywidualizmu w ostatnich trzech wiekach tłomaczy się przedewszystkiem wysiłkami człowieka, pragnącego zabezpieczyć się przed władzą kapitału i państwa. Zrazu wierzył w możliwość urzeczywistnienia swych pragnień i ci, co je dlań formułowali, głosili rychłe i zupełne oswobodzenie z pod jarzma państwowego i społecznego. — „Za pieniądze,— mówili — można kupić wszystko, czego potrzeba". Okazało się wszakże niebawem, że była to droga błędna: historja spółczesna doprowadza jednostkę do przekonania, że bez pomocy wzajemnej i spółdziałania nic nie wskóra, nawet jeżeli kufry swe wypełni po brzegi złotem.

Istotnie, obok prądu indywidualistycznego dostrzegamy w całych dziejach nowożytnych tendencję, z jednej strony, do zachowania resztek częściowego komunizmu pierwotnego, z drugiej zaś — do wcielania zasady komunistycznej w tysiączne przejawy życia.

Gminy miejskie w X, XI i XII stuleciu, skoro tylko zdołały wyzwolić się z pod władzy pana świeckiego lub duchownego, zaprowadzały u siebie pracę spólną i spożycie spólne.*

Miasta, a nie jednostki, najmowały okręty i wysyłały swe karawany w dalekie kraje, w celach handlowych, z czego zyski spadały również nie na jednostki, lecz na ogół; w taki sam sposób zaopatrywały się miasta w produkty spożywcze dla swych mieszkańców. Ślady tych urządzeń przetrwały aż do XIX wieku, a pamięć o nich przechowała się w podaniach ludowych.

Wszystko to zniknęło. Lecz gmina wiejska gdzieniegdzie walczy wciąż jeszcze o zachowanie śladów tego komunizmu, i udaje jej się o tyle, o ile państwo nie rzuci swego ciężkiego miecza na szalę jej losów.

---

*) *Przyp. Red.* Porównaj broszurę Piotra Kropotkina: „Państwo i jego rola historyczna".

Jednocześnie w tysiącznych postaciach i odmianach wyłaniają się nowe organizacje społeczne, oparte na tej samej zasadzie: k a ż d e m u w e d ł u g j e g o p o t r z e b; bez pewnej dozy komunizmu społeczeństwa dzisiejsze bowiem nie potrafiłyby istnieć. Pomimo ciasnego egoizmu, który rozpanoszył się w duszach ludzkich pod wpływem produkcji towarowej, duch komunistyczny w najróżnorodniejszych postaciach objawia się co chwila i na każdym kroku i przenika wszystkie prawie stosunki społeczne.

Mosty, na których dawniej pobierano od przechodniów opłatę, stały się dziś przedmiotami użyteczności publicznej. Drogi bite, gdzie podróżny musi płacić za każdą przebytą wiorstę, istnieją już tylko na Wschodzie. Muzea, bibljoteki publiczne, szkoły bezpłatne, odżywianie spólne dzieci; parki i ogrody dostępne dla wszystkich; brukowane i oświetlane ulice, z których korzystają wszyscy, wodociągi, zaopatrujące mieszkania w wodę za opłatą stałą, bez względu na ilość zużytej wody — wszystko to są urządzenia oparte na zasadzie: „Bierzcie ile wam potrzeba".

Tramwaje i koleje żelazne wprowadzają już abonamentowe bilety miesięczne i roczne, w których nie bierze się w rachubę liczby przejazdów; niedawno na Węgrzech zastosowano do biletów kolejowych taryfę strefową, pozwalającą podróżnym przejeżdżać 500 i 1000 kilometrów za jednakową zapłatą. Jest to niewątpliwie krok w kierunku ujednostajnienia opłat, które już stosuje poczta. We wszystkich tych inowacjach i w wielu innych łatwo dostrzec tendencję niebrania w rachubę ilości spożycia. Jeden pragnie przejechać tysiąc kilometrów, inny — pięćset: są to potrzeby ściśle osobiste i niema racji kazać jednemu płacić dwa razy więcej niż drugiemu za to, że jego potrzeba jest bardziej intensywna. Oto zjawiska, które ujawniają się nawet w naszych społeczeństwach indywidualistycznych.

Jakkolwiek słabą jest jeszcze ta tendencja, rozwija się wszakże stale w kierunku stawiania potrzeb jednostki ponad ocenę jej przeszłych lub przyszłych zasług dla społeczeństwa. Coraz więcej ustala się pogląd na społeczeństwo, jako na pewną całość, której wszystkie części są jak najściślej z sobą złączone, tak, iż usługa okazana jednostce, jest właściwie usługą okazaną wszystkim.

Gdy wchodzicie do którejkolwiek bibljoteki publicznej w Londynie lub Berlinie, bibljotekarz nie pyta o to, jakie usługi oddaliście społeczeństwu, lecz wprost daje wam jedną czy pięćdziesiąt książek, których żądacie, i, jeżeli nie możecie ich znaleźć w katalogu, pomoże wam nawet je wyszukać. Członkowie instytucyj i towarzystw naukowych, płacąc jednakową składkę, posiadają równe prawa, —dzięki czemu wszystkie, należące do instytucji, muzea, ogrody, bibljoteki, laboratorja i t. p. otwarte są dla każdego członka, czy to będzie Darwin, czy też zwykły śmiertelnik.

W Petersburgu każdy, kto pracował nad wynalazkami, mógł w specjalnie urządzonej dla tego celu pracowni, dostać miejsce, warsztat stolarski, tokarnię, wszystkie potrzebne narzędzia, wszelkie przyrządy miernicze, o ile umiał się z niemi obchodzić — i pozwalano mu pracować, jak długo chciał. „Oto są narzędzia, pracujcie, rozbudzajcie zainteresowanie waszych przyjaciół dla swej pracy, łączcie się z kolegami innych zawodów, lub pracujcie na własną rękę, róbcie największe wynalazki lub nie róbcie żadnych — to wasza rzecz. Macie pomysły, które was nęcą — to wystarcza".

Podobnież załoga łodzi ratunkowej nie pyta majtków tonącego okrętu o ich imiona i tytuły, lecz z narażeniem własnego życia rzuca się w spienione fale, by ratować nie znanych sobie ludzi. Cóż stąd, że są nieznani? „Potrzebna jest nasza pomoc; są to ludzie — to wystarcza. — Ratujmy ich!"

Jest to rys wybitnie komunistyczny, który ujawnia się wszędzie pod wszelkiemi możliwemi postaciami w łonie naszego społeczeństwa, głoszącego zasadę indywidualizmu.

A niechże jutro jakaś wielka klęska — np. oblężenie — nawiedzi którekolwiek z naszych wielkich miast tak przesiąkniętych egoizmem w czasach spokojnych, to zobaczymy, jak to samo miasto uchwali, iż przedewszystkiem należy zaspokoić potrzeby dzieci i starców; nakarmić i staraniem otoczyć walczących, bez względu na usługi, które oddali lub oddadzą społeczeństwu, bez względu na złożone dowody męstwa lub roztropności, — tysiące kobiet i mężczyzn prześcigać się będą w ofiarności i w niesieniu pomocy chorym i rannym.

Dążność ta istnieje niewątpliwie. Uwydatnia się ona wtedy, gdy kardynalne potrzeby każdego są zaspokojone, w miarę jak wzrasta siła produkcyjna ludzkości; jeszcze wyraźniej

zaś występuje w chwilach, gdy w duszy ludzkiej małostkowe troski życia codziennego ustępują miejsca porywom jakiejś wielkiej idei.

Czyż można wątpić, że w dniu, w którym narzędzia produkcji zostaną oddane do użytku ogółu, gdy wszyscy pracować będą spólnie, a praca, odzyskując należne jej miejsce, wytwarzać będzie o wiele więcej, niż potrzeba na zaspokojenie wszystkich potrzeb ludzkich, — czyż można wątpić, że wtedy tendencja ta, już dziś tak potężna, upowszechni się tak dalece, iż stanie się właśnie zasadą życia społecznego?

Zgodnie z powyższemi wskazaniami i po głębszem zastanowieniu się nad praktyczną stroną wywłaszczenia, o którem będzie mowa w rozdziale następnym, przyszliśmy do przekonania, iż z chwilą, gdy rewolucja złamie siłę, podtrzymującą obecny porządek rzeczy, pierwszą naszą powinnością będzie natychmiastowe urzeczywistnianie komunizmu.

Ale nasz komunizm nie jest komunizmem falansterów, ani komunizmem niemieckich teoretyków władzy państwowej. Jest to komunizm anarchistyczny — bez rządu, komunizm ludzi wolnych. Jest to synteza dwóch celów, ku którym ludzkość dąży od wieków: synteza wolności ekonomicznej i wolności politycznej.

Stawiając „anarchję" jako ideał organizacji politycznej, dajemy przez to wyraz innemu jeszcze nader wyraźnemu dążeniu ludzkości. Społeczeństwa europejskie, zawsze, gdy poziom ich rozwoju na to pozwalał, starały się zrzucić z siebie jarzmo władz i wprowadzić ustrój, oparty na zasadach wolności indywidualnej. Historja poucza, iż okresy zachwiania się rządów, rewolucyj lokalnych lub powszechnych były właśnie okresami nagłego rozkwitu na polu ekonomicznem i umysłowem. Świadczą o tem np. powstania chłopskie, które stworzyły reformację i podkopały papiestwo; świadczą wolne przez czas pewien społeczeństwa stworzone za Atlantykiem przez malkontentów, emigrujących ze starej Europy..

Jeżeli przyjrzymy się bliżej obecnemu rozwojowi narodów cywilizowanych, to dostrzeżemy widoczny prąd, w kierunku ograniczania zakresu działalności państwa i rozszerzania swo-

bód jednostki. Taką jest ewolucja społczesna. Bieg jej, coprawda, tamują liczne instytucje i przesądy przeszłości, ale czeka ona tylko burzy przewrotu, by, jak wszelka ewolucja, obalić zmurszałe zapory, leżące na drodze, i rozpocząć swobodny, zwycięski pochód odrodzonego społeczeństwa.

Po długich i bezowocnych próbach rozstrzygnięcia nierozwiązalnego zagadnienia: jak stworzyć taki rząd, który „zmuszając jednostkę do posłuszeństwa, byłby sam jednocześnie wykonawcą woli całego społeczeństwa", ludzkość usiłuje wreszcie wyzwolić się od wszelkiej formy i rodzaju rządu i zaspakajać swe potrzeby organizacyjne za pomocą swobodnego porozumienia się i spółdziałania jednostek i grup, zmierzających do jednego celu. Niezawisłość każdej najmniejszej nawet jednostki terytorjalnej staje się naglącą potrzebą; porozumienie i zgoda powszechna zastępują przymus prawny i poprzez granice polityczne, regulują interesy jednostek i grup zgodnie z dobrem powszechnem.

Wszystko to, co niegdyś uważane było za funkcję państwa, jest dziś kwestjonowane: ludzie załatwiają swe sprawy daleko łatwiej i lepiej bez pośrednictwa państwowego. Zastanawiając się nad ogromnym postępem, dokonanym w tym kierunku, musimy przyjść do wniosku, iż ludzkość dąży do sprowadzenia działalności rządów do zera, czyli do zniesienia państwa, tego uosobienia niesprawiedliwości, ucisku i monopolu.

Już dziś możemy wyobrazić sobie ustrój, w którym jednostka, nieskrępowana żadnemi paragrafami prawa, kierować się będzie jedynie nawyknieniami społecznemi — wynikiem odczuwanej przez każdego potrzeby szukania pomocy, spółdziałania i sympatji swych sąsiadów.

Zapewne, idea społeczeństwa bezpaństwowego spotka się conajmniej z taką samą nawałnicą zarzutów, jakie sypią się na ekonomję polityczną, rozpatrującą społeczeństwo, które obchodzi się bez kapitału prywatnego. Wszyscy bowiem karmieni byliśmy przesądami o posłannictwie opatrznościowem państwa. Całe nasze wykształcenie, począwszy od wpajanego w nas uwielbienia dla tradycyj rzymskich, a kończąc na kodeksie bizantyjskim, który studjuje się pod nazwą prawa rzymskiego, oraz różne nauki, wykładane w uniwersytach, przyzwyczajają nas do wiary w rząd i we wszelkie cnoty państwa-opatrzności.

Dla umocnienia tego przesądu ukuto nawet całe systema-

ty filozoficzne. Teorje prawa rozwijane są w tym samym celu. Cała polityka oparta jest na tej samej zasadzie i każdy polityk, jakiekolwiek wyznaje zasady, mówi zawsze do narodu: „Dajcie mi władzę, pragnę bowiem i mogę uwolnić was od wszystkich bied, pod których brzemieniem jęczycie".

Ta sama zasada kieruje wszystkiemi czynnościami, które wypełniają nasze życie od kolebki do grobu. Zajrzyjcie do pierwszej lepszej książki z zakresu socjologji lub prawa, a zobaczycie, że rządowi, jego organizacji, jego czynnościom poświęcono w nich tyle miejsca, jak gdyby poza rządem i urzędnikami państwowemi nie istniało na świecie nic więcej.

Tę samą piosenkę na wszystkie tony powtarza prasa. Całe szpalty poświęcone są rozprawom w parlamentach, intrygom polityków; a o życiu codziennem, o niezmierzonem życiu całego narodu, znaleźć można zaledwie kilka wierszy w jakimś artykuliku ekonomicznym, napisanym z powodu nowego prawa, lub w dziale drobnych wiadomości, dostarczanych przez biura policyjne. Czytając gazetę, nie dostrzegacie zgoła owego niezliczonego mnóstwa istot ludzkich, które rosną i umierają, cierpią, pracują i spożywają, myślą i tworzą, a z których składa się ludzkość: potworny cień, padający od kilku głośnych i sławionych osobistości, a wyolbrzymiony powszechną ciemnotą — zasłania wszystko.

A jednak, skoro od książek i gazet przejdziemy do życia społecznego i przyjrzymy mu się zbliska, uderzy nas podrzędność roli, jaką odgrywa w niem państwo. Już Balzac uczynił spostrzeżenie, że miljony chłopów obchodzą się przez całe życie bez państwa i nie mają o niem zgoła żadnego wyobrażenia; z jego urządzeń znają chyba jedynie ciężkie podatki, które muszą płacić. Miljony tranzakcyj dokonywa się codziennie bez pośrednictwa rządu, a największe z nich — handlowe i giełdowe, zawierane bywają w taki sposób, że możliwość odwołania się do rządu jest wykluczona nawet w wypadku, gdyby którakolwiek ze stron nie dotrzymała zobowiązań. Pomówcie z kimś, znającym się na rzeczy, a powie wam, że dokonywane codziennie operacje handlowe byłyby czemś zgoła niemożebnem, gdyby nie były oparte na zaufaniu wzajemnem stron zainteresowanych. Zwyczaj dotrzymywania słowa, obawa stracenia kredytu wystarczają zupełnie do utrzymania na pewnym poziomie względnej uczciwości, która nazywa się uczciwością handlową.

Kupiec, który, trując swych klijentów szumnie reklamowanym nadpsutym towarem, nie doznaje żadnych wyrzutów sumienia, uważa jednak za punkt honoru dotrzymywać swych zobowiązań. Otóż, jeżeli nawet w dzisiejszych warunkach, gdy wzbogacenie się jest jedynym bodźcem i celem człowieka, mogła zrodzić się i rozwinąć owa względna moralność, to czyż można powątpiewać, że uczyni ona szybko zasadnicze postępy z chwilą, gdy przywłaszczanie owoców cudzej pracy przestanie być kardynalną zasadą życia społecznego?

Na korzyść naszych wywodów, lepiej jeszcze przemawia inne zjawisko społeczne, znamienne dla czasów spółczesnych. Mamy tu na myśli stałe zwiększanie się liczby przedsiębiorstw i instytucyj, zawdzięczających swe istnienie inicjatywie prywatnej i olbrzymi rozwój wszelkiego rodzaju zrzeszeń. Przyjrzymy się im bliżej w rozdziale XI. Tymczasem poprzestaniemy na zaznaczeniu, że zjawiska te są bardzo liczne i prawie codzienne, że w nich tkwi najistotniejsza treść dziejów drugiej połowy ubiegłego stulecia, aczkolwiek autorowie, piszący o socjalizmie i polityce, zapatrzeni w czynności rządowe, pomijają je milczeniem. Te wolne organizacje, w swych nieskończenie licznych postaciach i odmianach, są zjawiskiem tak naturalnem, wzrost ich jest tak szybki i wzajemne łączenie tak łatwe, tak dalece odpowiadają one rosnącym wciąż potrzebom człowieka cywilizowanego i wreszcie tak doskonale zastępują dotychczasowe funkcje rządów, iż wypada uznać je za jeden z czynników życia społecznego, który nabiera coraz większego znaczenia.

Jeżeli dotychczas nie zdołały one ogarnąć całokształtu przejawów życia, to tylko dlatego, iż spotykają nieprzezwyciężone przeszkody w nędzy klas pracujących, w kastach społecznych, własności prywatnej, kapitale, państwie. Usuńcie te przeszkody, a zobaczycie, że wolne zrzeszenia ogarną niezmierzoną dziedzinę działalności ludzi cywilizowanych.

Dzieje ostatniego pięćdziesięciolecia dały nam szereg wymownych dowodów, świadczących o zupełnej niezdolności rządu parlamentarnego do wywiązania się z zadań, które nań włożyć chciano. Kiedyś mówić będą o wieku dziewiętnastym, jako o epoce bankructwa parlamentaryzmu.

Niezdolność ta staje się tak oczywistą, błędy parlamenta-

ryzmu i zasadnicze wady systemu reprezentacyjnego są tak uderzające, że kilku myślicieli, (jak J. S. Mill, Leverdays), którzy wystąpili z jego krytyką, sformułowali właściwie tylko powszechne niezadowolenie. Bo czyż nie jest oczywistym nonsensem powołać kilku ludzi i powiedzieć im: „Układajcie i wydawajcie prawa, dotyczące wszystkich przejawów i potrzeb życia naszego, nawet jeżeli żaden z was nie ma o nich pojęcia?" Wszyscy coraz lepiej zaczynają rozumieć, że rząd większości równa się oddaniu wszystkich spraw kraju na pastwę krzykliwym „żabom błotnym", zasiadającym w Izbie i komisjach, słowem ludziom, którzy nie posiadają własnego zdania. Ludzkość szuka wyjścia z tego położenia i już je znajduje.

Międzynarodowy związek pocztowy, połączenia olbrzymich sieci dróg żelaznych, związki towarzystw naukowych dają przykład instytucyj, które swobodnem porozumiewaniem się ludzi pomiędzy sobą, pragną zastąpić dotychczasowe formy prawne.

Dziś, gdy jakaś, rozsiana po wszystkich zakątkach ziemi, grupa pragnie zorganizować się dla dopięcia spólnego celu, to już nie bawi się w obieranie parlamentu międzynarodowego z deputowanymi d o b r y m i d o w s z y s t k i e g o i nie mówi im: „Uchwalajcie dla nas prawa, a my im będziemy posłuszni". Jeśli nie mogą porozumieć się bezpośrednio lub listownie, wtedy wysyłają delegatów, gruntownie obznajmionych z daną sprawą i powiadają im: „Starajcie się dojść do zgody w takiej a takiej kwestji i wtedy wracajcie do nas — nie z gotowemi paragrafami praw, lecz z wypracowanym projektem porozumienia, który przyjmiemy lub odrzucimy".

W taki sposób poczynają sobie wielkie stowarzyszenia przemysłowe, towarzystwa naukowe, wszelkie związki i zrzeszenia, których pełno dziś w Europie i w Stanach Zjednoczonych. I w taki sam sposób będzie musiało postępować społeczeństwo wyzwolone. Dla dokonania dzieła wywłaszczenia nie będzie ono mogło w żadnym razie zorganizować się na zasadach przedstawicielstwa parlamentarnego. Społeczeństwo, oparte na pańszczyźnie i poddaństwie, mogło stworzyć monarchję nieograniczoną; parlamentaryzm jest najodpowiedniejszą formą organizacji dla społeczeństwa, opartego na pracy najemnej i wyzyskiwaniu mas ludowych przez posiadaczy kapitału. Ale społeczeństwo wolne, które obejmie w posiadanie, spólne

wszystkim ludziom, dziedzictwo, zmuszone będzie szukać nowej organizacji, bardziej odpowiadającej warunkom nowej ery ekonomicznej dziejów i znajdzie ją w swobodnem grupowaniu się i wolnej federacji grup.

Każdemu ustrojowi ekonomicznemu odpowiada pewna właściwa dlań forma ustroju politycznego i niepodobna zreformować własności bez wprowadzenia jednocześnie nowej organizacji życia politycznego.

IV. WYWŁASZCZENIE.

Opowiadają, że w r. 1848 Rotszyld, widząc swą fortunę zagrożoną przez rewolucję, zdobył się na taki fortel: „Przyznaję w zupełności,—mówił—że majątek mój zdobyty został kosztem innych. Ale, jeżelibym go rozdzielił pomiędzy miljony Europejczyków, to na osobę wypadłoby zaledwie po 3 franki. A więc dobrze, podejmuję się wypłacić tę kwotę każdemu, kto tego zażąda".

Uczyniwszy to oświadczenie i należycie je rozpowszechniwszy, bogacz najspokojniej w świecie przechadzał się w dalszym ciągu po ulicach Frankfurta. Trzech czy czterech przechodniów upomniało się o swoje franki — wypłacił je im z uśmiechem ironicznym. Kawał udał się wybornie. Rodzina bogacza pozostała w dalszym ciągu w posiadaniu swoich skarbów.

W taki sam mniej więcej sposób rozumują mędrcy burżuazyjni, gdy mówią nam: „Ach, wywłaszczenie? rozumiemy. Chcecie odebrać wszystkim ich palta, zebrać je na jeden stos, a potem niech każdy wybiera sobie po jednym, mniejsza o to, że bić się będą o najlepsze!"

Gadanie takie zakrawa na żart niesmaczny. Dążymy bowiem zupełnie do czego innego. Nie chodzi nam o ściąganie paltotów na jedną kupę, poto by je następnie rozdać, chociaż i na takiej manipulacji niewątpliwie skorzystałby niejeden, który dziś dzwoni zębami z chłodu. Nie zależy nam też na podziale fortuny Rotszylda. Pragniemy jedynie zorganizować się w taki sposób, aby każda istota ludzka, przychodząca na świat, miała zapewnioną możność nauczenia się pracy produkcyjnej, a następnie oddawania się jej bez pytania o pozwolenie jakie-

goś właściciela i bez potrzeby przekazywania mu lwiej części owoców swej pracy.

Co zaś do wszelakich bogactw różnych Rotszyldów i Vanderbiltów — to posłużą nam one do lepszego zorganizowania spólnej produkcji społecznej.

W owym dniu, kiedy rolnik będzie mógł uprawiać ziemię bez opłacania tego prawa połową swych zbiorów, kiedy maszyny, niezbędne do należytej uprawy gruntu, będą w rozporządzeniu wszystkich pracujących na roli; kiedy robotnik fabryczny pracować będzie dla społeczeństwa, nie zaś dla monopolu — wówczas nikt nie będzie już chodził w łachmanach i nie będą istnieli Rotszyldowie i inni wyzyskiwacze.

Nikt nie będzie zmuszony sprzedawać swej siły za nędzną zapłatę.

—„Dobrze, — powiadają nam. Ale inni Rotszyldowie przybędą do was z zagranicy. Czyż będziecie mogli zapobiec aby ktoś, kto zebrał bogactwa w Chinach, nie osiadł wśród was, nie otoczył się sługami i najemnikami i nie wzbogacał się w dalszym ciągu ich kosztem?

„Nie możecie dokonać rewolucji jednocześnie na całym globie ziemskim. Albo może urządzicie na swych granicach komory celne dla rewidowania przyjezdnych i odbierania im posiadanego złota? Żandarmi anarchistyczni, strzelający do podróżnych — oto wspaniały widok!"

Powyższe rozumowanie oparte jest na zasadniczym błędzie, który pochodzi z braku zastanowienia się nad pytaniem, skąd powstają fortuny bogaczów. Trochę namysłu wystarcza, by zdać sobie sprawę z tego, iż zródłem bogactw jest nędza.

Gdzie niema nędzarzy, tam też niema wyzyskujących bogaczy. Powróćmy na chwilę do wieków średnich, kiedy zaczynają zjawiać się wielkie fortuny. Baron feodalny zagarnął w swe posiadanie pewną żyzną równinę. Dopóki jednak grunta te nie są zaludnione, baron nasz nie jest wcale bogatszy, niż był przedtem. Posiadłość nie daje mu żadnych dochodów — taksamo, jakgdyby miał ją na księżycu. Co uczyni, żeby się zbogacić? Zacznie szukać chłopów! Ale gdyby każdy rolnik posiadał własny kawałek gruntu, nieobciążonego żadnemi należnościami, gdyby nadto miał dostateczną ilość bydła i narzędzi pracy do prowadzenia gospodarstwa — to któżby poszedł uprawiać ziemię barona? Oczywiście każdy wolałby pracować

u siebie. W istocie jednak ogromna część ludności składa się z nędzarzy. Jednych zrujnowały wojny, innych posuchy, głód, zaraza; nie posiadają ani konia ani pługa. (żelazo było w wiekach średnich rzeczą kosztowną, a koń jeszcze kosztowniejszą).

Nędzarze są w ciągłem poszukiwaniu lepszych warunków bytu. I otóż pewnego dnia spostrzegają na granicy posiadłości barona słup, objaśniający przechodniom za pomocą zrozumiałych znaków, iż każdy rolnik, który osiedli się na tej ziemi, otrzyma wraz z gruntem narzędzia do pracy, budulec, ziarno na zasiew, przyczem przez pewną liczbę lat nie będą pobierane żadne opłaty. Ta liczba lat oznaczona jest na słupie granicznym przez odpowiednią liczbę krzyżyków. Chłop rozumie, co te krzyżyki znaczą.

Nędzarze zaczynają napływać zewsząd i osiadać na ziemi barona. Przeprowadzają drogi, osuszają błota, wznoszą wsie. Po paru latach baron narzuci im daninę, którą następnie podwoi. Rolnik przyjmie bez szemrania te warunki, albowiem gdzieindziej nie znajdzie lepszych. I tak zwolna, stopniowo, przy pomocy praw, układanych przez panów, nędza chłopów staje się źródłem bogactwa pana feodalnego, a nawet nietylko pana, ale i całej chmary lichwiarzy, krążącej dookoła wioski i zwiększającej się w miarę tego, jak chłop ubożeje.

Tak odbywał się proces nagromadzania bogactw w wiekach średnich. A dziś, czy jest inaczej? Gdyby ziemia nie była zmonopolizowana w rękach niewielu, lecz wolna i dostępna dla każdego, kto chce ją uprawiać, czyż chłop płaciłby hrabiemu ogromne sumy za hektar ziemi, którą mu ten łaskawie sprzedać raczy? Czy płaciłby wysokie czynsze dzierżawne, które pochłaniają trzecią część jego dochodów? Czy chciałby obsiewać pola na to, aby połowę zbiorów oddawać właścicielom ziemi?*)

Nie posiadając jednak nic, o co mógłby zaczepić ręce, rolnik godzi się na wszelkie warunki byle wyżyć z pracy na roli i przez to wzbogaca pana.

W naszych czasach, tak samo jak w wiekach średnich, ubóstwo włościan stwarza bogactwo możnych.

---

*) **Przyp. Red.** Forma dzierżawy, praktykowana we Francji pod nazwą „metayage", na mocy której dzierżawca płaci czynsz dzierżawny połową plonów w naturze.

Właściciel ziemski wzbogaca się nędzą chłopów. Podobnie i przedsiębiorca przemysłowy.

Oto jegomość, który, w ten lub inny sposób, doszedł do posiadania pół miljona franków. Zapewne może roztrwonić te pieniądze, wydając np. na życie po pięćdziesiąt tysięcy rocznie, co nie jest w gruncie rzeczy sumą zbyt wielką wobec szalonego zbytku i przepychu, w którym żyją ludzie bogaci. Ale w takim razie po upływie dziesięciu lat nie zostałoby mu ani grosza. Jako człowiek praktyczny woli zachować majątek swój nienaruszony i zapewnić sobie ponadto przyzwoity dochód roczny.

W obecnym ustroju nie trudno jest to urzeczywistnić, gdyż wsie nasze i miasta przepełnione są ludźmi, którzy nie mają za co przeżyć miesiąca, a nawet dziesięciu dni. Nasz burżuj zakłada fabrykę; bankierzy śpieszą z pożyczką drugiego pół miljona, zwłaszcza jeśli ma opinję spryciarza. I oto z miljonem franków zaprzęgnie do pracy pięciuset robotników.

Gdyby w danej miejscowości mieszkała ludność, posiadająca byt zabezpieczony, to niktby nie zgłosił się do pracy. Któż bowiem za trzy franki dziennej płacy zgodziłby się wytwarzać dla przedsiębiorcy towary, wartości pięciu lub nawet dziesięciu franków.

Niestety—a wiemy o tem aż nadto dobrze—ubogie dzielnice miasta i wsie okoliczne przepełnione są ludźmi, którzy nie mają co dać jeść swym dzieciom. To-też zanim fabryka zostanie ukończona, tłumy robotników pośpieszą, szukając zarobku. Potrzeba stu ludzi — a przybędzie tysiąc. Skoro tylko fabryka zacznie funkcjonować przedsiębiorca, jeśli nie jest ostatnim głupcem — będzie zarabiał rocznie na czysto po tysiąc franków na każdej parze rąk roboczych.

W taki sposób nasz burżuj zapewni sobie niezły dochód. A jeżeli obrał zyskowną gałąź przemysłu i posiada dość sprytu — to niezawodnie rozszerzy wkrótce swe przedsiębiorstwo i zwiększy swe dochody, zdwajając liczbę wyzyskiwanych przez siebie robotników.

Wówczas stanie się znakomitym obywatelem kraju. Będzie wyprawiał bankiety dla innych znakomitości: panów radców i panów posłów. Będzie miał możność, drogą związku małżeńskiego, połączyć swą fortunę z drugą niemniejszą, a dzieciom swym zapewnić odpowiednie stanowiska. Wreszcie otrzy-

ma od państwa jakąś łakomą koncesję. Powierzą mu dostawy dla wojska lub policji. I tak bezustannie będzie zaokrąglać swój majątek, aż jakaś wojna, a nawet pogłoska o grożącej wojnie, albo jakaś szczęśliwa spekulacja na giełdzie da mu możność wypłynięcia za jednym zamachem na wielkie wody.

Dziewięć dziesiątych wszystkich olbrzymich fortun w Stanach Zjednoczonych—jak to doskonale opisał Henryk George w swej książce „Zagadnienia społeczne", zawdzięcza swe powstanie jakiemuś wielkiemu łajdactwu, dokonanemu przy pomocy państwa. Podobnie i w Europie dziewięć dziesiątych wielkich majątków, zarówno w monarchjach jak w rzeczypospolitych, mają taki sam początek. Dla zostania bogaczem niema dwóch dróg.

Cała teorja bogactwa sprowadza się do tego, by ściągnąć nędzarzy, płacić im po trzy franki za wytworzenie produktu wartości dziesięciu, zebrać w ten sposób majątek i wreszcie powiększyć go kilku łotrowskimi szwindlami przy pomocy państwa!

Czyż mamy jeszcze mówić o drobnych fortunach, których źródła ekonomiści dopatrują się zazwyczaj w oszczędzaniu, pomimo, że oszczędności same przez się nie dają żadnych zysków, dopóki nie zostaną użyte do wyzyskiwania głodomorów.

Weźmy naprzykład szewca. Przypuśćmy, że praca jego jest dobrze wynagradzana, że posiada licznych odbiorców i że dzięki obywaniu się bez wielu rzeczy, zdobywa się na odkładanie po dwa franki dzienie, — pięćdziesiąt franków na miesiąc!

Przypuśćmy dalej, że szewc nasz nigdy nie choruje, że, pomimo swej namiętności do oszczędzania, jest zawsze syty, że się nie żeni, a przynajmniej, że niema dzieci, że nie choruje na gruźlicę. Przypuśćmy wszystko, co tylko zechcecie!

I cóż? — Okaże się w rezultacie, że gdy dojdzie do lat pięćdziesięciu, jegomość ten nie uzbierał jeszcze piętnastu tysięcy franków, przeto nie będzie miał z czego żyć na starość, gdy stanie się do pracy niezdolny. Zaprawdę, nie po tej drodze dochodzi się do majątku!

Ale oto inny szewc. Zaledwie zdążył uzbierać nieco grosza, śpieszy złożyć go w kasie oszczędności. Kasa wypożyczy pieniądze te fabrykantowi, który przystępuje właśnie do wyzyskiwania nędzarzy. Szewc zaś przyjmie terminatora — syna

jakiegoś biedaka, który zadowolony będzie, jeśli w ciągu pięciu lat dziecko jego nauczy się rzemiosła i będzie mogło zarabiać na życie.

Terminator „przynosi zysk" majstrowi. Jeśli szewc ma dużą klijentelę — to pośpieszy przyjąć drugiego i trzeciego terminatora. Po pewnym czasie będzie już zatrudniał dwóch lub trzech robotników — nędzarzy, zadowolonych z trzechfrankowej płacy dziennej za pracę, która warta jest sześć franków. I jeżeli nasz szewc ma szczęście, to jest, jeśli jest dostatecznie sprytny, to jego robotnicy i terminatorzy dawać mu będą ze dwadzieścia franków zysku dziennie, oprócz dochodów z jego własnej pracy. Będzie mógł rozszerzać swe przedsiębiorstwo, będzie coraz bardziej narastał w pierze, nie będzie potrzebował odmawiać sobie rzeczy niezbędnych, a synowi swemu pozostawi majątek.

Oto co nazywa się „robić oszczędności", mieć skromne wymagania. W gruncie zaś rzeczy jest to zwykłe wyzyskiwanie biedaków.

Zdawałoby się, że handel stanowi wyjątek w tej regule. Oto ktoś zakupił transport herbaty w Chinach, przewiózł ją do Francji i otrzymał 30% zysku. Niema w tem niczyjego wyzysku.

A jednak jest to wypadek zupełnie analogiczny do historji obrotnego szewca. Jeżeliby kupiec przenosił herbatę na własnych plecach, to co innego! Ongiś, w zaraniu wieków średnich, właśnie w taki sposób prowadzono handel. Ale też nierobiono na handlu tak bajecznych fortun, jak dziś. Ówczesny kupiec, odbywszy uciążliwą i niebezpieczną drogę, — mógł zaledwie odłożyć kilkadziesiąt franków. Do handlu ciągnęło ówczesnych ludzi bardziej zamiłowanie do podróży i przygód, niż żądza zysku.

Dzisiaj karjera handlowa jest bardziej prosta. Kupiec, posiadający kapitał, dla wzbogacenia się nie potrzebuje nawet odrywać się od biurka. Telegraficznie posyła swemu ajentowi rozporządzenie zakupienia stu tonn herbaty, następnie najmuje statek, który po pewnym czasie przywozi towar. Kupiec nie naraża się przytem na żadne ryzyko, gdyż zarówno herbata jak i statek zostały ubezpieczone. A jeżeli wydał na to sto tysięcy franków — to napewno odbierze sto trzydzieści tysięcy — o ile nie zechciał spekulować na jakimś towarze nowym i niezna-

nym, na którym ryzykuje albo podwojenie majątku, albo utratę wszystkiego.

Ale jakże kupiec mógł znaleźć ludzi, którzy zgodzili się odbyć daleką podróż, popłynąć do Chin i z powrotem, ciężko pracować, narażając swe życie za marną zapłatę? Jak znalazł w dokach tragarzy, którzy ładowali i wyładowywali okręt a którym płacił akurat tyle, by nie umarli z głodu podczas pracy? Przyszli sami — bo to nędzarze. Pójdźcie do któregokolwiek z miast portowych, zwiedźcie szynki w pobliżu portu, przyjrzyjcie się tym ludziom, snującym się tutaj w poszukiwaniu zarobku. Od świtu wejście do doków jest oblegane przez tłumy, poszukujących pracy przy ładowaniu okrętów. Przyjrzyjcie się tym marynarzom, którzy są uszczęśliwieni, gdy, po długich tygodniach i miesiącach wyczekiwania, zostaną wreszcie przyjęci na okręt, udający się w daleką podróż; całe ich życie upływa na przechodzeniu z jednego statku na drugi i gotowi są odbywać tę pielgrzymkę póty, póki nie zginą w falach oceanu.

Zajrzyjcie do ich mieszkań, rzućcie okiem na ich żony i dzieci, pokryte łachmanami, żyjące niewiadomo z czego w oczekiwaniu powrotu ojca — a znajdziecie odpowiedź na nasze pytanie.

A teraz przypomnijcie sobie inne jeszcze przykłady wzbogacania się. Pomyślcie w jaki sposób powstają fortuny wogóle, wielkie i drobne, bez względu na to czy pochodzą z handlu, czy z giełdy, czy z przemysłu czy z ziemi. Wszędzie stwierdzicie fakt, że bogactwo jednych rodzi się z nędzy drugich. Społeczeństwo anarchistyczne niema potrzeby obawiać się nieznanego Rotszylda, któryby mógł osiedlić się na terytorjum spólnoty. Gdy każdy za kilka godzin dziennej pracy produkcyjnej mieć będzie zapewnione prawo do korzystania ze wszelkich darów cywilizacji, ze szlachetnych rozkoszy, które daje Nauka i Sztuka, to niema obawy, by ktokolwiek chciał sprzedawać swą siłę roboczą za lichą strawę, nikt nie zechce poświęcić się dla wzbogacania jednostki. Franki Rotszylda będą już tylko krążkami metalowymi, mogącemi się wprawdzie przydać do rozmaitego użytku, ale bez zdolności wydawania potomstwa.

Odpowiadając na stawiane nam zarzuty, określiliśmy jednocześnie zakres i granice przyszłego wywłaszczenia.

Wywłaszczenie powinno być zastosowane do wszystkie-

go, co służy komukolwiek — bankierowi, przemysłowcowi lub ziemianinowi — do przywłaszczania pracy bliźniego. Formuła zatem prosta i zrozumiała.

Nie chcemy z nikogo zdejmować palta; ale pragniemy oddać ludziom pracy w s z y s t k o to, co dziś służy do ich ujarzmiania i wyzysku; i uczynimy wszystko, co będzie leżało w naszej mocy, żeby nikomu na niczem nie zbywało i aby a n i j e d e n c z ł o w i e k n i e b y ł z m u s z o n y do sprzedawania swych rąk dla wyżywienia siebie i swych dzieci.

Oto jak pojmujemy dzieło wywłaszczenia i nasze obowiązki w godzinie rewolucji, której nadejścia oczekujemy — nie za lat dwieście, lecz w niedalekiej przyszłości.

Idea anarchistyczna wogóle, a idea wywłaszczenia w szczególności cieszą się większą, niż się przypuszcza, sympatją wśród ludzi o charakterze niezależnym oraz wśród tych, dla których próżniactwo nie jest najwyższym ideałem. „A jednak — mówią nam często ci nasi przyjaciele — nie posuwajcie się zbyt daleko. Ponieważ ludzkość nie może przekształcić się w ciągu jednego dnia, to nie idźcie za daleko w projektach waszych wywłaszczenia i anarchji! Narażacie się na to, że nie stworzycie nic trwałego!"

Otóż, jeżeli mamy się czego obawiać w sprawie wywłaszczenia — to nie tego, że pójdziemy zbyt daleko. Przeciwnie, obawiamy się właśnie, że wywłaszczenie dokonane zostanie na zbyt małą skalę, aby mogło być trwałe; że rozpęd rewolucyjny zatrzyma się w połowie drogi, że wyczerpie swe siły w półśrodkach, które nikogo nie zadowolnią, a wywoławszy straszny przewrót i zamęt w życiu społecznem, nie będą zdolne do życia, obudzą powszechne niezadowolenie i sprowadzą niechybnie triumf reakcji.

Istnieją bowiem w obecnym ustroju społecznym pewne ustalone stosunki, których niepodobna jest zmienić za pomocą reform częściowych, połowicznych. Nasza organizacja ekonomiczna podobna jest do maszyny nader skomplikowanej, której koła i tryby są ściśle powiązane ze sobą tak, że niepodobna zmienić jednego z nich bez naruszenia całości. Przekonalibyśmy się o tem niebawem, gdybyśmy zastosowali wywłaszczenie do którejkolwiek kategorji własności.

Przypuśćmy, że w którymkolwiek kraju dokonano wywłaszczenia częściowego, naprzykład wielkiej posiadłości

ziemskiej, a nie ruszono fabryk, jak tego domagał się niedawno ekonomista amerykański, Henryk George. Przypuśćmy, że w jakiemś mieście wywłaszcza się domy, lecz nie uspołecznia się jednocześnie produktów spożywczych, lub że w pewnem ognisku przemysłowem wywłaszcza się fabryki, a pozostawia nietkniętą własność ziemską.

Rezultat w tych wszystkich wypadkach będzie jeden i ten sam: ogromne wstrząśnienie życia ekonomicznego bez możności zreorganizowania go na nowych zasadach, zastój w produkcji i wymianie bez widoków oparcia ich na zasadach sprawiedliwości, niemożliwość ułożenia stosunków społecznych w jakąś harmonijną całość.

Jeżeli rolnik wyzwoli się z jarzma wielkiej własności ziemskiej, ale obok tego przemysł pozostanie nadal w ręku fabrykantów, kupców i bankierów — to w gruncie rzeczy wszystko pozostanie po dawnemu, Dziś bowiem rolnik cierpi nietylko z powodu musu opłacania renty właścicielowi ziemi, lecz także wskutek całokształtu stosunków społecznych: spłaca haracz przemysłowcowi, który za łopatę każe mu płacić cztery razy więcej niż jest warta w stosunku do pracy rolnika; — płaci podatki i cła państwu, które istnieć nie może bez zgrai hierarchicznie uszeregowanych urzędników; ponosi koszty utrzymania wojska, niezbędnego dla państwa dlatego, że przemysłowcy wszystkich krajów toczą ze sobą nieustanną walkę o rynki. Dzięki temu lada dzień może wybuchnąć wojna, wywołana jakimś zatargiem o eksploatowanie tej lub innej części Azji lub Afryki. Nadto cierpi rolnik z powodu wyludnienia wsi, której młodzież ucieka do wielkich miast i ognisk przemysłowych, zwabiona bądź większym zarobkiem, bądź pokusami ruchliwego życia miejskiego; cierpi jeszcze z powodu sztucznej ochrony przemysłu krajowego, spekulacyj giełdowych, trudności w przeprowadzaniu meljoracyj rolnych i w uzyskaniu udoskonalonych narzędzi. Słowem, rolnictwo cierpi nietylko wskutek istnienia renty, ale też wsutek całokształtu obecnych stosunków społecznych, opartych na wyzysku. Nawet, gdyby, dzięki wywłaszczeniu, wszyscy mogli uprawiać ziemię i korzystać z jej plonów bez płacenia renty jakiemuś właścicielowi—to i wtedy rolnictwo — jeśliby miało nawet pewien okres pomyślności, co zresztą nie jest pewne—niebawem popadłoby znów w ów stan wycieńczenia, w którym się dziś znajduje. Trzebaby znów

wszystko rozpoczynać od początku, przybyłyby tylko nowe trudności.

Ta sama historja jest i z przemysłem. Przekażcie jutro fabryki robotnikom, uczyńcie to, co już dokonano względem pewnej części włościan, z których uczyniono właścicieli gruntu. Usuńcie fabrykanta, lecz równocześnie pozostawcie ziemię w rękach obszarnika, pieniądze w rękach bankiera, giełdę w ręku kupca, pozostawcie w społeczeństwie tę całą masę próżniaków, żyjących z pracy robotnika, zachowajcie tysiące pośredników i państwo ze zgrają nieprzeliczoną urzędników — a przemysł nie będzie się mógł rozwijać. Nie znajdując rynku zbytu wśród włościaństwa, pozostającego w nędzy, nie mając surowców i nie mogąc wywozić swych produktów wskutek zastoju handlowego i braku organizacji, przemysł skazany będzie na wegetację, a robotnicy na wyrzucenie na bruk. Zgłodniałe ich rzesze gotowe będą pójść za pierwszym lepszym intrygantem, a nawet zgodzą się powrócić do dawnego porządku rzeczy, byleby znaleźć pracę i zarobek.

Albo wreszcie spróbujcie wywłaszczyć właścicieli ziemskich i fabrykantów, nie dotykając wszakże tej chmary pośredników, którzy dziś spekulują po wielkich miastach na mące i zbożu, na mięsie i innych artykułach spożywczych, oraz skupują wszystkie wyroby naszych fabryk i rękodzielni. I cóż? Gdy wymiana ustanie i towar zniknie z obiegu, gdy Paryż zostanie pozbawiony chleba, a Lion straci nabywców na swe jedwabie — będzie musiała nadejść straszliwa reakcja, krocząca przy huku armat, po stosach zabitych, pławiąca się w orgjach masowych egzekucyj, jak to było już w latach 1815, 1848 i 1871.

W naszym ustroju społecznym wszystko jest ściśle powiązane i spojone ze sobą tak, iż niepodobna zreformować części, bez naruszenia całości.

Z chwilą, gdy którakolwiek z form własności — własność ziemska lub przemysłowa — zostanie zniesiona, wypadnie zkonieczności znieść wszystkie inne. Wymaga tego pomyślny przebieg rewolucji.

Zresztą, pomimo najlepszych chęci nie zdołanoby zatrzymać się na wywłaszczeniu częściowem. Gdy tylko święta zasada własności zostanie zachwiana, żadni teoretycy nie zdołają

przeszkodzić całkowitemu jej zniesieniu; zniosą ją niewolnicy ziemi i niewolnicy przemysłu.

Jeżeli jakieś wielkie miasto, Paryż naprzykład, — obejmie w posiadanie na korzyść ogółu domy lub fabryki — to sam bieg wypadków zmusi je do pozbawienia bankierów prawa do pobierania z gminy miejskiej ogromnego podatku w postaci procentów od dawnych pożyczek. Będzie zmuszone wejść w porozumienie z rolnikami i zkonieczności będzie na nich wpływać w kierunku wyzwolenia ich z jarzma obszarniczego. Wywłaszczenie kolei żelaznych, okaże się koniecznem aby miasto miało co jeść i mogło produkować. Wreszcie, by uniknąć marnotrawienia zapasów żywności, by nie znaleźć się, jak komuna w r. 1793, na łasce spekulantów zboża, miasto złoży w ręce swych obywateli pieczę nad zaopatrzeniem swych magazynów w żywność i nad podziałem tych produktów.

Niektórzy socjaliści usiłują wprowadzić tu pewne rozróżnienie: „Wywłaszczenie ziemi, kopalń, fabryk i rękodzielni — mówią oni — dobrze, piszemy się na to, są to narzędzia produkcji i sprawiedliwość wymaga, aby stały się własnością ogółu. Ale prócz tego są jeszcze przedmioty użytkowe, jak pożywienie, odzież, mieszkanie, które powinny pozostać własnością prywatną."

Zdrowy chłopski rozum nie bez racji wyśmiał ten subtelny podział. W istocie nie jesteśmy dzikimi, by żyć w lasach i chronić się pod gałęźmi. Dla Europejczyka, który pracuje, potrzebny jest dom, mieszkanie, łóżko, piec.

Łóżko, mieszkanie, dom—to przybytek lenistwa dla tych, którzy nic nie robią. Ale dla pracownika ciepły, jasny pokój jest takiem samem narzędziem produkcji, jak maszyna lub warsztat. Jest to dlań miejsce odpoczynku oraz odnowienia siły mięśniowej i nerwowej, która jutro zostanie zużytą w pracy. Odpoczynek wytwórcy — to przygotowanie maszyny do puszczenia jej w ruch.

Prawda ta jest jeszcze bardziej oczywistą, gdy chodzi o pożywienie. Tym domniemanym ekonomistom nie przyjdzie nigdy do głowy twierdzić, że węgiel, spalony dla poruszania maszyny, nie powinien być zaliczany do przedmiotów niemniej niezbędnych dla produkcji jak np. surowiec. Jakimże więc sposobem pożywienie, bez którego organizm ludzki nie mógłby się zdobyć na najmniejszy wysiłek, mogłoby być wy-

kluczone z rzędu przedmiotów, niezbędnych dla wytwarzania? Czyżby to były pozostałości po metafizyce religijnej?

Obiad bogacza, obfity i wyszukany, jest niewątpliwie spożyciem zbytkowem. Ale posiłek robotnika stanowi jeden z koniecznych warunków wytwarzania, podobnie jak węgiel, spalony na palenisku maszyny parowej.

To samo dotyczy odzieży. Gdyby ekonomiści, wprowadzający powyższe odróżnianie narzędzi produkcji od przedmiotów spożycia, sami nosili kostjumy dzikich z Nowej Gwineji—zrozumielibyśmy ich zastrzeżenie. Ale w ustach ludzi, którzy nie umieliby napisać jednego wiersza, gdyby nie mieli na grzbiecie koszuli, podobne rozróżnianie pomiędzy koszulą, którą noszą, a piórem, którem piszą, brzmi conajmniej dziwnie. Jeżeli wyszukane stroje ich żon i córek są rzeczywiście przedmiotem zbytku, to istnieje jednak pewne minimum płótna, bawełny i wełny, bez którego robotnik-wytwórca nie mógłby się obejść. Bluza i obuwie, w których robotnik idzie do pracy, kurtka, którą wdziewa po skończonej pracy, wreszcie czapka są dlań niemniej niezbędne jak młot i kowadło.

Tak lud rozumie rewolucję. Gdy obali i zniesie rządy postara się przedewszystkiem o zapewnienie sobie zdrowego mieszkania, dostatecznego pożywienia i odzieży,bez płacenia za to haraczu.

I lud będzie miał rację. Jego postępowanie będzie daleko bardziej zgodne z „nauką", niż postępowanie ekonomistów, dopatrujących się zasadniczej różnicy pomiędzy narzędziem produkcji a produktem spożywczym. Lud zrozumie, że właśnie od tego winna rozpocząć się rewolucja. Założy on tym sposobem podwaliny jedynej nauki ekonomicznej, która godna jest nazwy „nauki", i którą można określić jako: b a d a n i e p o t r z e b l u d z k i c h i ś r o d k ó w e k o n o m i c z n y c h d o i c h z a s p a k a j a n i a.

V. ŻYWNOŚĆ.

Jeżeli przyszła rewolucja ma być rewolucją społeczną, to musi różnić się od wszystkich przewrotów poprzednich nietylko przez swój cel, ale i przez środki. Nowy cel wymaga nowych środków. Pomiędzy trzema wielkimi ruchami politycznymi, które od schyłku XVIII wieku rozegrały się we Francji, istnia-

ły pod wieloma względami znaczne różnice. A jednak spólną im jest jedna cecha: lud podejmuje walkę w celu obalenia starego porządku; przelewa swą krew drogocenną, a następnie, dokonawszy wielkiego wysiłku, usuwa się w cień. Tworzy się nowy rząd, złożony z ludzi mniej lub więcej uczciwych, którzy biorą na siebie sprawę organizowania: rzeczypospolitej w roku 1793, pracy w 1848, wolnej komuny w 1871.

Przeniknięty ideami jakobińskiemi, nowy rząd pochłonięty jest przedewszystkiem zagadnieniami politycznemi: przekształceniem maszyny państwowej, reformowaniem administracji, oddzielaniem kościoła od państwa, rozszerzaniem swobód obywatelskich i t. d.

Wprawdzie kluby robotnicze, czuwające nad działalnością nowych rządów, częstokroć narzucają im swe poglądy. Ale nawet w tych klubach, bez względu na to, czy przeważa tam żywioł mieszczański, czy robotniczy, zawsze panują idee burżuazyjne. Rozprawia się wiele o polityce, zapomina zaś o kwestji chleba.

Z ruchów tych wyłoniły się wielkie idee, które wstrząsnęły światem. Wielkie hasła, które padły z górą przed stu laty, dziś bicie naszego serca przyśpieszają.

A jednak na przedmieściach brakło chleba. Z chwilą wybuchu rewolucji zamierała wszelka praca, lud cierpiał skutkiem bezrobocia. Ustawał obieg towarów, kapitały chowały się. Kapitalista nie potrzebował obawiać się niczego: żył bezpiecznie ze swojej renty, jeżeli nie spekulował na nędzy ludu, ale najemnik pędził nędzny żywot z dnia na dzień.

Nadchodził głód, nędza tak okropna, jakiej nie znano za dawnych rządów. „To Żyrondyści nas głodzą" — opowiadano na przedmieściach Paryża w 1793 roku. I ścinano Żyrondystów. Złożono władzę najwyższą w ręce stronnictwa Góry, potem w ręce Komuny miasta Paryża.

Istotnie Komuna myślała o chlebie. Czyniła wysiłki bohaterskie, by zaopatrzyć miasto w żywność. W Lionie dwaj jej przedstawiciele zakładali spichrze zapasowe, nie mogli ich wszakże zapełnić z powodu braku środków. Zarządy miejskie rozwijały gorączkową działalność w celu zdobycia zboża; wieszano piekarzy, ukrywających zapasy mąki, ale to nie wpłynęło na powiększenie zasobów żywności. Głód wzrastał.

Wówczas zabrano się do rojalistycznych spiskowców.

Tracono ich na gilotynie po dziesięciu, piętnastu na dzień — tracono służące wraz z księżniczkami — a przedewszystkiem służące, gdyż księżniczki były już przeważnie po za granicami kraju. Ale nawet, gdyby tracono po stu książąt i hrabiów na dobę, niby się wskutek tego nie zmieniło. Nędza rosła z dniem każdym. Ludowi potrzeba było zarobków, a tych nie było wcale. Sto trupów mniej, czy sto trupów więcej, nie mogło tu nic zmienić.

Wówczas lud począł tracić cierpliwość. „Pięknie poczyna sobie ta wasza rewolucja! — szeptał reakcjonista do ucha robotnikowi, — nigdy jeszcze nie byliście w takiej nędzy!" Pomału kapitalista odzyskiwał otuchę, wydostawał się ze swej kryjówki, urągał nędzy ludu swoim zbytkiem i, przybierając minę fanfarona zwracał się do robotników: „Dość już tych głupstw! Coście zyskali na rewolucji? Czas już z nią skończyć!" — „Rewolucja znowu zawiodła" — wzdychał rozgoryczony i zawiedziony w swych nadziejach rewolucjonista i powracał do swej nory, pozostawiając dalszy bieg wypadków łasce losu.

Wówczas reakcja podnosiła głowę — dumna, wyzywająca — i dokonywała swego zamachu stanu. Gdy rewolucja konała, nie pozostawało reakcji nic innego, jak deptać jej trupa i sięgać po władzę.

To też deptano trupa! Przelewano potoki krwi; biały teror zbierał plon z głów ludzkich, napełniał więzienia, a bogaci złodzieje rozpoczynali swe zwykłe orgje.

Tak wyglądają wszystkie nasze rewolucje. W r. 1848 robotnik paryski złożył na ołtarzu rzeczypospolitej „trzy miesiące nędzy", poczem, wyczerpawszy cierpliwość, uczynił ostatni rozpaczliwy wysiłek, który został zatopiony w morzu krwi.

I w roku 1871 komuna upadła dzięki własnej winie. Ogłosiła oddzielenie kościoła od państwa, ale nie troszczyła się o to, by wszystkim chleb zapewnić. I nieraz widziano w Paryżu wystrojonych elegantów, którzy drwili z walczących temi słowy: „Głupcy, — narażajcie życie za półtora franka, a my idziemy na śniadanie do modnej restaurcji!" Zrozumiano błąd dopiero w dniach ostatnich; zorganizowano bezpłatne dostarczanie zupy dla wszystkich, ale było już zapóźno: wersalczycy wchodzili do miasta!

—„Chleba! Rewolucji potrzeba chleba" Niechaj inni wydają manifesty, pełne pięknie brzmiących frazesów Niechaj in-

ni naszywają sobie galony, ile ich tylko będą mogli zmieścić na ramionach! Niechaj inni dysputują nad wolnością polityczną!

Nasze zadanie polegać będzie na tem, ażeby od chwili wybuchu rewolucji i przez cały czas jej trwania na przestrzeni kraju ani jednemu mężczyźnie nie zabrakło chleba, aby ani jedna kobieta nie potrzebowała wystawać godzinami przed piekarnią, oczekując na kawałek chleba, jak na wielką łaskę, aby ani jedno dziecko nie zaznało głodu.

Burżuazja pragnęła rozprawiać o wielkich hasłach, czyli raczej o wielkich kłamstwach. Lud zaś chce wszystkim chleb zapewnić. Taka jest jego idea przewodnia. I podczas, gdy burżuazja i, będący pod jej wpływem robotnicy, będą zabawiać się w „gadalniach" w wielkich ludzi, gdy „umysły praktyczne" rozprawiać będą bez końca o formach rządu, my „utopiści" musimy myśleć o chlebie powszednim. Mamy odwagę twierdzić, że każdy ma prawo jeść do syta, i że przez zapewnienie chleba ogółowi rewolucja zwycięży.

Jesteśmy utopistami — to rzecz wiadoma. Istotnie, tak daleko posuwamy naszą utopijność, że wierzymy święcie w możność zapewnienia, przez rewolucję każdemu mieszkania, odzieży i pożywienia. Okrutnie się to nie podoba burżuazji zarówno czerwonej jak błękitnej, wie ona bowiem doskonale, że lud syty nie daje się tak łatwo ujarzmić, jak głodny.

Raz jeszcze powtarzamy z całym naciskiem: powstającemu ludowi trzeba chleb zapewnić, trzeba tę kwestję postawić na pierwszym planie. Jeżeli zagadnienie to będzie roztrzygnięte w sposób właściwy, w interesie mas ludowych, to rewolucja będzie na dobrej drodze: dla pomyślnego roztrzygnięcia kwestji żywności należy przyjąć zasadę równości, która narzuca się, wykluczając wszelkie inne sposoby załatwiania sprawy.

Przyszła rewolucja — podobnie jak rewolucja 1848 roku —wybuchnie niewątpliwie w czasie strasznego przesilenia przemysłowego. Od dłuższego czasu Europa przeżywa stałą gorączkę gospodarczą i położenie jej może się tylko pogarszać. Wszystko ku temu zmierza: spółzawodnictwo narodów młodych, które występują do walki o stare rynki zbytu, wojny, wciąż wzra-

stające ciężary podatkowe i długi państwowe, niepewność jutra, wielkie przedsiębiorstwa, zakładane w dalekich krajach. Dziś w Europie miljony robotników jest bez pracy. Stan ten pogorszy się jeszcze w chwili, w której wybuchnie rewolucja i zacznie się szerzyć jak ogień w prochowni. Gdy w Europie lub Stanach Zjednoczonych wzniesione zostaną barykady — liczba bezrobotnych podwoi się. Co czynić, aby tej ogromnej masie ludzi chleb zabezpieczyć?

Nie wiemy, czy ludzie, którzy uważają się za „umysły praktyczne", zastanawiali się kiedykolwiek poważnie nad tą kwestją. Lecz wiemy jedno: ludzie ci zamierzają utrzymać system pracy najemnej. Napewno więc zalecać będą „warsztaty narodowe" i „roboty publiczne", dla zapewnienia chleba bezrobotnym.

Ponieważ w r. 1789 i 1793 otwierano warsztaty narodowe, ponieważ w r. 1848 stosowano również ten środek, ponieważ Napoleon III w ciągu 18 lat utrzymywał proletarjat paryski w karbach za pomocą robót publicznych, których ciężar, nawiasem mówiąc, Paryż do dziś dnia dźwiga w postaci dwóch miljardów długu i dziewięćdziesięciu franków podatku miejskiego na głowę, ponieważ ten doskonały środek „poskramiania dzikiego zwierzęcia" stosowany był już w Rzymie, a nawet w Egipcie przed czterema tysiącami lat; ponieważ wreszcie, wszyscy despoci, królowie i cesarze zawsze rzucali ludowi kawałek chleba poto, by zyskać czas do pochwycenia bata—nie należy się dziwić, że ludzie „praktyczni" zachwalają tę metodę utrwalenia na wieki systemu pracy najemnej. Poco suszyć sobie głowę, kiedy się ma na zawołanie metodę zupełnie pewną, wypróbowaną jeszcze za faraonów egipskich!

Otóż, gdyby rewolucja miała nieszczęście wejść na te tory, byłaby niechybnie zgubioną. 27 Lutego 1848 r., gdy otwierano warsztaty narodowe, w Paryżu liczono 8 tysięcy robotników, pozbawionych pracy. W 2 tygodnie potem było już ich 49 tysięcy. I byłoby ich wkrótce 100 tysięcy, nie licząc tych, którzy nadciągali z prowincji.

Ale w owej epoce przemysł i handel we Francji nie zatrudniał nawet połowy rąk, które zatrudnia obecnie. Wiadomo, że najwięcej cierpi podczas rewolucji handel i przemysł. Pomyślmy, ilu robotników pracuje pośrednio lub bezpośrednio w przemyśle i handlu wywozowym, ilu w produkcji przedmio-

tów zbytku, których odbiorcą jest mniejszość burżuazyjna! Rewolucja w Europie — to znaczy natychmiastowe zamknięcie przynajmniej połowy fabryk i warsztatów, to wyrzucenie na bruk miljonów robotników z ich rodzinami.

Śmiech pomyśleć; że tak straszliwą klęskę chcianoby zażegnać zapomocą warsztatów narodowych, czyli zapomocą nowych gałęzi przemysłu, stworzonych na poczekaniu dla zatrudnienia próżnujących rąk robotniczych!

Jest rzeczą oczywistą — jak tego dowiódł już Proudhon —że najmniejszy wstrząs zadany własności, pociągnie za sobą rozstrój zupełny całego porządku społecznego, opartego na własności prywatnej i pracy najemnej. Społeczeństwo stanie w obec konieczności wzięcia w swe ręce całej produkcji i przekształcenia jej zgodnie z p o t r z e b a m i o g ó ł u. Takie przekształcenie nie może wszakże być dokonane w przeciągu dnia czy miesiąca i wymaga dłuższego czasu, przez który miljony ludzi pozbawione będą środków do życia. Wobec tego co należy czynić?

W takich warunkach jest jedno wyjście istotnie p r a k t y c z n e: uznać cały ogrom zadania i, zamiast kusić się o ratowanie sytuacji, którą sami uczyniliśmy niemożliwą, zabrać się do przekształcania produkcji według nowych zasad.

Aby działać praktycznie trzeba, naszem zdaniem, by lud natychmiast objął w posiadanie wszystkie artykuły spożywcze, które znajdują się w gminach, objętych rewolucją; żeby je obliczył, zinwentaryzował i użył w taki sposób, aby się nic nie marnowało i aby wszyscy mogli korzystać z nagromadzonych zapasów. W okresie przesilenia, porozumieć się należy z robotnikami fabrycznymi, zabezpieczyć im środki do życia na parę miesięcy i dostarczyć surowców do fabrykacji przedmiotów, niezbędnych dla rolnika. Nie zapominajmy bowiem, że jeżeli Francja wyrabia jedwabie dla bankierów niemieckich i różnych głów koronowanych, jeżeli Paryż zaopatruje w cacka bogaczów świata całego, to dwie trzecie chłopów francuskich nie posiada odpowiednich lamp do oświetlenia swych mieszkań, ani nowoczesnych narzędzi rolniczych. Wreszcie, należy wziąć pod uwagę liczne obszary gruntów, leżących odłogiem, i poddać meljoracji te, które w stanie obecnym nie wydają czwartej, a nawet dziesiątej części normalnego plonu„ przy racjonalnej kulturze.

Jest to jedyne rozwiązanie praktyczne, jakie jesteśmy w stanie przewidzieć; zresztą narzuci je sama logika faktów, bez względu na to, czy się komu będzie podobało, czy nie.

Najbardziej znamienną cechą ustroju kapitalistycznego jest praca najemna.

Jednostka, lub pewna grupa osób, posiadających odpowiedni kapitał, zakłada przedsiębiorstwo przemysłowe; podejmuje się zaopatrywać warsztat lub fabrykę w materjał surowy, zorganizować produkcję, sprzedawać wytworzone produkty, wypłacać robotnikom określoną płacę; natomiast chowa do kieszeni nadwartość, czyli zyski, pod pozorem wynagrodzenia za kierownictwo, odszkodowania za ryzyko, związanę z prowadzeniem przedsiębiorstwa, i za straty wynikające z wahań cen towarów na rynku.

Oto w kilkunastu słowach cały system p r a c y n a j e m n e j. Dla ratowania go obecni posiadacze kapitału gotowi są poczynić duże ustępstwa: zrzec się np. pewnej części zysków na korzyść robotników, lub przyjąć pewną skalę płac, odpowiednio do wzrostu zysków z przedsiębiorstwa — słowem, godzą się ponieść pewne ofiary, byleby utrzymać prawo kierowania przemysłem i korzystania z zysków.

Kolektywizm, jak wiadomo, wprowadza do ustroju spółczesnego zmiany poważne, nie znosi wszakże zasady pracy najemnej. Na miejsce przedsiębiorstwa dzisiejszego, stawia państwo, t. j. rząd parlamentarny, narodowy lub komunalny. Przedstawiciele narodu lub gminy i ich delegaci — urzędnicy stają się kierownikami przemysłu. Oni też roszczą sobie prawo do rozporządzania na korzyść ogółu całą nadwartością produkcji. Nadto kolektywiści wprowadzają do swojego systemu pewną definicję nadzwyczaj subtelną, lecz brzemienną w skutkach: mianowicie, odróżniają pracę ręczną od pracy, wymagającej nauki przygotowawczej. W oczach kolektywistów praca wyrobnika jest pracą p r o s t ą, podczas, gdy rzemieślnik, inżynier, uczony i t. p., wykonywują pracę, nazwaną przez Marksa, pracą z ł o ż o n ą, i mają prawo do wyższego wynagrodzenia. Ale zarówno wyrobnicy, jak inżynierowie, tkacze, jak i uczeni są wszyscy najmitami państwa — „jego funkcjonarju-

szami", jak się mówi w ostatnich czasach dla osłodzenia pigułki.

* * *

Owóż największą przysługę, jaką przyszła rewolucja odda ludzkości, będzie stworzenie takiej sytuacji, w której każdy system płacy zarobkowej okaże się niemożebny, niedający się zastosować, i której narzuci się jako jedyne możliwe wyjście komunizm, t. j. zaprzeczenie najemnictwa.

Nawet jeżeli przypuścimy, że reformy kolektywistyczne, wprowadzone stopniowo w ciągu pewnego okresu dobrobytu i spokoju, dałyby się urzeczywistnić (co do nas, — mocno o tem wątpimy), — to w każdym razie w okresie rewolucyjnym okażą się one niezdolnemi do życia, gdyż nazajutrz po chwyceniu za broń, okaże się konieczność żywienia całych miljonów rzesz ludzkich. Rewolucja polityczna może się dokonać bez najmniejszego przewrotu w przemyśle; ale rewolucja, w której lud targnie się na własność, musi z konieczności spowodować nagłe ustanie wymiany i produkcji. Zasoby państwa nie wystarczą dla wspomagania miljonów bezrobotnych.

Nie można nigdy dostatecznie podkreślić tego punktu. Przekształcenia przemysłu i zorganizowania go na nowych podstawach (w dalszym ciągu wykażemy cały ogrom tego zadania) nie podobna dokonać w ciągu kilku dni i proletarjat nie będzie mógł poświęcić dla teoretyków najemnictwa całych lat nędzy. Ażeby przetrwać okres przesilenia, zażąda on tego, czego żądał zawsze w podobnych wypadkach: oddania artykułów spożywczych do użytku ogółu — rozdawnictwa. Nie czas będzie nawoływać do cierpliwości i wytrwałości — lud nie usłucha; i jeżeli zasoby spożywcze nie zostaną oddane na użytek publiczny, zacznie rabować piekarnie.

* * *

Jeżeli ruch ludowy okaże się niedostatecznie silny, skończy się r o z s t r z e l i w a n i e m. Na to, aby kolektywizm mógł dokonać próby swojej reformy społecznej, potrzeba przedewszystkiem p o r z ą d k u, dyscypliny, posłuszeństwa. A ponieważ kapitaliści spostrzegą niebawem, że, najlepszym środ-

kiem zohydzenia rewolucji w oczach ludu, jest doprowadzić do rozstrzeliwania robotników przez tych, co się mianują rewolucjonistami, więc też niechybnie poprą obrońców „porządku", nawet jeśli to będą kolektywiści. Tą drogą bowiem będą ich mogli zdusić nieco później z kolei.

Gdy „porządek" zostanie w ten sposób „przywrócony", łatwo przewidzieć dalsze wyniki. Nie można będzie poprzestać na rozstrzelaniu „rabusiów i gwałcicieli porządku"; trzeba będzie odszukać „sprawców zamieszania", sięgnąć do źródła, przywrócić sądy, gilotyny — i najgorętsi rewolucjoniści pójdą na rusztowanie. Będzie to powtórzenie 1793 roku. Przypomnijmy sobie, jaką drogą przy końcu XVIII-go stulecia reakcja doszła do zwycięstwa. Z początku stracono Hebertystów, tych najzajadlejszych, których historyk Mignet, pod świeżem wrażeniem walki, nazywa jeszcze „anarchistami". Za nimi poszli niebawem Dantoniści; a gdy zwolennicy Robespierre'a uporali się w końcu z tymi rewolucjonistami, nadeszła kolej i na nich samych. Wreszcie lud zniechęcony, uważając sprawę rewolucji za przegraną, usunął się, ustępując pola reakcjonistom.

Otóż przewidujemy, że gdy „porządek zostanie przywrócony", kolektywiści poślą na rusztowanie anarchistów, potem posybiliści wytracą kolektywistów, a w końcu sami zostaną straceni przez reakcjonistów. I znów trzeba będzie rozpoczynać rewolucję od początku.

Wszelako są wszelkie widoki, że ruch ludowy b ę d z i e posiadał dość siły i że z chwilą wybuchu rewolucji idea komunizmu anarchistycznego zyska szerokie koła zwolenników. Nie jest to bowiem idea wyssana z palca — sam lud ją nam podpowiada. Liczba jej wyznawców będzie wzrastać wobec niemożności rozstrzygnięcia kwestji społecznej innemi sposobami. Jeżeli żywiołowość ruchu będzie dostateczną, sprawa weźmie zgoła inny obrót. Zamiast rabować sklepy spożywcze poto, żeby nazajutrz nie mieć co jeść, lud zbuntowany opanuje magazyny zbożowe, obejmie w posiadanie składy wiktuałów — słowem, wszystkie istniejące w kraju zasoby spożywcze. Obywatele i obywatelki, ludzie dobrej woli, bezwłocznie przystąpią do zinwentaryzowania wszystkiego, co się znajduje w każdym magazynie, w każdym śpichrzu. We dwadzieścia cztery godziny komuna rewolucyjna będzie już dokładnie poinformowana o tem, o czem Paryż nie może dowiedzieć się do dziś dnia po-

mimo swych komitetów statystycznych i o czem nie wiedział nigdy za czasów oblężenia, a mianowicie: ile zapasów żywności mieści się w jego murach. Po 48 godzinach będą już wydrukowane w miljonach egzemplarzy tablice, zawierające dokładne wykazy wszystkich artykułów żywności, punktów, w których są złożone, oraz przyjęty sposób podziału żywności.

W każdym okręgu, przy każdej ulicy zorganizują się grupy ochotników — karmicieli, którzy potrafią porozumiewać się z sobą i informować wzajemnie. Niechże bagnety jakobińskie nie wdają się w tę sprawę; niech teoretycy, rzekomo uczeni, nie przychodzą gmatwać pracy, a raczej niech przeszkadzają, ile tylko zechcą, byleby nie mieli prawa rozkazywać!

Dzięki zdumiewającemu zmysłowi organizacyjnemu, który lud, zwłaszcza francuski, posiada w tak wysokim stopniu we wszystkich warstwach społecznych, a któremu niestety tak rzadko pozwalano się przejawiać, — nawet w mieście tak rozległem, jak Paryż, nawet w chwili największej gorączki rewolucyjnej — powstanie organizacja wolnej, ochotniczej obsługi publicznej w celu dostarczania każdemu niezbędnych artykułów spożywczych.

Niech jeno lud ma zupełną swobodę działania, a już po tygodniu zaopatrywanie ludności w żywność odbywać się będzie ze zdumiewającą regularnością. Wątpić o tem mogą chyba ci tylko, którzy nigdy nie widzieli ludu przy pracy, całe życie spędziwszy nad stosami ksiąg i papierów. Spytajcie tych, co widzieli lud w Paryżu za dni barykad, lub w Londynie podczas ostatniego wielkiego strejku, gdy trzeba było żywić pół miljona głodnych, a powiedzą wam, jak dalece zmysł organizacyjny Ludu, tego Wielkiego Zapoznanego, wyższy jest od mądrości biurokracji!

A nawet, gdyby trzeba było znieść w ciągu dwóch lub czterech tygodni pewien względny nieład — mniejsza o to. Dla mas ludowych będzie on zawsze lepszy, niż ten, który dziś panuje; zresztą podczas rewolucji obiad, złożony z kawałka kiełbasy i suchego chleba, spożywa się bez szemrania, wśród śmiechu, a raczej wśród dyskusji! W każdym razie to, co powstanie samorzutnie, pod naciskiem naglącej potrzeby, będzie nieskończenie doskonalsze od tego wszystkiego, co możnaby wymyśleć w gabinecie przepełnionym księgami, lub w kancelarjach ratusza.

Sam bieg wypadków zmusi lud wielkich miast do stopniowego przejęcia w swe ręce zasobów spożywczych, w celu zaspakajania potrzeb wszystkich mieszkańców. Im prędzej się to stanie, tem lepiej; tem mniej nędzy, tem mniej walk domowych. Jaką jednak zasadę należy przyjąć przy spólnem użytkowaniu nagromadzonych zasobów żywności? Zagadnienie to nasuwa się samo przez się.

Owóż, niema tu dwóch sposobów postępowania słusznego, jest tylko jeden jedyny, odpowiadający poczuciu sprawiedliwości i zarazem istotnie praktyczny. Jest to zasada przyjęta przez wszystkie gminy rolne w Europie.

Przyjrzyjmy się gminie chłopskiej w jakimkolwiek kraju—chociażby we Francji, gdzie jakobini użyli wszelkich środków, żeby zniszczyć zwyczaje komunistyczne wśród ludu. Jeżeli gmina posiada naprzykład las, to dopóki nie brak suchych gałęzi, każdy ma prawo zbierać na własny użytek tyle, i l e m u p o t r z e b a, bez żadnej innej kontroli, prócz opinji publicznej sąsiadów. Co się tyczy drzewa budulcowego, którego nigdy nie bywa dosyć, uciekają się do rozdawnictwa. To samo dzieje się z łąkami gminnemi. Dopóki wystarczają dla potrzeb wszystkich, nikomu nie przyjdzie do głowy kontrolować, ile krowa danego gospodarza zjadła trawy, ani też ile jego krów pasie się na łące. Dopiero, gdy obszar pastwisk staje się szczupłym, zaczyna się podział ich lub rozdawnictwo. W całej Szwajcarji i w wielu wsiach Francji, Niemiec, wszędzie, gdzie zachowały się pastwiska spólne, praktykuje się ten system.

W krajach Europy wschodniej, gdzie lasów i ziemi nie braknie, włościanie ścinają drzewa i zajmują pod uprawę pola stosownie do ich potrzeb, nie ograniczając użytkowania lasu, ani nie dzieląc ziemi na parcele. Ograniczenie i podział następują dopiero wtedy, gdy przestrzeń lasów i gruntów w stosunku do zaludnienia się zmniejszyła, jak to ma już miejsce w Rosji.

Słowem, zasada jest taka: czerpać dowoli z tego, czego posiadamy w obfitości! Wydzielać to, co musi być mierzone, dzielone! Z 350 miljonów mieszkańców Europy, 200 miljonów kieruje się jeszcze w życiu tą zasadą, całkiem naturalną. Rzecz godna uwagi, że i w wielkich miastach ta sama zasada stosowana jest względem jednego przynajmniej artykułu, znajdują-

cego się poddostatkiem, mianowicie względem wody, dostarczanej do domów.

Dopóki ilość wody w wodociągach wystarcza dla zaspokajania potrzeb ludności i niema obawy, że wody zabraknie, żadnemu towarzystwu wodociągowemu nie przyjdzie do głowy ograniczać lub regulować ilość wody, zużywanej w każdem mieszkaniu. Niech biorą, ile się komu podoba! W czasie wielkich upałów natomiast, gdy Paryżowi grozi brak wody, wystarcza zamieścić w gazetach czterowierszowe ostrzeżenie i okazuje się to środkiem zupełnie wystarczającym, by paryżanie ograniczyli ilość spożywanej wody i powstrzymali się od jej marnowania.

Lecz coby zrobiono, gdyby wody brakło istotnie? Zaczęto by ją rozdawać według zasad równego podziału! Jest to środek tak naturalny i oczywisty, że w 1871 r. w Paryżu po dwakroć żądano stosowania go względem zapasów żywności podczas pierwszego i drugiego oblężenia.

Czyż trzeba wchodzić w szczegóły, kreślić drobiazgowe wykazy, w jaki sposób rozdawnictwo mogłoby być stosowane? Czyż trzeba dowodzić, że byłoby ono nieskończenie bardziej sprawiedliwe od wszystkiego, co istnieje obecnie? Ale żadne szczegóły ani wykazy nie zdołają przekonać tych z pośród burżuazji, którzy patrzą na lud, jak na zbiorowisko dzikich ludzi, rzucających się na siebie z pazurami, gdy tylko władza państwowa przestaje nad nimi ciążyć. Ten chyba tylko, kto nigdy nie słyszał, jak lud radzi i rozprawia, mógłby wątpić, że przyjęty przezeń sposób podziału żywności, nie będzie oparty na najczystszem poczuciu sprawiedliwości i słuszności.

Idźcie na zgromadzenie ludowe i powiedzcie, że kuropatwy winny iść na stół wydelikaconych próżniaków z arystokracji, a czarny chleb dla chorych w szpitalach, a napewno zostaniecie zakrzyczani. Ale powiedzcie na tem samem zgromadzeniu, głoście na rogach ulic, że najdelikatniejsze jadło winno być zachowane dla słabych, dla chorych przedewszystkiem. Powiedzcie, że gdyby w całym Paryżu było dziesięć kuropatw i jedna jedyna butelka malagi, to należałoby je oddać do szpitali, dla powracających do zdrowia; powiedzcie to... Powiedzcie, że zaraz po chorych idą dzieci. Dla nich mleko krów i kóz, jeżeli niema tyle, aby starczyło dla wszystkich! Dla dziecka

i dla starca ostatni kawałek mięsa, a dla zdrowych i silnych chleb suchy — gdy przyjdzie czas głodu.

Słowem głoście, że jeżeli brak dla wszystkich jakiegoś artykułu i trzeba go dzielić i rozdawać, to ostatnie porcje należy zachować dla tych, którzy go najwięcej potrzebują, powiedzcie to, a zyskacie jednogłośny, gorący poklask.

Lud rozumie i zawsze rozumiał to, czego syty nie rozumie, ale gdy ten ostatni znajdzie się na ulicy i zetknie się z ludem, zrozumie również.

* * *

Teoretycy — dla których mundur i kocioł żołnierski są ostatniem słowem cywilizacji — zażądają niewątpliwie wprowadzenia natychmiastowego kuchni narodowej i zupy z soczewicy. Powoływać się będą na korzyści, jakie popłyną z zaoszczędzonego opału i żywności wskutek urządzenia olbrzymich kuchni, gdzie każdy otrzyma swą porcję zupy, chleba i jarzyn.

Nie zaprzeczamy tych korzyści. Wiemy dobrze, ile ludzkość zaoszczędziła opału i pracy, zaniechawszy najpierw mielenia zboża na żarnach ręcznych, a następnie pieczenia chleba dla każdej rodziny osobno, jak to praktykowało się ongi. Rozumiemy, że daleko ekonomiczniej byłoby gotować rosół dla stu rodzin przy jednym ogniu, niż palić w stu piecach zosobna. Wiemy również, że jest conajmniej tysiąc sposobów przyrządzania kartofli, ale, że nie byłyby wcale gorsze, gdyby je przyrządzano dla stu rodzin w jednym rondlu.

Rozumiemy wreszcie, że ponieważ rozmaitość kuchni pochodzi przedewszystkiem z indywidualnego przyprawiania potraw, ugotowanie centnara kartofli w jednym kotle nie przeszkodziłoby gospodyniom przyprawić je podług własnego gustu. I wiemy, że z rosołu można przyrządzić sto rozmaitych zup dla zaspokojenia stu rozmaitych gustów. Wszystko to wiemy, a jednak twierdzimy, że nikt nie ma prawa zmuszać gospodynię do brania ugotowanych kartofli z magazynu komunalnego, jeżeli woli gotować je sama w s w o i m rondlu, przy s w o i m ogniu. Przedewszystkiem bowiem pragnęliśmy, żeby każdy mógł spożywać swój posiłek, jak chce, — w kole rodziny, czy przyjaciół, czy nawet w restauracji, jeżeli mu się podoba.

Powstaną prawdopodobnie wielkie kuchnie na miejscu

restauracyj, w których dziś trują ludzi. Już dziś paryżanka bierze od rzeźnika gotowy buljon do przyrządzania zupy podług własnego smaku, a mieszkanka Londynu wie o tem, że może kazać upiec mięso w pierwszej lepszej piekarni za kilkanaście centów i zaoszczędzić w ten sposób zarówno na czasie, jak i na węglu. I kiedy kuchnia spólna — „kuchnia przyszłości" przestanie być miejscem oszustwa, fałszerstwa i trucicielstwa, ludzie przyzwyczajają się brać już gotowe podstawowe składniki obiadu, które w domu będą mogli przyrządzać według własnego gustu. Ale nadawać temu formę przymusu prawnego, narzucać obowiązek brania gotowego pokarmu ze spólnych kuchen, byłoby to dla człowieka spółczesnego pomysł również wstrętny, jak idea klasztoru lub koszar, idea niezdrowa, wylęgła w mózgach znieprawionych nawyknieniem do rozkazywania lub wykoślawionych wychowaniem religijnem.

Kto będzie miał prawo korzystać ze środków żywności komuny? Będzie to pierwsza kwestja, która niewątpliwie wysunie się na porządek dzienny. Każde miasto lub gmina da na nią samodzielną odpowiedź. Jesteśmy przekonani, że odpowiedzi podyktowane będą przez poczucie sprawiedliwości.

Dopóki praca nie jest należycie zorganizowana, dopóki trwa jeszcze okres gorączkowy i niepodobna odróżnić próżniaka od robotnika, wbrew woli pozbawionego pracy, istniejące zasoby winny służyć wszystkim — bez wyjątku. Ci, co z bronią w ręku opierali się zwycięstwu ludowemu lub przeciwko ludowi knowali spiski, sami zapewne pośpieszą opuścić terytorjum, objęte rewolucją. Sądzimy wszakże, iż lud zawsze wspaniałomyślny i wieczny wróg ucisku i represji, zechce podzielić chleb swój ze wszystkimi, którzy pozostali, czy to będą wyzyskiwacze, czy wyzyskiwani. Rewolucja, ożywiona tą ideą, nic na tem nie straci, a gdy nastąpi powrót do spokojnej pracy, wczorajsi przeciwnicy spotkają się ze sobą przy jednym warsztacie. W społeczeństwie, w którym praca jest wolna, niema obawy by znaleźli się próżniacy.

— „Ależ w takim razie żywność wyczerpie się w ciągu jednego miesiąca!" wołają nasi krytycy. Tem lepiej — odpowiadamy — będzie to dowodem, że proletarjusz po raz pierw-

szy w życiu najadł się do syta. Co się zaś tyczy kwestji zastąpienia tego, co zostało spożyte, to chcemy właśnie nad nią się zastanowić.

W jaki sposób miasto, objęte płomieniem rewolucji społecznej, może zaopatrywać się w żywność?

Chcemy odpowiedzieć na to pytanie. Jest rzeczą oczywistą, że środki, których się w tym celu użyje, zależeć będą od charakteru, jaki ruch rewolucyjny przybierze na prowincji, jak również i w krajach ościennych. Gdyby cały naród, albo jeszcze lepiej —cała Europa za jednym zamachem dokonała rewolucji społecznej i wprowadziła komunizm, postąpionoby odpowiednio. Lecz jeżeli tylko kilka gmin w Europie dokona eksperymentu anarcho-komunistycznego, wypadnie uciec się do zgoła odmienych środków. Jakie położenie, takie środki.

Zanim pójdziemy dalej, musimy rzucić okiem na Europę spółczesną i, nie roszcząc pretensji do prorokowania, zastanowić się nad przyszłym pochodem rewolucji, przynajmniej w najgłówniejszych zarysach.

Zapewne, byłoby pożądane, ażeby cała Europa powstała jednocześnie, aby wszędzie nastąpiło wywłaszczenie i aby wszędzie wcielono w życie zasady komunistyczne. Taki jednoczesny powszechny wybuch uprościłby niezmiernie zadanie naszego wieku. Wszystko jednak każe przypuszczać, że tak nie będzie. Że rewolucja ogarnie Europę — o tem nie wątpimy. Jeżeli jedna z czterech wielkich stolic kontynentu — Paryż, Wiedeń, Bruksela lub Berlin — powstanie i obali rząd, to niema wątpliwości, że trzy pozostałe uczynią to samo o kilka tygodni później. Również prawdopodobnem jest, że i na półwyspach, a nawet w Londynie i Petersburgu rewolucja nie każe na siebie czekać zbyt długo. Ale czy wszędzie mieć ona będzie jednakowy charakter? — To więcej, niż wątpliwe.

Wszędzie prawdopodobnie dokonane zostaną na większą skalę akty wywłaszczenia. Przykład jednego z wielkich narodów europejskich oddziała na mniejsze narody ościenne. Wszakże od samego początku ruchy rewolucyjne posiadać bę-

dą w każdym kraju cechy lokalne i przebieg rewolucji nie wszędzie będzie jednakowy. W r. 1789 — 1793 chłopi francuscy potrzebowali aż czterech lat na ostateczne wyzwolenie się z więzów feodalnych, tyleż czasu trwało obalenie monarchji przez burżuazję. Nie zapominajmy o tem i przygotujmy się na to, że upłynie pewien okres czasu, zanim rewolucja rozwinie się w pełni. Bądźmy gotowi i na to, że nie wszędzie postępować będzie w równie szybkim tempie.

Czy wynika stąd, że narody bardziej posunięte winny miarkować swój rozwój, stosując się do narodów bardziej zacofanych (jak to niegdyś twierdzono)? Czy należy czekać, aż rewolucja anarcho-komunistyczna dojrzeje we wszystkich krajach cywilizowanych? Bynajmniej! Zresztą, gdyby nawet chciano tego, byłoby to niemożliwe: Historja nie czeka na maruderów!

Z drugiej znów strony nie sądzimy, by w jednym i tym samym kraju rewolucja dokonała się w warunkach, o jakich marzą niektórzy socjaliści. Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że gdy we Francji jedno z wielkich miast — Paryż, Marsylja, Lille, Bordeaux — ogłosi Komunę, to pozostałe mniejsze miasta pójdą za jego przykładem. Również prawdopodobne jest, że niektóre zagłębia górnicze i ogniska przemysłowe nie omieszkają dać dymisję swym opiekunom kapitalistycznym i ukonstytuują się w wolne związki.

Obok wszakże komun rewolucyjnych pozostanie całe mnóstwo wsi, które trzymać się będą starego, indywidualnego porządku rzeczy, zachowując postawę wyczekującą. Nie widząc grasujących po wsiach komorników i poborców podatkowych, włościanie nie będą żywili względem rewolucjonistów uczuć wrogich, a korzystając z sytuacji, oczekiwać będą sposobności uregulowania swych porachunków z miejscowymi wyzyskiwaczami. Ale dzięki temu zmysłowi praktycznemu, który był cechą wybitną wszystkich ruchów agrarnych (przypomnijmy sobie gorączkowe przygotowanie pod zasiew gruntów w 1792 r.), rzucą się z zapałem do uprawy ziemi, do której będą mieli tem większe przywiązanie, że będzie wolną od podatków i hipotek.

Na zewnątrz zaś wszędzie będzie rewolucja. Ale rewolu-

cja w najrozmaitszych postaciach: tu o charakterze centralistycznym, ówdzie federalistycznym, a wszędzie mniej lub więcej socjalistycznym. Żadnej jednostajności.

Powróćmy do kwestji: skąd i w jaki sposób miasto rewolucyjne zaopatrywać się będzie w żywność? Skąd wziąć niezbędne artykuły spożywcze, jeżeli komunizm nie został jeszcze przyjęty przez cały naród?

Weźmy dla przykładu którekolwiek wielkie miasto francuskie, chociażby stolicę. Paryż spożywa corocznie miljony centnarów zboża, 350.000 wołów i krów, 200.000 cieląt, 300.000 wieprzy i z górą dwa miljony baranów, nie licząc zwierzyny. Nadto potrzeba mu jeszcze około 8 miljonów kilogr. masła i 172 miljonów jaj, oraz innych artykułów w odpowiedniej proporcji.

Mąkę i zboże sprowadza się ze Stanów Zjednoczonych, z Rosji, Węgier, Włoch, Egiptu, z Indji. Bydło przywozi się z Niemiec, Włoch, Hiszpanji — nawet z Rumunji i Rosji. Co zaś do towarów przemysłowych, to niema na świecie niemal ani jednego kraju, któryby ich nie dostarczał. Rozpatrzmy najpierw, w jaki sposób Paryż lub inne wielkie miasto mogłoby zaopatrywać się w produkty, uprawiane przez rolników francuskich, którzy radzi są je zbywać.

Dla zwolenników władzy państwowej kwestja ta nie przedstawia trudności. Przedewszystkiem utworzyliby rząd mocno scentralizowany, zaopatrzony we wszystkie organa przymusu wojskowego, jak policja, wojsko, gilotyna. Rząd taki prowadziłby statystykę wszystkiego, co się produkuje we Francji; podzieliłby kraj na pewną liczbę okręgów podług rodzaju produkowanych artykułów żywności i wydałby r o z k a z, żeby taki a taki artykuł spożywczy w takiej ilości został dostarczony do takiego miejsca, oddany w takim dniu na takiej stacji, przyjęty przez takiego urzędnika, złożony do takiego spichrza i t. d. w tym rodzaju.

Otóż jesteśmy najmocniej przekonani, że podobne rozwiązanie kwestji nietylko nie jest pożądane, ale jest wręcz niemożebne do urzeczywistnienia. Jest to czysta utopja.

Marzyć o czemś podobnem można chyba tylko na papierze z piórem w ręku; w praktyce jest to absolutna niemożli-

wość, nie bierze się tu bowiem w rachubę ducha niezależności, drzemiącego w każdym człowieku. Wywołałoby to opór powszechny: trzy lub cztery Wandeje*), zamiast jednej, wojnę wsi przeciwko miastom, Francji całej przeciwko miastu, które ośmieliło się narzucić podobny system. Dość już tych jakobińskich mrzonek! Zobaczymy, czy nie można rozwiązać tej kwestji w inny sposób.

W 1793 r. wieś wygłodziła wielkie miasta i zabiła rewolucję. A jednak wiadomo, że w latach 1792—93 produkcja zboża we Francji wcale się nie zmniejszyła; są podstawy do przypuszczania, że nawet wzrosła. Tylko, że burżuazja wiejska, zawładnąwszy większą częścią obszarów dworskich i dokonawszy na nich sprzętu plonów, nie chciała sprzedawać zboża za asygnaty rządu rewolucyjnego. Trzymała zboże w spichrzach, oczekując na podniesienie się cen lub ukazanie monety złotej. I najsurowsze dekrety Konwentu, z m u s z a j ą c e właścicieli zapasów i przekupniów do sprzedaży zboża, ani egzekucje nie osiągały rezultatu. Wiadomo przecie, że komisarze rządu rewolucyjnego nie robili zbytnich ceremonji z właścicielami zapasów zbożowych i ucinali im głowy, a lud wieszał ich na latarniach; a jednak zboże pozostawało dalej w spichrzach, a ludność miast umierała z głodu.

Cóż dawano rolnikom w zamian za ich ciężką krwawicę? — Asygnaty! Szmaty papieru, których wartość spadała z dnia na dzień, kwity, na których drukowano, że wartość ich wynosi np. 500 franków, a które nie posiadały żadnej wartości. Za 1000-frankową asygnatę nie można było kupić pary butów; nic dziwnego, że chłop opierał się wymianie plonu swej całorocznej pracy na kawałek papieru, za który nie mógł sprawić sobie nawet koszuli.

I dopóki dawać się będzie rolnikowi wzamian za jego pracę, bezwartościowe papierki, — mniejsza o to, czy będą się one nazywać asygnatami, czy „bonami pracy", — rezultat zawsze będzie ten sam. Zapasy żywności pozostaną na wsi:

*) **Przyp. Red.** Fermy, znane pod tą nazwą, oznaczały początkowo czyli podczas wielkiej rewolucji przeciwko centralistycznym rządom jakobińskim w obronie przywilejów feodalnych i tronu. Porównaj Kropotkina „Wielka Rewolucja Francuska", tom II. Rozdz. 4 IV.

miasto nie będzie ich widziało, nawet jeżeli ucieknie się znów do gilotyny i topienia ludzi.

Należy chłopu dostarczyć przedmiotów, których niezbędnie potrzebuje: maszyn i narzędzi bez których się obywa z musu; odzieży, któraby go zabezpieczała od niepogody; lamp i nafty, która zastąpi jego nędzne ogarki; rydli, grabi, kos, pługów, wreszcie wszystkiego tego, czego chłop odmawia sobie dzisiaj, pędząc bowiem żywot w ciągłym niedostatku i ciągłej pracy, wyrzeka się mnóstwa przedmiotów użytecznych nie dlatego, żeby nie odczuwał ich potrzeby, lecz dlatego, że są dlań niedostępne z powodu wysokiej ceny.

Niech miasto, zamiast bawić się w wyrabianie fatałaszków, służących do zaspakajania próżności burżuazji, zabierze się niezwłocznie do produkowania tych przedmiotów, których brak jest rolnikowi. Niech paryskie maszyny do szycia szyją włościańskie odzienia, odświętne i codzienne, zamiast sukni balowych i wypraw weselnych; niech fabryki i warsztaty wyrabiają maszyny i narzędzia rolnicze, nie czekając, aż je przyślą Anglicy wzamian za nasze wino! Niech miasto wysyła na wieś nie komisarzy, przepasanych czerwoną lub różnokolorową szarfą, wiozących włościanom dekrety i rozkazy o przymusowej dostawie produktów rolnych do takiej a takiej miejscowości, ale niech przysyła przyjaciół, braci, którzy mówiliby: „przywoźcie nam swoje plony — a z naszych magazynów bierzcie wszystkie artykuły przemysłowe, które wam są potrzebne". Wtedy zapasy żywności napływać będą zewsząd. Wieśniak zachowa sobie tyle, ile mu potrzeba do życia, a resztę dostarczy robotnikom miejskim, w których — p o r a z p i e r w s z y w d z i e j a c h — ujrzy swych braci, a nie wyzyskiwaczy.

Powiedzą nam może na to, że dlatego potrzeba zupełnego przekształcenia przemysłu. — Oczywiście, przynajmniej niektórych jego gałęzi, gdyż setki innych będą mogły natychmiast przystosować się w taki sposób, żeby dostarczać wieśniakom odzieży, sprzętów domowych, narzędzi i mniej skombinowanych maszyn, za które dziś miasto każe sobie tak drogo płacić. Tkacze, krawcy, fabrykanci obuwia, wyrobów żelaznych, stolarze i tylu innych będą mogli bez żadnej trudności zamienić swą dzisiejszą produkcję przedmiotów zbytku na wytwarzanie przedmiotów użytecznych. Potrzeba tylko, żeby uświadomiono sobie konieczność takiego przekształcenia przemysłu, żeby

uważano je za czyn sprawiedliwości i postępu, żeby zaprzestano łudzić się mrzonką teoretyków, iż rewolucja powinna się ograniczyć tylko do pochwycenia w swe ręce nadwartości i że przemysł i handel mogą pozostać nadal w takiej postaci, w jakiej są dzisiaj.

Tu tkwi, naszem zdaniem, jądro kwestji. Ofiarować rolnikowi wzamian za jego produkty nie kawałki papieru, zadrukowane rozmaitemi napisami, lecz r e a l n e przedmioty użytkowe, które mu są potrzebne. Wówczas, żywność napływać będzie do miast. Jeżeli się tego nie dokona, będzie w miastach głód i wszystkie jego skutki — reakcja i zdławienie rewolucji.

Mówiliśmy już, że wszystkie wielkie miasta sprowadzają zboże, mąkę, mięso nietylko z prowincji, lecz również i z zagranicy. Zagranica zaopatruje Paryż w towary kolonjalne, w ryby i zbytkowne przysmaki, oraz w znaczne ilości zboża i mięsa.

Podczas rewolucji wszakże trzeba przestać liczyć na zagranicę, lub też liczyć na nią jaknajmniej. Jeżeli zboże rosyjskie, ryż włoski lub indyjski, wina hiszpańskie lub węgierskie napływają dziś obficie na rynki zachodnio—europejskie, to nie dlatego, że kraje, eksportujące te produkty, posiadają ich za dużo, lub że one rosną tam dziko, jak trawa na łące. W Rosji, naprzykład, włościanin pracował do 16 -tu godzin dziennie i pościł 3 do 6 miesięcy w roku, by móc sprzedać zagranicy swe zboże i mieć z czego opłacić właściciela ziemi*) i rząd. W przeciwnym razie w wiosce rosyjskiej zaraz po żniwach zjawiała się policja i sprzedawała chłopu ostatnią krowę lub konia za nieuiszczone w terminie podatki i czynsz dzierżawny. Włościanin zostawiał sobie zboża na 9 miesięcy, a resztę sprzedawał, byle ocalić swój nędzny dobytek od sprzedaży za bezcen. Żeby wyżyć do nowych żniw—przez 3 miesiące, jeżeli rok był dobry, przez 6 miesięcy, jeżeli był nieurodzaj, dodawał do mąki tartej kory brzozowej lub nasienia lebiody, podczas gdy w Londynie zajadano smaczne ciasta z jego pszenicy.

Z wybuchem rewolucji rolnik zachowa zboże dla siebie i dla swych dzieci. Włościanie włoscy i węgierscy uczynią to

---

*) **Przyp. Red.** Autor ma tu zapewne na myśli rentę dzierżawną. Przed wojną 1/3 część ornych gruntów dworskich w Rosji dzierżawili włościanie.

samo; miejmy nadzieję, że i Hindus skorzysta z tego przykładu, jak również i robotnicy amerykańscy z Bonanza-farms,**) o ile ta postać własności ziemskiej nie rozpadnie się wskutek kryzysu. Nie można więc będzie liczyć na transporty zboża i kukurydzy, przychodzące z zagranicy.

Ponieważ nasza cywilizacja mieszczańska opiera się na wyzyskiwaniu ras niższych i krajów bardziej zacofanych pod względem przemysłowym, pierwszem dobrodziejstwem rewolucji będzie podkopać tę „cywilizację" dając możność wyemancypowania się rasom, rzekomo niższym. Olbrzymie to dobrodziejstwo wszakże, wyrazi się na razie w postaci znacznego zmniejszenia się dopływu artykułów spożywczych do wielkich miast Zachodu.

Trudniejszym jest do przewidzenia układ stosunków wewnętrznych w kraju objętym rewolucją. Z jednej strony rolnik odniesie niewątpliwie korzyści z rewolucji, która mu pozwoli swobodnie odetchnąć i wyprostować kark zgięty ku ziemi. Zamiast pracować, jak dziś, po 14—16 godzin, będzie nie bez racji, pracować o połowę mniej, co jednak spowodować może na razie zmniejszenie się produkcji głównych artykułów spożywczych, zboża i mięsa.

Z drugiej strony nastąpi zwiększenie produkcji, z chwilą gdy rolnik nie będzie już zmuszony pracować dla żywienia próżniaków. Nowe grunta przybędą dzięki uprawie nieużytków maszyny doskonalsze znajdą zastosowanie w rolnictwie. „Nigdy uprawa roli nie była staranniejsza, jak w 1792 r. kiedy chłop odebrał od panów feodalnych ziemię, której od tak dawna pożądał"—powiada Michelet, mówiąc o Wielkiej Rewolucji.

Niebawem kultura intensywna stanie się dostępną dla każdego rolnika, gdy udoskonalone maszyny, nawozy sztuczne i. t. p. , będą w rozporządzeniu ogółu. Wszystko jednak każe przypuszczać, że w początkowym okresie rewolucji produkcja rolna zmniejszy się zarówno we Francji, jak gdzieindziej. Naj-

---

) **Przyp. Red. Fermy, znane pod tą nazwą, oznaczały początkowo darowane przez rząd majątki, z których po raz pierwszy powstały wielkie folwarki w Stanach Zjedn. Ameryki półn. Dziś nazwa ta stosowaną jest bez związku ze swem pochodzeniem do wszelkich wielkich folwarków w zachodnich Stanach. Sam wyraz „bonanza" jest pochodzenia hiszpańskiego, oznacza duże szczęście

rozsądniej więc będzie, na wszelki wypadek, liczyć na zmniejszenie się dowozu, zarówno z wewnątrz kraju, jak i z zagranicy.

Jak zapełnić tę lukę?

Trzeba samemu wziąć się do jej zapełnienia. Rozwiązanie kwestji jest zupełnie proste.

Trzeba, żeby wielkie miasta zaczęły uprawiać ziemię tak samo, jak to czynią wsie. Trzeba powrócić do tego, co biologja nazwałaby „integracją funkcyj". Po dokonaniu podziału pracy, należy ją „scałkować": tą drogą wszystko postępuje w Przyrodzie.

Zresztą — zostawiamy filozofję na stronie — siła faktów zmusi do tego. Niech jeno Paryż spostrzeże, że po 8 miesiącach nie będzie miał zboża — a wezmie się do uprawy roli.

A ziemia? Tej nie zabraknie. Dokoła wielkich miast — a zwłaszcza Paryża — ciągną się ogrody spacerowe i parki magnatów, miljony hektarów, które czekają tylko na to, by pod umiejętną ręką inteligentnego rolnika zamienić się w żyzne pola, daleko urodzajniejsze od południowych stepów Rosji, pokrytych grubą warstwą czarnoziemu, ale wysuszonych przez słońce.

A ręce do pracy? A cóż będą robić te dwa miljony paryżan i paryżanek, skoro nie będą już ubierać i zabawiać książąt rosyjskich, rumuńskich bojarów, ani też żon bankierów berlińskich?

Mając na swe usługi wszystkie udoskonalenia techniczne ostatnich czasów, inteligencję i wiedzę fachową robotnika, obznajmionego z narzędziami pracy, mając na zawołanie wynalazców, chemików, botaników, profesorów ogrodu botanicznego, ogrodników fachowych jakoteż warsztaty i narzędzia, potrzebne do budowania znanych maszyn i wypróbowywania nowych; posiadając wreszcie zmysł organizacyjny ludu paryskiego, jego wesołe usposobienie i zapał — rolnictwo anarchistycznej komuny paryskiej wyglądać będzie zgoła inaczej niż rolnictwo chłopów ardeńskich.

Para, elektryczność, ciepło promieni słonecznych i siła wiatru, znajdą wkrótce szerokie zastosowanie. Parowe przyrządy do wzruszania i oczyszczania ziemi z kamieni w krótkim czasie spełnią robotę przygotowawczą i ziemia, spulchniona i użyźniona, oczekiwać tylko będzie rozumnego kierownictwa

człowieka, zwłaszcza kobiety, by pokryć się bujną roślinnością, odnawiającą się 3—4 razy do roku.

Ucząc się ogrodnictwa od fachowców; wypróbowując, na przeznaczonych do tego celu, polach tysiączne sposoby uprawy; spółzawodnicząc ze sobą pod względem osiąganych rezultatów; odzyskując w umiarkowanej pracy fizycznej siły, częstokroć nadwątlone pod wpływem życia wielkomiejskiego — mężczyźni, kobiety i dzieci będą szczęśliwi, że mogą oddawać się pracy rolnej, która przestanie być pracą skazańca, a stanie się radością, świętem, wiosną — odnowicielką istot ludzkich.

„Niema gruntów nieurodzajnych! Ziemia warta jest tyle, ile wart człowiek!" — oto ostatnie słowo rolnictwa spółczesnego. Ziemia daje to, czego od niej żądają: trzeba jeno żądania stawiać w sposób inteligentny.

Przestrzeń ziemi nawet tak niewielka, jak dwa departamenty francuskie np. Seine i Seine-et-Oise, mogłaby doskonale zapełnić lukę w zasobach żywności, którą stworzy rewolucja w tak wielkiem mieście jak Paryż. Gmina komunistyczna, gdy wejdzie śmiało na drogę wywłaszczenia, doprowadzi niechybnie do skombinowania rolnictwa z przemysłem, do połączenia pracy rolnika i rzemieślnika.

Niech tylko dokona tego: jeżeli zginie to z pewnością nie z głodu! Nie w głodzie, bowiem, tkwi niebezpieczeństwo, lecz w tchórzostwie myśli, w przesądach, w półśrodkach.

Niebezpieczeństwo jest tam, gdzie go dostrzegł Danton, gdy wołał do ludu francuskiego: „odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi!"

— Przedewszystkiem odwagi myśli, za którą nie omieszka przyjść odwaga czynu.

VI. MIESZKANIE.

Ci co śledzą kierunek myśli klasy robotniczej, zauważyli zapewne, że stopniowo i niespostrzeżenie zapanowała wśród niej zupełna zgoda w jednej ważnej kwestji — mianowicie w kwestji mieszkaniowej. Faktem jest niewątpliwym, że we Francji, we wszystkich wielkich miastach i w wielu mniejszych, ro-

botnicy doszli do przekonania, że domy nie są bynajmniej własnością tych, których państwo za właścicieli uznaje.

I nie podobna kazać wierzyć ludowi, że prawo własności, przysługujące kamienicznikowi, jest sprawiedliwe.

Najpierw nie właściciel zbudował dom; budują go, ozdabiają, urządzają wewnątrz setki robotników, których głód popycha do szukania zarobku, a konieczność życiowa zmusza do przyjmowania nędznej zapłaty.

Następnie pieniądze, wydane na budowę przez rzekomego właściciela, nie są owocem jego pracy osobistej. Uzbierał je tak, jak się gromadzą wszelkie fortuny, nie dopłacając robotnikowi.

Wreszcie, — i tu cała potworność rzuca się najbardziej w oczy, — rzeczywista wartość domu zależna jest od dochodu, który właściciel z niego ciągnie. Owóż dochód ten zawdzięcza się okoliczności, iż dom znajduje się w mieście brukowanem, posiadającem oświetlenie i regularną komunikację z innemi miastami, że mieści w swych murach liczne instytucje przemysłowe, handlowe, przybytki nauki i sztuki; że zdobią go mosty, murowane nadbrzeża, pomniki architektury, że dostarcza mieszkańcom tysięcy udogodnień i przyjemności, nieznanych na wsi, że 20 do 30 pokoleń pracowało nad tem, by je ozdobić, uzdrowotnić i uczynić wygodnem siedliskiem ludzkiem.

Wartość domu w niektórych dzielnicach Paryża wynosi miljon franków nie dlatego, że mury jego pochłonęły tyle pracy, lecz dlatego, że to Paryż; dlatego, że od wieków pokolenia robotników, artystów, myślicieli, uczonych i literatów mozoliły się nad uczynieniem z Paryża tego, czem jest dzisiaj — ogniska przemysłu, handlu, polityki, sztuki i nauki; dlatego że to miasto posiada swoją tradycję i przeszłość, dlatego, że jest owocem pracy osiemnastu wieków, pięćdziesięciu pokoleń narodu francuskiego, że wreszcie dzięki literaturze, znane jest zarówno na prowincji, jak i zagranicą.

Któż zatem ma prawo przywłaszczyć sobie choćby najmniejszą parcelę gruntu, na której miasto jest zbudowane, lub najnędzniejszy budynek, nie popełniając krzyczącej niesprawiedliwości? Kto ma prawo sprzedać komukolwiek choćby najmniejszą cząstkę tego spólnego dziedzictwa?

Co do tej kwestji, jak rzekliśmy, panuje wśród klasy pracującej zupełna zgodność poglądów. Idea bezpłatnych miesz-

kań ujawniła się już podczas oblężenia Paryża, gdy żądano wprost darowania komornego, o które dopominali się właściciele domów. Powtórzyło się to i podczas komuny w 1871 roku, gdy robotnicy paryscy oczekiwali od rady komunalnej zniesienia czynszu za mieszkania. Nie ulega wątpliwości, że nazajutrz po wybuchu rewolucji kwestja bezpłatności mieszkań wysunie się na czoło żądań biedaków.

Bądź co bądź, zarówno w czasach rewolucji, jak w czasach spokoju, robotnik potrzebuje dachu nad głową. Ale każde, nawet najgorsze, najniezdrowsze mieszkanie posiada właściciela, który może lokatora w każdej chwili wyrzucić. Wprawdzie podczas rewolucji kamiecznik nie będzie miał pod ręką policjanta, lub komornika do wykonania eksmisji. Ale kto wie czy nazajutrz nowy rząd, pomimo całej swej rewolucyjności, nie zechce przywrócić panowania siły i nie wypuści psiarni policyjnej!

Komuna ogłosiła dekret, zwalniający mieszkańców Paryża od płacenia komornego do 1-go kwietnia — ale tylko do 1-go kwietnia!*) Po tym terminie trzeba było płacić, mimo, że Paryż pogrążony był w chaosie, że wszelkie zarobki ustały, a rewolucjonista nie miał innych środków do życia, jak swoje półtora franka.

Trzeba jednak, żeby robotnik zdawał sobie sprawę, iż, nie płacąc komornego, korzysta nietylko z rozprzężenia i upadku władzy rządowej, trzeba, żeby wiedział, iż bezpłatność mieszkań jest zasadą uznaną i potwierdzoną niejako przez poczucie ludu, że jest to prawo proklamowane przez sam lud.

Czy mamy czekać, aż ten środek, tak bardzo odpowiadający poczuciu sprawiedliwości każdego człowieka uczciwego, wprowadzą w życie socjaliści, którzy znajdą się obok przedstawicieli burżuazji w przyszłym rządzie tymczasowym? Za długo wypadłoby czekać — aż do powrotu reakcji!

Dlatego też, odrzucając wszelkie galony i szarfy — oznaki władzy i niewoli — i pozostając w szeregach ludu, szczerzy rewolucjoniści pracować będą wraz z ludem nad tem, aby wywłaszczenie domów stało się faktem dokonanym. Pracować będą nad wytworzeniem prądu ideowego w tym kierunku, nad zastosowaniem tych idei w praktyce, a skoro one upowszech-

*) Dekret z 30 marca, który darowywał zaległe raty kwartalne za październik 1870 r., za styczeń i kwiecień 1871 r.

nią się i dojrzeją — lud przystąpi do wywłaszczenia, nie oglądając się na teorje o odszkodowaniu właścicieli i inne brednie, któremi go nie omieszkają karmić. W dniu, kiedy wywłaszczenie zostanie dokonane, kiedy domy przestaną być własnością prywatną, robotnicy i wszyscy wyzyskiwani zrozumieją, że istotnie nastała nowa era, że nie będą się już więcej zginać przed możnymi i silnymi tego świata, że równość przestała być pustym dźwiękiem; zrozumieją, że rewolucja stała się faktem, a nie komedją pozorów, jaką zazwyczaj była dotąd.

Gdy idea wywłaszczenia stanie się popularną, urzeczywistnienie jej nie spotka przeszkód nieprzezwyciężonych, o których zwykle tak wiele się mówi. Prawda, że ugalonowani panowie, którzy zajmą puste fotele w ministerjach i w ratuszu, nie omieszkają wynajdywać jak najwięcej trudności. Zaczną zaraz mówić o odszkodowaniu właścicieli, o sporządzeniu wykazów statystycznych, o wypracowaniu sążnistych raportów — i mówić będą tak długo, aż lud, zgnębiony nędzą i bezrobociem, nie widząc, aby cośkolwiek zostało urzeczywistnione, i tracąc wiarę w rewolucję, usunie się z widowni, pozostawiając wolne pole dla reakcjonistów, a sama idea wywłaszczenia, drogą biurokratyczną, stanie się dla wszystkich nienawistną.

Tu właśnie kryje się szkopuł, o który wszystko mogłoby się rozbić. Ale jeżeli lud nie da się omamić fałszywemi rozumowaniami, któremi go będą zbijać z tropu; jeżeli zrozumie, że nowe życie wymaga nowych sposobów postępowania; jeżeli ujmie sprawę we własne ręce — wtedy będzie można dokonać wywłaszczenia bez wielkich trudności. „Ale w jaki sposób?" — zapytają nas. Odpowiemy z pewnem zastrzeżeniem. Nie mamy bowiem najmniejszej ochoty kreślić szczegółowego planu wywłaszczenia. Rozumiemy bowiem doskonale, że życie prześcignie wszystko, co daje się dziś przewidzieć i rozwiąże trudności w sposób lepszy i prostszy, niż wszelkie teorje.

Zastanawiając się tu nad metodą wywłaszczenia i zużytkowania istniejących zasobów bez spółudziału rządu, mamy jedynie na celu dać odpowiedź tym, którzy uważają to za rzecz niemożliwą. Zastrzegamy się wszakże, że bynajmniej nie

rościmy pretensji do polecania tego lub innego sposobu przyszłej organizacji. Chodzi nam tylko o udowodnienie, że wywłaszczenie może być dokonane drogą inicjatywy ludowej i że inaczej dokonać się nie da.

Łatwo przewidzieć, że z chwilą rozpoczęcia dzieła wywłaszczenia, potworzą się w każdej dzielnicy miasta, przy każdej ulicy grupy ochotników, ożywionych najlepszą wolą, którzy podejmą się zebrać ścisłe dane o liczbie mieszkań niezajętych, przepełnionych, nieodpowiednich ze względów zdrowotnych, zbyt obszernych dla obecnych lokatorów i mogących przyjąć mieszkańców piwnic i poddaszy. W ciągu kilku dni owi ochotnicy sporządzą dla każdej ulicy, dla każdej dzielnicy szczegółowe spisy mieszkań zdrowych i niezdrowych, ciasnych i przestronnych, nędznych i zbytkownych. Zestawienie tych spisów da zupełną statystykę wszystkich mieszkań w mieście. Kłamliwa statystyka fabrykuje się w biurach i urzędach; statystyka prawdziwa, dokładna może pochodzić tylko od jednostki i tworzy się drogą wznoszenia się od rzeczy prostych do bardziej złożonych. Owóż, nie oglądając się na niczyją pomoc, obywatele-ochotnicy udadzą się niezawodnie do swych towarzyszów, zamieszkujących rozmaite dziury, i powiedzą im: „No, bracia, teraz to już rewolucja nie na żarty. Dziś wieczorem przyjdźcie tam i tam. Cała dzielnica się zbierze — będzie podział mieszkań. Jeżeli nie chodzi wam zbytnio o waszą ruderę, będziecie mogli wybrać sobie jedno z mieszkań pięciopokojowych, które są do dyspozycji. A skoro wprowadzicie się, sprawa załatwiona. Ktoby zechciał was stamtąd wyrzucić, ze zbrojnym ludem będzie miał do czynienia!"

„Ależ — powiedzą nam — wszyscy zechcą mieć mieszkania dwudziestopokojowe". Otóż nieprawda! Lud nigdy nie pragnął zdjąć księżyca z nieba i schować go do cebra z pomyjami. Przeciwnie, ruch ludowy, dążący do wyrównania jakiejś krzywdy społecznej, zawsze zdumiewa nas zdrowym rozsądkiem i poczuciem sprawiedliwości, które ożywia tłumy. Czyż lud żądał kiedykolwiek rzeczy niemożebnych? Czy widział kto, by podczas dwóch oblężeń lud paryski wydzierał sobie wzajem chleb lub drzewo na opał? Wystawał on w ordynku z taką rezygnacją i cierpliwością, że korespondenci pism zagranicznych nie mogli wyjść z podziwu; a jednak każdy z oczekują-

cych wiedział doskonale, że ci, co przyszli na końcu, będą musieli spędzić dzień o głodzie i chłodzie.

Niewątpliwie w duszach ludzkich tai się sporo instynktów samolubnych, wyhodowanych dzięki odosobnieniu, w jakiem żyje jednostka w społeczeństwie spółczesnem. Wiemy o tem dobrze. Ale wiemy również, że najskuteczniejszym środkiem dla rozbudzania i podsycania tych instynktów byłoby powierzenię kwestji mieszkań jakiejkolwiek instytucji biurokratycznej. Wówczas istotnie wszystkie dzikie namiętności wyszłyby na jaw. Otwarłoby się szerokie pole do nadużyć i sobkostwa wszelakiego rodzaju. Najmniejsza nierówność wywoływałaby głośne sarkanie i krzyki; najmniejsze względy, okazane komukolwiek, dawałyby powód do oskarżeń o przekupstwo — i całkiem słusznie!

Lecz, gdy lud sam, grupując się podług ulic, dzielnic, okręgów, podejmie się przesiedlania mieszkańców ruder do zbyt obszernych lokalów bogatego mieszczaństwa, wszystkie drobne niedogodności i nierówności przyjęte będą z lekkiem sercem.

Rzadko bardzo odwoływano się do dobrych instynktów mas ludowych. Czyniono to wprawdzie kilkakrotnie podczas rewolucji, gdy chodziło o ratowanie tonącej łodzi — i nigdy się nie zawiedziono.

Lud pracujący odpowiadał na wezwanie czynami wielkiego poświęcenia. Tak samo zachowa się, gdy wybuchnie przyszła rewolucja. Pomimo to nie obejdzie się zapewne bez niesprawiedliwości. Niepodobna ich uniknąć. W łonie naszego społeczeństwa są jednostki, których żadne wielkie wstrząśnienie społeczne nie zdoła zepchnąć z wąskiej ścieżki egoizmu.

Nie chodzi tu wszakże o rozstrzygnięcie pytania, czy krzywdy będą czy nie będą. Pragniemy wiedzieć w jaki sposób można ograniczyć niesprawiedliwości do minimum.

Owóż zarówno historja, skarbnica doświadczeń ludzkich, jak i psychologja społeczeństw przemawia za oddaniem spraw w ręce zainteresowanych, jako za metodą najbardziej słuszną i sprawiedliwą. Oni jedni mają możność wziąć pod uwagę, uporządkować i należycie ocenić tysiączne szczegóły, które zkonieczności muszą pozostać nieuwzględnione przy wszelkiem biurokratycznem załatwianiu sprawy.

Zresztą nie będzie chodziło o bezwzględnie równy podział. Niedogodności, które wynikną dla niejednej rodziny przy podziale mieszkań, można z łatwością wyrównać w społeczeństwie, które weszło na drogę wywłaszczenia.

Byle mularze, kamieniarze, słowem wszyscy robotnicy budowlani wiedzieli, że mają byt zapewniony, a chętnie po kilka godzin dziennie oddawać się będą pracy, do której przywykli. Nowym domom dadzą inny rozkład pokojów, niż dzisiejszy, który wymaga sztabu służby. W ciągu kilku miesięcy wyrosną, jak z pod ziemi, szeregi domów daleko higjeniczniej urządzonych, niż obecne. Tym z pośród obywateli, którzy pozostali bez wygodnego mieszkania, komuna anarchistyczna powie:

„Cierpliwości, towarzysze! Na terytorjum wolnego miasta staną niebawem zdrowe, wygodne, piękne pałace, daleko lepsze od tych, które budowali kapitaliści. Służyć one będą najbardziej potrzebującym. Komuna anarchistyczna nie wznosi budowli w celach zysku. Te które wzniesie — owoc ducha i pracy zbiorowej, służyć będą za wzór dla całej ludzkości — i będą należeć do wszystkich!"

Z chwilą, gdy lud zrewolucjonizowany dokona wywłaszczenia i ogłosi bezpłatność mieszkań, własność spólną domów mieszkalnych i uzna prawo każdej rodziny do zajęcia zdrowego i wygodnego mieszkania, rewolucja przybierze odrazu charakter komunistyczny i wstąpi na tory, z których ją nierychło można będzie zepchnąć. Będzie to pierwszy cios śmiertelny, który zada własności indywidualnej.

Sprawa wywłaszczenia domów mieszkalnych nosi w sobie, w zarodku, całą rewolucję społeczną. Od sposobu, w jaki sprawa ta załatwioną zostanie, zależeć będzie charakter i kierunek dalszych wypadków. Albo wstąpimy na szeroką, wielką drogę, wiodącą do komunizmu anarchistycznego, albo w dalszym ciągu brnąć będziemy w bagnie indywidualizmu.

* * *

Łatwo przewidzieć liczne zarzuty, zarówno teoretycznej, jak i praktycznej natury, które posypią się na nas.

Ponieważ chodzić będzie o utrzymanie za jakąkolwiek cenę istniejących niesprawiedliwości, przeto najpierw usłyszymy głosy, przemawiające w imieniu sprawiedliwości: — „Cóż

to za niegodziwość — wołać będą — że paryżanie zagarniają dla siebie najpiękniejsze domy, a nędzne chałupy pozostawiają włościanom?" Nie dajmy się złudzić. Zapamiętali zwolennicy sprawiedliwości, dzięki szczególniejszej właściwości swego umysłu, zapominają o krzyczącej nierówności i stają się jej obrońcami. Zapominają o tem, że w tym samym Paryżu robotnik dusi się wraz z żoną i dziećmi w smrodliwej, ciasnej dziurze, widząc przez okno po drugiej stronie ulicy wspaniały zamek bogacza. Zapominają o tem, że pokolenia całe giną w ciasnych i brudnych dzielnicach miasta z braku powietrza i słońca i że zniesienie tej krzywdy powinno być pierwszym, najbardziej naglącym obowiązkiem rewolucji.

Nie mamy po co zatrzymywać się dłużej nad tym wykrętnym i nieszczerym zarzutem. Wiemy, że nierówność, która jeszcze istnieć będzie między Paryżem a wsią, z dniem każdym może się zmniejszać i wyrównywać; z chwilą, gdy chłop przestanie być kozłem ofiarnym właściciela ziemskiego, fabrykanta, lichwiarza i państwa, wówczas i wieś zacznie przybierać odmienny od dzisiejszego wygląd. Czyżby dla uniknięcia niesprawiedliwości chwilowej i łatwej do naprawienia należało zachować krzywdę istniejącą od wieków?

Niemniej słabe są zarzuty natury praktycznej.

„Oto, powiedzą nam, biedak, który, dzięki niedojadaniu i odmawianiu sobie najniezbędniejszych rzeczy doszedł do możności kupienia domu, który zamieszkuje z rodziną. Czuje się tu szczęśliwy; czy i jego również wyrzucicie?"

Oczywiście, że nie! Jeżeli dom wystarcza zaledwie na pomieszczenie jego rodziny — niechże sobie mieszka dalej. Niech pielęgnuje kwiaty w ogródku przed oknami! Nasze chłopaki, w razie potrzeby, chętnie mu dopomogą. Ale jeżeli posiada lokal, który odnajmuje, to pójdziemy do lokatora i powiemy mu: „Czy wiecie, towarzyszu, że nic już nie jesteście winni swemu staremu? Zostańcie w swem mieszkaniu i nie płaćcie nic, nie obawiajcie się komornika; doczekaliśmy się naszej s o c j a l n e j!"

A jeżeli właściciel kamienicy sam zajmuje dwadzieścia pokojów, a w tej samej dzielnicy matka z pięciorgiem dzieci gnieździ się w jednym pokoju, to lud pójdzie sprawdzić, czy z tych dwudziestu pokojów nie da się wybrać kilka takich, które, po dokonaniu pewnych przeróbek, mogłyby służyć jako

wygodne mieszkanie dla matki i dzieci. Czyżby sprawiedliwiej było pozostawić matkę z pięciorgiem drobiazgu w ciasnej ciupie, a opasłego jegomościa w pałacu? Zresztą i sam jegomość zmiarkuje się niebawem, gdy zabraknie służby do sprzątania i froterowania, małżonka jego rada będzie, gdy zdarzy się okazja oddania połowy swych apartamentów.

„Ależ to będzie zamieszanie!" — zawołają obrońcy porządku. — „Przenoszeniom z mieszkania do mieszkania nie będzie końca! Lepiej już byłoby wypędzić całą ludność na ulicę a potem ciągnąć losy, komu jakie mieszkanie przypadnie!" Otóż jesteśmy głęboko przekonani, że, o ile żaden rząd nie wmiesza się do tej sprawy i o ile jej załatwianie spoczywać będzie w ręku grup obywateli, które samorzutnie potworzą się w tym celu, owe przenosiny będą daleko mniej liczne, niż te, które dziś w ciągu roku powoduje chciwość kamieniczników.

W każdem wielkiem mieście bywa zwykle tyle mieszkań wolnych w każdym czasie, że w nich śmiało pomieścićby się mogła większa część ludności, cisnącej się w piwnicach i na poddaszach. Co się zaś tyczy pałaców i mieszkań zbykownych, to sądzimy, że wiele rodzin robotniczych nie zechciałoby się do nich wprowadzać: niepodobna bowiem w nich mieszkać bez licznego zastępu służby. Również i mieszkańcy pałaców woleć będą mieszkania mniej zbytkowne, w którychby panie bankierowe mogły własnoręcznie prowadzić kuchnię. Nie trzeba będzie wcale pod eskortą bagnetów przeprowadzać bankiera na poddasze, a mieszkańca poddasza - do pałacu bankiera! Stopniowo sama ludność dobrowolnie podzieli między sobą wszystkie istniejące mieszkania i uczyni to bez wywołania zamętu. Przecież widzimy, jak rosyjskie gminy wiejskie dokonywują perjodycznie podziału gruntów, nie wprowadzając najmniejszego zamętu do życia i gospodarstwa swych członków, tak, iż podziwiać należy trafność i skuteczność ich metod. Całe tomy poszukiwań i badań stwierdziły, że w gminie rosyjskiej daleko rzadziej ziemia przechodzi z rąk do rąk wskutek podziału gruntów, niż tam, gdzie własność indywidualna się procesuje. Czyżby mieszkańcy wielkiego miasta europejskiego mieli być głupsi i mniej uzdolnieni pod względem organizacyjnym od chłopów rosyjskich lub Hindusów?

Zresztą, wszelka rewolucja jest pewnego rodzaju przewrotem, wstrząśnieniem życia codzienego i ci, co spodziewają

się przebyć wielkie przesilenie społeczne w takim błogim spokoju, by żony ich nie potrzebowały oderwać się nawet na chwilę od swych zajęć domowych, doznają gorzkiego zawodu. Rządy można zmieniać tak szybko i gładko, że podczas przewrotu politycznego, żaden filister nawet nie spóźni się na obiad, ale nie w taki sposób naprawia się krzywdy społeczeństwa względem jego żywicieli.

Wstrząśnienie będzie, — to rzecz niewątpliwa. Chodzi o to, aby było jak najmniej bolesne, i aby nie daremne. I — powtarzam raz jeszcze — tylko wtedy będzie to możliwe, gdy odwołamy się nie do zarządzeń biurokratycznych, lecz do zainteresowanych — do ludu. Tylko w takim razie suma niewygód i cierpień ograniczy się do minimum.

Lud popełnia błąd za błędem, przy wyborach jednego z zarozumialców, ubiegających się o honor przedstawicielstwa ludu i podejmujących się wszystko zrobić, wszystko wiedzieć, wszystko zorganizować. Ale gdy ma przed sobą zadanie, które go dotyczy bezpośrednio, i na którem się zna, wykonywa je stokroć sumienniej i lepiej, niż wszystkie konstytucje biurokratyczne w świecie. Czyż nie wiemy, jak poczynał sobie podczas Komuny? Czyż nie widzieliśmy go podczas ostatniego wielkiego strejku w Londynie? Czyż nie widzimy codziennie jego pracy organizatorskiej w gminach rolnych?

VII. ODZIEŻ.

Jeżeli domy uznane zostaną za spólne dziedzictwo ludności miejskiej i jeżeli ma być dokonany podział artykułów spożywczych, to niewątpliwie trzeba będzie uczynić jeden krok jeszcze. Z kolei bowiem wejdzie na porządek dzienny kwestja odzieży; jedynem możliwem rozstrzygnięciem tej kwestji będzie opanowanie w imieniu ludu sklepów i składów odzieży i oddanie całego zapasu do użytku publicznego: niech każdy bierze, czego mu potrzeba. Z chwilą, gdy zasadę komunistyczną zastosujemy do domów i żywności, innego rozwiązania kwestji odzieży być nie może.

Oczywiście nie będziemy potrzebowali ogałacać obywateli z ich palt, zgromadzać wszystką odzież, by ją potem rozlo-

sować, jak to przypuszczają nasi dowcipni i mądrzy krytycy. Każdy zachowa swoje palto, jeżeli ma jedno; a nawet, gdyby miał ich dziesięć, to nikt prawdopodobnie nie pokusi się mu go odebrać. Każdy woli mieć nowe palto, niż noszone, a nowej odzieży znajdzie się tyle, że nie będzie chyba potrzeby przetrząsać starej garderoby. Gdybyśmy zliczyli zasoby odzieży, nagromadzone w sklepach wielkich miast, to przekonalibyśmy się łatwo, że Paryż, Londyn, Bordeaux i Marsylja kryją w swych murach takie zapasy, iż Komuna mogłaby śmiało ofiarować każdemu obywatelowi i każdej obywatelce po jednem ubraniu. Zresztą, jeśli nie wszyscy znajdą dla siebie odzież odpowiednią, to warsztaty komunalne będą mogły wkrótce ten brak zapełnić. Wiadomo z jaką szybkością pracują dzisiaj warsztaty krawieckie, zaopatrzone w udoskonalone maszyny i wdrożone do produkcji na szeroką skalę.

„Ależ wszyscy zapragną mieć futra sobolowe, a każda kobieta zażąda sukni aksamitnej" — wołają nasi przeciwnicy.

Płonne obawy. Nie wszyscy mają upodobanie do aksamitu i nie wszyscy marzą tylko o futrze sobolowem. Gdyby dziś nawet zaproponowano paryżankom wybór sukni podług własnego gustu, to niewątpliwie znalazłaby się niejedna, która przełożyłaby prostą i skromną suknię, nad wszelkie stroje fantazyjne naszych lwic wielkoświatowych. Zresztą gusta zmieniają się z czasem i kto wie, czy podczas rewolucji nie zapanuje prostota. Społeczeństwo, podobnie jak jednostka, miewa chwile znikczemnienia i chwile bohaterstwa. Nawet najbardziej spodlone społeczeństwo, tonące, jak dzisiejsze, w bagnie drobnych, samolubnych interesów, zmienia się całkowicie w wielkich epokach, jakgdyby jakiś podmuch szlachetnego uniesienia i zapału wionął na nie. Ludzie wielkiego serca i uczucia zaczynają pozyskiwać posłuch i wpływ, który dziś przypadł w udziale rozmaitym politykom i partaczom społecznym. Mnożą się czyny poświęcenia, wielkie przykłady znajdują naśladowców; każdy, nawet egoista, wstydzi się pozostać w tyle i śpieszy przyłączyć się do zastępów dzielnych i szlachetnych. Wielka rewolucja 1793 roku obfituje w przykłady tego rodzaju. W dobie wielkich przesileń, owych wiosen odrodzenia moralnego, — które przeżywają zarówno społeczeństwa, jak i jednostki — widzimy jedynie te wzniosłe i wspaniałe porywy, pozwalające ludzkości uczynić krok naprzód.

Dalecy jesteśmy od przeceniania roli, którą prawdopodobnie odegrają owe piękne namiętności, utajone w łonie ludzkości, i nie na nich jedynie fundujemy nasz ideał społeczny. Ale nie będzie zgoła przesady, jeżeli przypuścimy, że dopomogą one wiele do przebycia pierwszych, najtrudniejszych momentów. Nie możemy liczyć stale na poświęcenia w życiu codziennem: ale możemy spodziewać się, że zakwitną one, jak kwiaty, przy pierwszych podmuchach rewolucji — a to jest wszystko, czego potrzeba. Tych porywów braterstwa społeczeństwo anarchistyczne będzie najwięcej potrzebowało właśnie wtedy, gdy nadejdzie chwila oczyszczania gruntu, uprzątania nawozu, nagromadzonego przez wieki ucisku i niewoli. Później będzie mogło żyć i rozwijać się bez odwoływania się do poświęcenia, albowiem wypleni ucisk i przez to samo stworzy grunt dla rozwoju wszelkich uczuć solidarności i braterstwa.

Zresztą, o ile rewolucja odbędzie się w duchu komunistycznym, swobodna inicjatywa jednostek znajdzie szerokie pole czynu dla zwalczania zakusów ze strony egoistów. Przy każdej ulicy, w każdej dzielnicy miasta tworzyć się będą grupy obywateli w celu zaopatrywania ludności w odzież. Sporządzą one inwentarz tego, co miasto posiada i uświadomią sobie, jakiemi zasobami rozporządza. Względem odzieży zastosują prawdopodobnie obywatele miasta tę samą zasadę, co i względem artykułów spożywczych: — „Dowolne użytkowanie przedmiotów, których nie brak; rozdawnictwo przedmiotów rzadkich".

Nie mogąc ofiarować każdemu obywatelowi futra sobolowego, a każdej obywatelce sukni aksamitnej, społeczeństwo będzie musiało prawdopodobnie rozróżniać przedmioty niezbędne od zbytecznych. I suknie aksamitne i sobole zaliczy — przynajmniej prowizorycznie — do kategorji przedmiotów zbytku, chociaż może, okazać się później, że to, co dziś jest zbytkiem, jutro stanie się rzeczą powszednią. Miasto anarchistyczne, zabezpieczywszy każdemu mieszkańcowi najniezbędniejsze przedmioty codziennego użytku, będzie mogło pozostawić działalności prywatnej dostarczanie chorym i słabym przedmiotów, które na razie będą uważane za przedmioty zbytku.

„Ależ to zrównanie potrzeb! Szary habit mnisi" — powiedzą nam. — „Jest to skazanie na zagładę dzieł sztuki, wszystkiego, co jest ozdobą życia!" — Bynajmniej! Opierając się na tem, co już dziś istnieje, postaramy się wykazać, w jaki sposób

społeczeństwo anarchistyczne będzie mogło zaspakajać artystyczne upodobania swych członków, nie obdarzając ich dlatego fortunami miljonowemi.

VIII. CEL I WYDAJNOŚĆ PRODUKCJI.

Jeżeli jakiekolwiek społeczeństwo, czy miasto zabezpieczy wszystkim przedmioty pierwszej potrzeby, to siłą faktów będzie musiało objąć w swe ręce środki produkcji, a więc ziemię, maszyny, fabryki, środki komunikacji i t. p. Kapitał również zostanie uspołeczniony.

Organizacji burżuazyjnej stawiamy zarzut nietylko z powodu, że kapitalista zgarnia lwią część zysków każdego przedsiębiorstwa przemysłowego i handlowego, co pozwala mu żyć bez pracy. Główny zarzut dotyczy zupełnie fałszywej drogi, na jaką weszła produkcja: nie ma ona na celu zepewnienia wszystkim dobrobytu. Oto główny powód do potępienia organizacji kapitalistycznej.

Produkcja towarowa nie może mieć na celu dobra ogółu. Żądać od niej czegoś podobnego byłoby tem samem, co wymagać od kapitalisty, by zrzekł się swych przywilejów i spełniał funkcję społeczną, której ,będąc przedsiębiorcą prywatnym, dążącym do własnego wzbogacenia, wcale spełniać nie może. Organizacja kapitalistyczna, oparta na interesie osobistym przedsiębiorcy, dała już społeczeństwu wszystko, co dać mogła, t. j. wzmogła wydajność pracy. Korzystając z przewrotu, dokonanego w przemyśle przez maszynę parową, nagły rozwój mechaniki i chemji, oraz liczne wynalazki ostatnich czasów, kapitalista we własnym interesie usiłował podnieść wydajność pracy ludzkiej i przyznać trzeba, iż w znacznym stopniu cel osiągnął. Ale wkładać nań jakąkolwiek inną misję, byłoby niedorzecznością. Żądać, naprzykład, by zyski, osiągane z nadwartości pracy, obracał na rzecz społeczeństwa, znaczyłoby żądać filantropji i miłości bliźniego, a przedsiębiorstwa kapitalistycznego na miłości przecież opierać niepodobna.

Na społeczeństwo spada teraz zadanie tę zwiększoną wydajność pracy rozciągnąć na całą produkcję i oddać na usługi ogółu. Dla zapewnienia dobrobytu powszechnego jest, oczywiście, niezbędnem, by społeczeństwo przejęło wszystkie środki produkcji.

Ekonomiści przypomną nam niewątpliwie, lubią bowiem często przytaczać ten argument, że w niektórych gałęziach przemysłu kategorja młodych, silnych, zręcznych robotników cieszy się względnym dobrobytem. Zawsze powołują się z dumą wobec nas — na tę garstkę pracowników. Ale nawet ten dobrobyt — udział niewielu — czyż jest zapewniony? Jutro może niedbalstwo, brak przezorności, czy chciwość przedsiębiorcy wyrzuci na bruk tych uprzywilejowanych i krótki okres dobrobytu będzie okupiony przez lata niedostatku lub nędzy. Ileż przedsiębiorstw w ważnych gałęziach przemysłu (przemysł żelazny, tkacki, cukrowniczy i t.p.) przeżywa okresy zastoju i bezrobocia z powodu spekulacji, zmian naturalnych w warunkach pracy lub skutków spółzawodnictwa? Wszystkie ważniejsze gałęzie przemysłu tkackiego i mechanicznego, przechodziły niedawno przesilenia. A cóż mówić o gałęziach przemysłu, które mają charakter efemeryczny lub sezonowy!

Jakim kosztem zdobywany bywa względny dobrobyt kilku kategoryj robotników? Kosztem ruiny rolnictwa, bezwstydnego wyzysku chłopa i nędzy mas. Obok nielicznej mniejszości robotników, korzystających z względnego dobrobytu, ileż to miljonów pędzi życie z dnia na dzień, bez pewności zarobku i chleba! Ilu chłopów pracuje po czternaście godzin dziennie za lichą strawę!

Kapitalizm wyludnia wieś, wyzyskuje kolonje i kraje o opóźnionym rozwoju przemysłu, skazuje olbrzymią większość robotników na brak wykształcenia nawet w ich własnym fachu. Rozkwit jednej gałęzi przemysłu okupuje ruina dziesięciu.

Nie jest to bynajmniej przypadek, lecz konieczność ustroju kapitalistycznego. Na to, żeby wynagradzać należycie parę kategoryj robotników, potrzeba dziś: by chłop był kozłem ofiarnym społeczeństwa; by wieś wyludniała się na korzyść miasta; by drobne rzemiosła skupiały się na biednych przedmieściach wielkich miast i produkowały niemal za darmo tandetę, udostępniającą wyroby wielkiego przemysłu licho zarobkującej ludności; na to, by marne tkaniny mogły rozejść się na odzież dla ludności robotniczej, krawiec musi zadawalać się zapłatą głodową! Potrzeba wreszcie, by kraje Zachodu wyzyskiwały bardziej zacofany Wschód.

Zło obecnej organizacji nie pochodzi zatem z tego, że nadwartość produkcji idzie na korzyść kapitalistów — jak to twier-

dził Rodberthus i Marks, zwężając przez to koncepcję socjalistyczną i zacieśniając pogląd ogólny na całokształt ustroju kapitalistycznego. Nadwartość jest bowiem wynikiem głębiej ukrytych przyczyn. Zło zasadza się w tem właśnie, że może istnieć jakabądź nadwartość, zamiast prostej nadwyżki, niespożytej przez każde pokolenie. Dla istnienia nadwartości trzeba, by robotnicy płci obojga, a nawet dzieci, zmuszani przez głód, sprzedawali swą siłę roboczą za szczupłą część tego, co ona wytwarza, a zwłaszcza, co wytworzyć może.

Tak będzie jednak dopóty, dopóki środki produkcji będą własnością prywatną. Póki człowiek zmuszony jest płacić haracz właścicielowi za prawo uprawiania roli lub puszczania w ruch maszyny, póki przedsiębiorca ma możność produkowania przedmiotów, zapewniających mu największe zyski, bez względu na odczuwane przez ogół potrzeby, póty dobrobyt może być tylko przejściowym udziałem małej garstki ludzi, okupywanym nędzą i niedolą reszty społeczeństwa. Niedość jest rozdzielić pomiędzy robotników zyski jakiejś jednej gałęzi przemysłu, jeśli równocześnie potrzeba wyzyskiwać tysiące robotników w innych gałęziach. Zagadnienie polega na tem, by wytwarzać możliwie najmniejszym nakładem sił ludzkich możliwie największą sumę niezbędnych produktów.

Taki punkt widzenia na całokształt potrzeb społeczeństwa obcy jest przedstawicielom własności prywatnej. Dlatego to społeczeństwo, które przyjmie ten ideał, będzie zmuszone wywłaszczyć środki wytwarzania bogactw. — Obejmie w swe posiadanie ziemię, fabryki, kopalnie, środki komunikacji, a nadto będzie stale badać zarówno potrzeby spożywców, jak najbardziej celowe metody produkcji.

Ile godzin dziennie człowiek musiałby pracować dla zapewnienia swej rodzinie dostatecznego pożywienia, wygodnego mieszkania i niezbędnej odzieży? Pytanie to oddawna zaprząta umysły socjalistów. Przypuszczają ogólnie, że wystarczy cztery do pięciu godzin pracy — pod warunkiem, oczywiście, że pracować będą wszyscy. W końcu XVIII wieku Benjamin Franklin przyjął normę pięciu godzin. Jeżeli od tego czasu potrzeby ludz-

kie wzrosły, to należy pamiętać, że produkcyjność pracy podniosła się także i to w większym daleko stopniu.

W rozdziale XVII, gdzie mowa o rolnictwie, zobaczymy, co dać może ziemia człowiekowi, który ją uprawia w sposób rozumny i nie rzuca ziarna w rolę źle obrobioną, jak to się dzieje dzisiaj. W wielkich fermach Zachodnich Stanów Ameryki, o obszarze dziesiątek tysięcy kilometrów kwadratowych, których gleba jest daleko uboższa od ulepszonej przez kulturę ziemi Europy, zbiór z hektara wynosi 12 — 18 hektolitrów, czyli połowę tego, co dają gospodarstwa w Europie i we Wschodnich Stanach Ameryki. A jednak dzięki maszynom, które pozwalają dwóm robotnikom obrobić dziennie dwa i pół hektara, stu ludzi przez rok wyprodukowuje zboże, potrzebne w ciągu roku dla dziesięciu tysięcy osób.

Zatem dla zepewnienia sobie chleba na cały rok, człowiek w tych warunkach potrzebowałby pracować tylko trzydzieści godzin, czyli sześć dni pięciogodzinnych. Dla zaopatrzenia zaś w chleb rodziny, złożonej z pięciu osób — potrzebaby trzydziestu takich pół-dni pracy.

Wykażemy na podstawie danych z praktyki dzisiejszej, że przy zastosowaniu intensywnej kultury rolnej, niespełna sześćdziesiąt pół-dni roboczych wystarczyłoby na wyprodukowanie dla całej rodziny nietylko chleba, mięsa i jarzyn, ale nawet wykwintnych owoców.

Z drugiej strony, badając sprawę mieszkań robotniczych w wielkich miastach angielskich, przekonamy się, że budowa oddzielnego domku robotniczego, pochłania 1400 — 1800 pięciogodzinnych dni pracy. Domek taki służyć może conajmniej przez pięćdziesiąt lat, czyli 28 — 36 pół-dni pracy na rok może zapewnić rodzinie robotniczej zdrowe i ładne pomieszkanie, zaopatrzone we wszelkie niezbędne udogodnienia. Tymczasem, teraz robotnik za takie same mieszkanie płaci właścicielowi domu 75 — 100 dni pracy rocznie.

Zważmy, że dane powyższe przedstawiają obecne koszty mieszkań w Anglji, przy wadliwej organizacji społeczeństwa. W Belgji wzniesiono daleko mniejszym kosztem całe kolonje robotnicze. Wziąwszy wszystko to pod uwagę, twierdzimy, iż w dobrze zorganizowanem społeczeństwie 30 — 40 pół-dni pracy wystarczyłoby dla zapewnienia sobie wygodnego mieszkania.

Pozostaje kwestja odzieży. Tu wszelkie obliczenie jest niemal niemożliwe, gdyż zyski chmary pośredników, tkwiące w cenie sprzedażnej tkanin i realizowane przy sprzedaży, wymykają się z pod wszelkiej oceny. Weźmy, naprzykład, sztukę sukna i zliczmy to, co pobrał właściciel łąki, posiadacz owiec, kupiec wełny i wszyscy jego pośrednicy, towarzystwo kolei żelaznych, właściciel przędzalni, tkalni, kupcy i komisjonerzy; wówczas dopiero mieć będziemy pojęcie, ile płacimy haraczu przy kupnie ubrania, całemu zastępowi kapitalistów. Niepodobna wprost określić, ilu dniom roboczym odpowiada palto, które kupujemy, powiedzmy, za sto franków w wielkim magazynie paryskim.

Jedno jest pewne, mianowicie to, że przy pomocy maszyn spółczesnych ludzie doszli do produkowania iście bajecznych ilości tkanin.

Przytoczmy kilka przykładów. W Stanach Zjednoczonych w 751 fabrykach wyrobów bawełnianych (przędzalnie i tkalnie) 175.000 robotników i robotnic wyrabia bez mała 2 miljardy metrów tkanin, oraz olbrzymie ilości nici. Samych tkanin wypada przeciętnie na jednego robotnika w ciągu 300 dni roboczych po 9½ godzin pracy — 11.000 metrów, czyli 40 metrów na 10 godzin. Jeżeli przyjąć, że rodzina robotnicza zużywa w ciągu roku 200 metrów, co jest aż nadto wystarczające, to ilość ta odpowiada 50 godzinom pracy, czyli dziesięciu dniom pięciogodzinnym. Nadto pozostawałaby pewna ilość nici, używanych do szycia, do zakładania osnowy pod sukno i do wyrabiania tkanin pół-wełnianych.

Co się tyczy postępów w samym przemyśle tkackim, to statystyka urzędowa Stanów Zjednoczonych wykazuje, że w roku 1870 robotnik, pracując 13 — 14 godzin, wyrabiał 9.500 metrów białej tkaniny bawełnianej. W 16 lat później (w 1886), pracując już tylko 55 godzin tygodniowo, wyrabiał 27.000 m. Tkanin kolorowych (tkanie i barwienie) wyrabiano 29.150 metrów w ciągu 2669 godzin pracy rocznej, czyli 11 metrów na godzinę. Dla otrzymania zatem owych niezbędnych dla rodziny 200 metrów tkanin białych i kolorowych potrzebaby pracować niespełna 20 g o d z i n r o c z n i e.

Trzeba dodać, że materjał surowy przychodzi mniej więcej w takiej postaci, w jakiej zostaje zabrany z pola i że cały szereg manipulacyj, którym podlega bawełna, zanim przekształ-

ci się w tkaninę, jest uwzględniony w obliczeniu tych 20 godzin. Dla kupienia w sklepie 200 metrów materjału musi robotnik — i to robotnik dobrze wynagradzany — poświęcić conajmniej 10 — 15 dziesięciogodzinnych dni pracy, czyli 100 — 150 godzin. A chłop angielski, by pozwolić sobie na ten zbytek, musi mozolić się miesiąc, jeżeli nie więcej.

Z tego przykładu widać, że w dobrze zorganizowanem społeczeństwie 50 pół-dni pracy rocznie dałoby możność zaopatrzenia siebie i rodziny w odzież lepszą, niż ta, którą posiada dzisiaj nasze drobnomieszczaństwo.

Z rachunku naszego wypada, że potrzeba 60 pół-dni pracy dla zapewnienia jednej rodzinie płodów ziemi na cały rok, 40 pół-dni—na mieszkanie, a 50—na odzież, czyli razem 150 dni, t. j. pół roku.

Pozostaje zatem jeszcze 150 pół-dni roboczych, które można będzie użyć na zaspokojenie innych potrzeb, np. meble, środki przewozowe, towary kolonjalne i t. p.

Obliczania nasze są, oczywiście, tylko przybliżone. Można je wszakże sprawdzić w inny sposób. Jeżeli zliczymy w każdym narodzie cywilizowanym tych, którzy nic nie wytwarzają, albo pracują w przemysłach szkodliwych, skazanych na zagładę, tych wreszcie, którzy trudnią się bezużytecznem pośrednictwem, to przekonamy się, że liczba właściwych wytwórców mogłaby być podwojona. Zdwojona liczba wytwórców, przy trosce społeczeństwa o oszczędzanie sił ludzkich, umożliwiłaby zredukowanie czasu pracy do pięciu godzin dziennie bez zmniejszenia ogólnej wytwórczości. Jeżeliby dalej usunąć marnotrawienie sił ludzkich w służbie bogaczy, oraz administracji, liczącej jednego urzędnika na dziesięciu mieszkańców, i użyć te siły na pracę produkcyjną, to możnaby ograniczyć dzień pracy do czterech, a nawet trzech godzin, o ilebyśmy się zadawalniali obecną ilością produktów.

Opierając się na powyższych wywodach, dojść możemy do następującego wniosku: Weźmy społeczeństwo o kilku miljonach członków, trudniących się rolnictwem i różnemi gałęziami przemysłu, — przypuśćmy, naprzykład, że to będzie Paryż wraz z departamentem Seine-et-Oise. Dzieci w tem społeczeństwie uczą się pracować zarówno rękami, jak głową. Dorośli, z wyjątkiem kobiet, zajętych wychowaniem dzieci, zobowiązują się pracować po pięć godzin dziennie od 20 czy 22 lat do 45

czy 50 lat, według swego wyboru w jednej z dziedzin pracy, uznanych za niezbędną. Społeczeństwo takie mogłoby zapewnić dobrobyt wszystkim swym członkom — dobrobyt istotny, odmienny od tego, w który opływa dzisiejsza burżuazja. Każdy pracownik rozporządzałby ponadto conajmniej pięciu godzinami czasu, które poświęcałby nauce, sztuce i zaspakajaniu potrzeb indywidualnych, nie objętych kategorją rzeczy niezbędnych. Z czasem, ze wzrostem produkcyjności pracy ludzkiej, wszystko, co dziś jest uważane za zbytek niedostępny, zostałoby włączone do kategorji rzeczy niezbędnych.

IX. PRAGNIENIE ZBYTKU.

Człowiek nie jest wszakże istotą, którą sprawy jedzenia, picia i znalezienia sobie schroniska, mogłyby w zupełności zadowolić. Gdy zaspokoi swe potrzeby materjalne z niemniejszą siłą budzą się w jego duszy pragnienia, którym możnaby dać miano artystycznych. Ilu ludzi, tyle pragnień. W miarę rozwoju cywilizacji i indywidualności ludzkiej — pragnienia te coraz bardziej się różniczkują.

Dziś nawet spotkać można wiele osób płci obojga, które wyrzekają się rzeczy najniezbędniejszych dla jakiegoś drobnego przedmiotu zbytku, przyjemności, zadowolenia umysłowego lub materjalnego. Chrześcijanin, asceta potępia potrzeby zbytku, ale w rzeczywistości właśnie te drobiazgi przerywają monotonność życia i uprzyjemniają je. Czy wobec nieuniknionych utrapień życie byłoby co warte, jeśliby człowiek nie miał, od czasu do czasu, po za pracą codzienną, przyjemności, odpowiadających jego upodobaniom.

Jeśli pragniemy rewolucji socjalnej, to niewątpliwie dlatego, by przedewszystkiem ogółowi zapewnić chleb, by przekształcić ten obmierzły porządek rzeczy, gdzie zdrowi muszą próżnować, gdy nie znajdą fabrykanta, który chciałby ich wyzyskiwać, a całe rodziny robotnicze umierają przedwcześnie z braku opieki, odpowiedniego pożywienia i mieszkania. Pragniemy rewolucji, by wreszcie położyć kres wszystkim krzywdom i niesprawiedliwościom.

Oczekujemy wszakże od rewolucji jeszcze czegoś innego. Obecnie robotnik, zmuszony do ciężkiej walki o byt, pozbawiony jest owych wzniosłych rozkoszy, najwyższych, jakie są dostępne dla człowieka, które daje wiedza i sztuka, a zwłaszcza

twórczość naukowa i artystyczna. Właśnie dlatego, by te dziedziny, będące dotychczas przywilejem niewielu, udostępnić wszystkim, by zapewnić wolny czas, niezbędny dla rozwoju zdolności umysłowych — rewolucja musi każdemu dostarczyć chleba powszedniego. Czas wolny, oto—zaraz po chlebie—nasz cel najwyższy.

Naturalnie, że obecnie, gdy setkom istot ludzkich brak rzeczy najniezbędniejszych, zbytek jest zbrodnią; istnienie zbytku okupuje się dziś przymieraniem z głodu dziecka robotniczego! Ale w społeczeństwie, gdzie nie będzie głodnych, potrzeby, które dziś wydają się pragnieniem zbytku, będą odczuwane daleko żywiej. A ponieważ ludzie zawsze różnić się będą pomiędzy sobą, (rozmaitość gustów i potrzeb jest główną rękojmią postępu ludzkości) zawsze będą istnieć — i jest pożądane, by istniały — jednostki, których potrzeby wybiegają w którymkolwiek kierunku ponad poziom przeciętny.

Wszyscy ludzie, naprzykład, nie potrzebują teleskopu, gdyż nawet wówczas, gdy wykształcenie będzie powszechne, znajdą się tacy, którzy mieć będą większe upodobanie do studjów mikroskopowych, niż do badań astronomicznych. Jedni ukochali rzeźbę, drudzy malarstwo; ten pragnie fortepianu, tamtego zadawalnia fujarka. Dziś człowiek, odczuwający potrzeby artystyczne, nie jest w stanie ich zaspokoić, jeżeli nie odziedziczył znacznego majątku, lecz pracując wytrwale, zdobywając kapitał intelektualny, który otwiera mu drogę do jakiegoś „wolnego zawodu", nie traci nigdy nadziei, że będzie kiedyś mógł mniej lub więcej zaspakajać swe upodobania.

Koncepcji idealnego społeczeństwa komunistycznego zarzucają nieraz to właśnie, że uwzględnia jedynie materjalną stronę życia: „Będziecie mieli, może, dość chleba dla wszystkich — powiadają nam, ale brak będzie w waszych magazynach komunalnych pięknych obrazów, przyrządów optycznych, mebli wykwintnych, strojów, słowem, tych tysięcy przedmiotów, które zaspakajają nieskończenie różnorodne upodobania ludzkie. Chcecie pozbawić członka gminy możności posiadania czegośkolwiek innego poza chlebem i mięsem, którem komuna będzie wszystkich obdzielać, wraz z szarem płótnem, w które chcecie odziać wszystkie wasze obywatelki".

Oto jest zarzut, który staje przed każdym systemem komunistycznym; zarzut którego nie mogli nigdy zrozumieć zało-

życiele młodych społeczeństw w Ameryce. Sądzili oni, że wszystko jest w porządku, gdy komuna zaopatrzy stowarzyszonych w dostateczną ilość sukna na odzież, oraz, gdy wybuduje salę koncertową, gdzie „bracia" będą mogli od czasu do czasu posłuchać muzyki, lub odegrać jakąś sztuczkę teatralną. Nie brali pod uwagę, że zmysł artystyczny istnieje zarówno w duszy rolnika, jak w duszy burżuja i że, aczkolwiek wrażliwość artystyczna zmienia się w zależności od poziomu kulturalnego, to jednak istota jego pozostaje zawsze ta sama. Napróżno Komuna zapewniała każdemu spólny posiłek, daremnie usuwała ze szkoły wszystko, co mogło sprzyjać rozwojowi indywidualności, bezskutecznie zalecała czytanie biblji, jako jedynej lektury — upodobania indywidualne ujawniały się w powszechnem niezadowoleniu. Wszczynały się drobne kłótnie o to, czy nabyć fortepian, czy przyrządy fizyczne. Źródła postępu zamierały. Komuna mogła istnieć pod warunkiem, że wszelkie poczucie indywidualności, wszelkie upodobania artystyczne, wszelki pierwiastek rozwoju — zostanie zabity w duszach jej członków.

Czyżby i spólnota anarchistyczna miała pójść tą samą drogą? Oczywiście, nie, o ile tylko uwzględni wszelkie przejawy i skłonności ducha ludzkiego i szukać będzie dróg do ich zaspakajania, wytwarzając jednocześnie wszystko, co jest niezbędne dla życia materjalnego człowieka.

Gdy myślimy o otchłaniach otaczającej nas nędzy i cierpień, gdy słyszymy rozdzierające pieśni robotników bezrobotnych, przeciągających ulicami w poszukiwaniu pracy — wyznajemy szczerze, że czujemy wstręt do dysput nad sprawą, jak radzić sobie będzie społeczeństwo przyszłe, gdzie wszyscy będą mieli, co jeść, gdy ktoś zapragnie serwskiej porcelany, lub szat aksamitnych.

Pierwszy impuls dyktuje nam taką odpowiedź: „Zapewnijmy najpierw chleb, a co do porcelany i aksamitów to zobaczymy później".

Ponieważ jednak niepodobna zaprzeczyć, że poza chlebem, człowiek odczuwa inne jeszcze potrzeby i ponieważ potęga Anarchji tkwi właśnie w tem, iż obejmuje w s z y s t k i e zdolności i pragnienia ludzkie, i wszystkie namiętności, nie pomijając żadnej, chcemy powiedzieć w paru słowach, w jaki sposób w społeczeństwie przyszłości mogłyby być zaspakajane umysłowe i artystyczne potrzeby człowieka.

Pracując po cztery lub pięć godzin dziennie do 45 lub 50 roku życia, człowiek, jak powiedzieliśmy wyżej, mógłby z łatwością wyprodukować w s z y s t k o, co jest niezbędne dla zapewnienia społeczeństwu dobrobytu.

Dziś pracuje się przy maszynie nie pięć, ale dziesięć godzin dziennie, a dni pracy w roku jest trzysta — i tak przez całe życie. Wynika stąd zrujnowanie zdrowia i przytępienie umysłu. Tymczasem, gdy jest możność zmiany zajęć, a zwłaszcza, gdy praca fizyczna przeplata umysłową, człowiek chętnie i bez uczucia znużenia oddaje się pracy po dziesięć i dwanaście godzin. Jest to zjawisko normalne. Człowiek, który przez cztery, czy pięć godzin pracuje dla zaspokojenia niezbędnych potrzeb życiowych, użyje reszty czasu według własnego upodobania. I właśnie te pięć lub sześć godzin dadzą mu możność, przy spółpracy innych, zapewnienia sobie wszystkiego, czego pragnie, poza rzeczami niezbędnemi, dostarczanemi wszystkim przez komunę.

Każdy więc wykona najpierw, na polu czy w fabryce, pracę, którą winien jest społeczeństwu i która stanowi jego udział w produkcji ogólnej, a drugą połowę dnia, tygodnia, czy roku zużyje na pracę dla zaspakajania swych potrzeb artystycznych i naukowych.

Powstaną tysiące stowarzyszeń, odpowiadających wszelkim upodobaniom i najróżnorodniejszym potrzebom.

Pragniesz, naprzykład, poświęcić się literaturze. W tym celu przystąpisz do zrzeszenia, obejmującego pisarzy, zecerów, drukarzy, drzeworytników i rysowników którym przyświeca cel spólny: rozpowszechnianie wyznawanych idei.

Dziś autor wie, iż znajdzie się zawsze bydlę juczne—robotnik, który za marną płacę podejmie się wydrukowania jego pracy; ale nie troszczy się wcale o poznanie warunków, w jakich odbywa się ta praca. Jeżeli zecer zatruje się pyłem ołowianym, jeśli chłopak, obsługujący tłocznię drukarską, umrze wskutek wyczerpania — czyż nie znajdą się na ich miejsce inni nędzarze?

Ale gdy nie będzie głodomorów, zmuszonych sprzedawać swą pracę za marne wynagrodzenie, gdy wczorajsza ofiara wyzysku, otrzymawszy wykształcenie, zechce własne idee przelewać na papier i publikować je, literaci i uczeni, radzi nie ra-

dzi, będą musieli zrzeszać się w celu drukowania swych utworów.

Dopóki pisarz widzieć będzie w bluzie robotniczej i w pracy ręcznej symbol niższości, dopóty dziką wydawać mu się będzie myśl własnoręcznego składania i drukowania swej książki. Czyż dla wytchnienia po pracy niema sal gimnastycznych i klubów? Ale gdy zniknie piętno poniżenia, ciążące na pracy ręcznej, gdy wszyscy będą czynić użytek ze swych rąk, nie mając na kogo zwalić pracy fizycznej — wówczas literaci i ich wielbiciele płci obojga nauczą się bardzo prędko sztuki posługiwania się winkielakiem zecerskim, a, pracując spólnie nad drukowaniem swego ulubionego dzieła, poznają radość oglądania go w dziewiczej czystości, wychodzącego z pod maszyny rotacyjnej. A te wspaniałe maszyny — narzędzia tortury dzieci, obsługujących je od rana do wieczora,—staną się źródłem radości dla tych, którzy się będą niemi posługiwać dla rozpowszechniania myśli ulubionego autora.

Czy literatura straci na tem? Czy poeta przestanie być poetą, gdy popracuje w polu, lub przyczyni się własnoręcznie do wydrukowania swej książki? Czy powieściopisarz, który otrze się zbliska o robotnika w fabryce lub w lesie przy wytykaniu drogi, straci przez to znajomość serca ludzkiego? Zadać te pytania — to znaczy odpowiedzieć na nie.

Zapewne, niektóre książki będą szczuplejsze, ale za to więcej w nich będzie treści. Mniej będzie makulatury, ale to, co wyjdzie z druku, będzie daleko pilniej czytywane i lepiej oceniane. Książka mieć będzie szersze koło czytelników, bardziej wykształconych, bardziej zdolnych do jej zrozumienia i oceniania.

Zresztą sztuka drukarska, która od czasów Gutenberga, zrobiła tak małe postępy, znajduje się jeszcze w niemowlęcym okresie rozwoju. Żeby złożyć to, co zostało napisane w przeciągu dziesięciu minut — potrzeba jeszcze dwóch godzin czasu.

O, gdyby każdy autor brał czynny udział w drukowaniu swoich dzieł, jakież olbrzymie postępy uczyniłoby już dotychczas drukarstwo! Z pewnością nie posługiwalibyśmy się ruchomemi czcionkami z XVII wieku*).

*) **Przyp. Red.** Autor nie uwzględnił wynalazku linotypji, której konstrukcja analogiczna do maszyny do pisania — stanowi zasadniczy postęp w sztuce drukarskiej.

Czy wszystko to jest czczem marzeniem? Bynaimniej, zwłaszcza dla tych, co umieją patrzeć i myśleć. Dziś życie samo prze w tym kierunku.

Czyż to utopja przypuszczać, że, w społeczeństwie, którego wszyscy członkowie będą wytwórcami, dostatecznie wykształconymi, aby w wolnym czasie po krótkiej pracy obowiązkowej, oddawać się nauce i sztuce, ludzie zrzeszać się będą dla drukowania własnych utworów. Przyczem każdy spółdziałać będzie czynnie w tej pracy.

Już dziś naliczyć można setki tysięcy rozmaitych związków i towarzystw naukowych, literackich i innych. Są to związki dobrowolne, zawierane przez ludzi, interesujących się daną gałęzią wiedzy, w celu ogłaszania swych prac. Autorowie zbiorowych wydawnictw towarzystw naukowych nie pobierają zazwyczaj honorarjum. Wydawnictwa zbiorowe nie są sprzedawane, rozsyła się je bezpłatnie do wszystkich zakątków kuli ziemskiej do towarzystw, uprawiających tę samą lub pokrewną gałąź wiedzy. Jedni członkowie zamieszczają w organie towarzystwa krótką notatkę o jakiemś spostrzeżeniu. inni ogłaszają w nim obszerne prace, owoce badań długoletnich, dla innych wreszcie prace owe posłużą za punkt wyjścia do nowych poszukiwań. Są to więc zrzeszenia autorów i czytelników dążących do spólnego celu — do twórczej pracy w danej dziedzinie.

Wprawdzie towarzystwo naukowe,—tak samo jak dziennik jakiegoś bankiera, zwraca się do wydawcy, który najmuje robotników dla dokonania druku. Ludzie pracujący w zawodach t. zw. wyzwolonych, gardzą pracą ręczną, odbywającą się dziś, istotnie, w warunkach okropnych. Atoli społeczeństwo, które każdemu ze swych obywateli udostępni wyższe wykształcenie, filozoficzne i naukowe, potrafi zorganizować pracę ręczną w taki sposób, że przestanie być ona przekleństwem, a stanie się chlubą ludzkości. Wówczas zrzeszenie naukowe będzie związkiem badaczy, miłośników i robotników, z których każdy znać będzie jakieś rzemiosło, a wszyscy interesować się będą wiedzą.

Jeżeli, naprzykład, przedmiotem zainteresowania jest geologja, to wszyscy będą spółdziałać w badaniu pokładów ziemi, każdy dorzuci swą pracę do spólnych poszukiwań. Dziesięć tysięcy badaczy, zamiast stu, zdziała więcej w ciągu roku, niż dziś dokonywa się w ciągu lat dwudziestu. A gdy chodzić będzie o sprawozdanie z prac zbiorowych, znajdzie się dziesięć tysięcy ludzi biegłych w rozmaitych rzemiosłach do sporządzania map i rysunków, do złożenia tekstu i odbicia. Radośnie poświęcą wszyscy swój czas wolny spólnym badaniom w lecie, a pracy w drukarni w zimie. A gdy prace ukażą się w druku, znajdą zamiast stu — dziesięć tysięcy czytelników, żywo interesujących się spólnym dziełem.

Samo życie zresztą wskazuje nam tę drogę. Gdy Anglja zapragnęła mieć wielki słownik języka angielskiego, to nie czekała na nowego Littre'go**), któryby życie tej pracy poświęcił. Odwołano się do ochotników i tysiące osób zgłosiło się, by dobrowolnie i bezpłatnie wertować bibljoteki. W ciągu niewielu lat ukończono olbrzymią pracę, na którą nie starczyłoby życia jednego człowieka. Ten sam duch ujawnia się niemal na każdem polu pracy umysłowej i tylko niedostateczna znajomość ludzkości sprawia, że się nie dostrzega w tych próbach pracy zbiorowej zapowiedzi przyszłości. Aby jednak takie dzieło jak słownik angielski miało istotnie charakter pracy zbiorowej, trzebaby w podobny sposób zorganizować nietylko pracę umysłową, ale i ręczną (autorów, drukarzy, korektorów i t. d.). Przykłady połączenia pracy umysłowej z ręczną daje już prasa socjalistyczna. Częstą zdarza się widzieć tam autora, składającego i odbijającego własny artykuł dla któregoś pisma bojowego. Są to drobne, mikroskopijne próby, ale wskazują one drogę przyszłości.

Jest to droga wolności. W społeczeństwie jutra, gdy jednostka będzie miała coś pożytecznego do powiedzenia, gdy zechce ujawnić ideę, wybiegającą poza utarte poglądy wieku, nie będzie potrzebowała poszukiwać nakładcy, który zgodzi się

---

*) **Przyp. Red.** Filozof i lingwista francuski (1801-1884), który poświęcił trzydzieści lat życia dla ułożenia wielkiego „Słownika języka francuskiego.

wyłożyć potrzebny kapitał. Znajdzie spółpracowników wśród ludzi, którzy umieją pracować ręcznie, potrafią jednocześnie ocenić doniosłość nowego dzieła. Spólnie wydrukują książkę, czy czasopismo.

Literatura i dziennikarstwo przestaną być środkiem wzbogacania się cudzym kosztem. Czy wśród literatów i dziennikarzy znajdzie się choć jeden człowiek, któryby z głębi duszy nie tęsknił do epoki wyzwolenia się literatury od jej wszystkich dotychczasowych protektorów, od obecnych wyzyskiwaczy, oraz od publiczności, która, z wyjątkiem nielicznych, ceni ją tylko za banalność i za zdolność przystosowywania się do złego smaku mieszczaństwa?

Literatura i nauka zajmą właściwe miejsce w dziele rozwoju ducha ludzkiego, wówczas dopiero, gdy wyzwolą się z wszelkiej zależności finansowej, gdy będą wyłącznie uprawiane przez tych i dla tych, którzy odnoszą się do nich z pietyzmem.

Literatura, nauka i sztuka winny być obsługiwane przez osoby, zgłaszające się dobrowolnie. Tylko pod tym warunkiem wyzwolą się z pod przytłaczającego je potrójnego jarzma: kapitału, państwa i miernoty mieszczańskiej.

Skąd uczony czerpie dzisiaj środki do prowadzenia badań naukowych? Musi ubiegać się o pomoc państwową, którą zresztą na stu kandydatów otrzymuje jeden. Napewno liczyć na nią może ten tylko, kto się zobowiąże kroczyć utartemi, uświęconemi przez tradycję, drogami. Wystarczy przypomnieć sobie jak Akademja francuska potępiła teorję Darwina, jak Akademja petersburska odtrąciła Mendelejewa, a Towarzystwo Królewskie w Londynie odmówiło wydrukowania pracy Joule'a, jako nie naukowej — pracy zawierającej określenie mechanicznego równoważnika ciepła.

Oto dlaczego nie w akademjach i uniwersytetach powstały wielkie prace naukowe, wszystkie odkrycia przewrotowe. Dokonali tego ludzie, albo dostatecznie zamożni, by zachować swą niezależność, jak Darwin i Lyell, albo też biedacy, którzy rujnowali swe zdrowie, pracując w niedostatku, a często w nędzy. Nie mając laboratorji, nie posiadając środków na niezbę-

dne przyrządy i książki, tracili daremnie masę czasu, a jednak nie porzucali swej pracy, i niejeden z nich umarł w nędzy. Imię ich — legjon.

Zresztą system zapomóg rządowych jest tak wadliwy, że nauka wszystkich czasów usiłowała się od niego wyzwolić. Dlatego to Europa i Ameryka pokryte są przez tysiące towarzystw naukowych, zorganizowanych i utrzymywanych przez osoby prywatne. Niektóre z nich rozwinęły się tak potężnie i zdołały zgromadzić tak cenne skarby naukowe, że wszystkie środki towarzystw, subwencjonowanych przez państwo, a nawet bogactwa bankierów nie wystarczyłyby dla ich zakupu. Żadna z naukowych instytucji państwowych nie może się, naprzykład, równać z towarzystwem zoologicznem w Londynie, utrzymywanem z dobrowolnych składek i darów. Okazy zoologiczne, których tysiące zapełniają ogród tego towarzystwa, nie pochodzą z kupna, lecz przysyłane są przez inne towarzystwa naukowe, przez podróżników i badaczów z całego świata. Pewnego dnia, naprzykład, t-wo zoologiczne w Bombaju przysyła słonia, to znów zoologowie egipscy nadeślą hipopotama lub nosorożca — i te wspaniałe dary — ptaki, płazy, kolekcje owadów napływają codziennie ze wszystkich zakątków świata. Częstokroć podarowany zostaje okaz, którego nie możnaby nabyć za żadne skarby świata, np. jakieś zwierzę, złapane przez podróżnika z narażeniem życia, lub zwierzę, do którego się ktoś przywiązał, jak do rodzonego dziecka i ofiarowuje je towarzystwu, licząc, że znajdzie tam ono dobrą opiekę. Opłaty, pobierane od niezliczonych zastępów zwiedzających, wystarczają na pokrycie kosztów utrzymania tej olbrzymiej menażerji.

Jednego tylko brak zarówno ogrodowi zoologicznemu w Londynie, jak i innym instytucjom tego rodzaju, brak, mianowicie, świadczeń na rzecz instytucji w formie dobrowolnej pracy. Przyczem dozorcy i bardzo liczni pracownicy tego ogromnego zakładu nie są uznani za członków towarzystwa. Na członków natomiast zapisują się ludzie jedynie dlatego, aby móc umieścić na swych biletach wizytowych kabalistyczne litery F. Z. S. (Fellow Zoological Society — członek towarzystwa zoologicznego). Słowem brak tam ducha braterstwa i solidarności.

To, co powiedzieliśmy o uczonych stosuje się wogóle i do wynalazców. Któż nie wie, ile cierpień kosztowało każde niemal wielkie odkrycie. Noce bezsenne, nędza rodziny, brak na-

rzędzi i materjałów dla doświadczeń, oto dzieje niemal wszystkich twórców jedynie cennego dorobku cywilizacji naszej, z którego możemy być uzasadnienie dumni.

Cóż jednak uczynić należy, aby wyzwolić się z tych warunków, które wszyscy zgodnie potępiają? Wprowadzono system opatentowywania wynalazków — i wiemy jakie dał rezultaty. Przymierający z głodu wynalazca sprzedaje patent za bezcen, a ten, kto jedynie wyłożył kapitał, zgarnia zyski, nieraz bardzo znaczne. Oprócz tego patent zmusza wynalazcę do pracowania w odsobnieniu, do trzymania wyników swych badań w tajemnicy, dzięki czemu okazują się one częstokroć spóźnione lub jałowe. Tymczasem jakaś prosta myśl, rzucona przez kogoś innego o umyśle nie tak zaabsorbowanym przez jedną ideę, wystarcza niekiedy do uczynienia wynalazku owocnym i praktycznym. Jak wszelkie wogóle ograniczenia przymusowe — patenty tamują rozwój i postęp przemysłu.

Teoretycznie patent jest krzyczącą niesprawiedliwością, albowiem myśl ludzka nie może być patentowana, w praktyce zaś stał się jedną z wielkich przeszkód dla szybkiego rozwoju wynalazków.

Dla rozwoju ducha wynalazczości potrzebne jest przedewszystkiem przebudzenie myśli, niezbędna jest śmiałość pomysłów, to jest cecha umysłu, którą właśnie cały nasz system wykształcenia tłumi. Potrzeba dalej, by oświata, rzucana pełnemi garściami, powiększyła stokrotnie liczbę badaczów, a także, by istniała świadomość, że wynalazki przyczyniają się do postępu ludzkości. Niemal wszyscy wielcy dobroczyńcy ludzkości czerpali właśnie swój entuzjazm z wiary, aczkolwiek nieraz złudnej, w pożyteczność swych prac.

Jedynie rewolucja socjalna dać może myśli ludzkiej tego bodźca, wpoi odwagę, umiejętność, świadomość służby w imię dobra powszechnego.

Powstaną wówczas olbrzymie warsztaty pracy, zaopatrzone w motory i przyrządy wszelkiego rodzaju, wielkie laboratorja przemysłowe, dostępne dla badaczów i wynalazców. Każdy, kto zechce, spędzać będzie tutaj czas poza pracą obowiązkową, robiąc doświadczenia nad urzeczywistnieniem swych pomysłów. Spotkać tu będzie można towarzyszy, obeznanych z innemi gałęziami przemysłu, mozolącymi się również nad jakiemś trudnem zagadnieniem. Wywiąże się wymiana myśli, pomoc wzaje-

mna; ścieranie się idej, doświadczeń, pomysłów wpływać będzie pomyślnie na rezultat pracy. Nie jest to—powtarzamy raz jeszcze — czcze marzenie. Instytucja, zwana „Solanoj Gorodok" w Petersburgu, urzeczywistniała myśl tę częściowo, przynajmniej pod względem technicznym. Były to, dostępne dla wszystkich, doskonale urządzone warsztaty. Każdy mógł bezpłatnie korzystać z narzędzi i siły popędowej, zwracał jedynie koszta zużytego materjału — drzewa i metalu. Niestety, robotnicy mogli przychodzić tu tylko wieczorem po nużącej dziesięciogodzinnej pracy zarobkowej. Przytem każdy ukrywał starannie przed kolegami rezultaty swych badań, zmuszony do tego przez system patentów i przez kapitalizm, przekleństwo dzisiejszego społeczeństwa i zaporę dla wszelkiego postępu umysłowego i moralnego.

A sztuka? Zewsząd dają się słyszeć skargi na upadek sztuki. Istotnie, daleko nam do wielkich mistrzów Odrodzenia. Technika sztuki uczyniła w ostatnich czasach ogromne postępy. Setki tysięcy, mniej lub więcej utalentowanych ludzi, uprawiają wszelkie dziedziny sztuki — tymczasem sztuka zdaje się uciekać ze świata cywilizowanego! Technika doskonali się, ale natchnienie, rzadziej niż kiedykolwiek, nawiedza pracownie artystów.

I zaiste, skąd może przyjść? Jedynie wielka idea jest władna natchnąć sztukę. Sztuka, w naszem pojmowaniu, jest synonimem twórczości. Winna przeto kierować wzrok swój w przyszłość. Tymczasem z małymi, bardzo małymi wyjątkami, artysta zawodowy jest zbyt ograniczony, zbyt zasklepiony w światku drobnomieszczańskim, by był w stanie obejmować nowe horyzonty.

A z książek niepodobna czerpać natchnienia: rodzić je winno życie, a życie dzisiejsze dać tego nie może.

Rafael i Murillo tworzyli w epoce, kiedy poszukiwanie nowego ideału dawało się jeszcze pogodzić ze staremi tradycjami religijnemi. Pracowali nad przyozdabianiem świątyń—zbożnego dzieła rąk kilku pokoleń. Bazylika o tajemniczym wyglądzie i imponujących rozmiarach, ściśle związana z dziejami miasta — mogła natchnąć malarza: pracował nad pomnikiem, wzniesio-

nym przez lud, zwracał się bezpośrednio do tłumu i czerpał od niego natchnienie. Przemawiał do mas tym samym, zrozumiałym dla nich językiem, którym mówiły do nich nawy kościelne, kolumny i łuki, witraże barwne, posągi i oddrzwia rzeźbione. Dzisiaj malarz pragnie tylko, by jego obraz w ramach złoconych wisiał w jakiemś muzeum. A czemże są te muzea? Czemś w rodzaju kramu ze staremi rupieciami, gdzie, jak w madryckiem muzeum „Prado", spotkać można „Wniebowzięcie" Murilla i „Żebraków" Velasquez'a obok „Psów" Filipa II. Biedny Velasquez i biedny Murillo! Biedne posągi greckie, które żyły ongiś w akropolu swego miasta, a dziś duszą się wśród czerwonych draperji Louvre'u!

Rzeźbiarz grecki usiłował wcielić w złom marmuru ducha i serce swego miasta. Wszystkie namiętności, wszystkie tradycje jego sławy musiały ożyć w dziele artysty. Dziś miasto, jako całość, nie istnieje. Niema żadnej spójni duchowej. Miasto spółczesne jest przypadkowem skupieniem ludzi, którzy się nie znają, którzy nie mają spólnych zainteresowań, prócz żądzy zbogacania się jednych kosztem drugich. Ojczyzna już nie istnieje.... Jakąż spólną ojczyznę może mieć bankier międzynarodowy i biedny gałganiarz?

Wówczas dopiero, gdy miasto, kraj, naród czy grupa narodów znowuż odnajdzie swą jedność w życiu społecznem, sztuka będzie mogła czerpać natchnienie ze spólnej, ożywiającej daną zbiorowość, idei. Architekt wzniesie wtedy miastu swemu pomnik, który nie będzie ani świątynią, ani więzieniem, ani koszarami. Malarz, rzeźbiarz, złotnik, dekorator będą wiedzieli gdzie umieszczać swe prace, albowiem wszyscy czerpać będą moc twórczą z jednego źródła życiodajnego i wszyscy razem dążyć będą śmiało ku zorzom przyszłości.

Ale do tego czasu — sztuka może tylko wegetować.

Najlepsze z pośród obrazów malarzy spółczesnych są jeszcze te, które przedstawiają przyrodę, wieś, łąki, grozę morza, wspaniałe widoki górskie. Ale jakże może malarz oddać poezję pracy wiejskiej, jeżeli przyglądał się jej tylko zdaleka, a nigdy sam jej nie zakosztował? Jeżeli zna ją tylko tak, jak ptak przelotny kraj, ponad którym przelatuje? Jeżeli w swej bujnej młodości nie chodził od świtu za pługiem, jeżeli nie zaznał radości kosiarza, gdy w szeregu silnych pracowników ścina trawy szerokim rozmachem, spółzawodnicząc w energji z roześmianemi,

rozśpiewanemi dziewczętami? Umiłowania ziemi i wszystkiego co na niej rośnie, nie zdobywa się za pomocą studjów malarskich. Na to trzeba własnoręcznie jej służyć. A nie umiłowawszy ziemi, jakżesz można przenieść ją na płótno? Dlatego to wszystko, co dali najlepsi nawet malarze jest tak niedoskonałe, częstokroć fałszywe, prawie zawsze zaprawione sentymentalizmem, nieposiadające mocy.

Trzeba przy powrocie z pola od pracy oglądać zachód słońca. Trzeba być wieśniakiem i żyć z wieśniakami, żeby zachować w pamięci ten przepych barw.

Aby odczuć poezję pracy rybaka, trzeba być na morzu wraz z rybakiem o każdej godzinie dnia i nocy, samemu zarzucać sieci, borykać się z falą, walczyć z nawałnicą, odczuć po ciężkim mozole radość wyciągania pełnej sieci, lub gorycz powrotu z pustemi rękami.

Trzeba pracować w fabryce, poznać trudy, cierpienia i radości pracy twórczej; kuć metal przy oślepiającym blasku, ziejących ogniem pieców, trzeba odczuć życie maszyny, żeby zrozumieć, czem jest potęga człowieka i móc ją wyrazić w dziele sztuki. Słowem trzeba zanurzyć się samemu w fale życia ludu, nim odważymy się odtwarzać je.

Dzieła artystów jutra, którzy żyć będą tak, jak żyli niegdyś mistrze przeszłości—życiem ludu—nie będą przeznaczone na sprzedaż. Stanowić będą bowiem cząstkę pewnej żyjącej całości, która nie mogłaby istnieć bez nich, tak jak one nie mogły powstać bez niej. Tylko w takich warunkach ich dumne i pogodne piękno wywierać będzie wpływ dobroczynny na umysły i serca.

Rozwój sztuki wymaga, aby była ona związana z przemysłem przez tysiące stopni pośrednich tak, aby się z nim poniekąd zlewała w jedną całość, jak to słusznie twierdził Ruskin i wielki poeta socjalistyczny Morris: wszystko, co otacza człowieka, mieszkanie, ulica, wnętrze i wygląd zewnętrzny gmachów publicznych winno być piękne.

O urzeczywistnienie tego postulatu pokusić się może jedynie społeczeństwo, w którem wszyscy rozporządzać będą pewnym dobrobytem i czasem wolnym. Wówczas tworzyć się będą zrzeszenia artystyczne, gdzie każdy będzie mógł spożytkować swe uzdolnienia. Sztuka bowiem nie potrafi obejść się bez nieskończonej ilości prac pomocniczych, czysto mechanicznych

i technicznych. Te związki artystyczne podejmą się upiększania mieszkań swych członków, podobnie jak uczynili to młodzi malarze edymburscy, którzy z własnej inicjatywy ozdobili ściany i sufity wielkiego szpitalu miejskiego dla niezamożnej ludności.

Gdy artysta tworzy dzieło, natchnione uczuciem osobistem, ofiarowuje je przyjacielowi lub umiłowanej kobiecie. Czyż dzieło, wykonane z miłością, będzie mniej piękne od tych, które służą dziś próżności burżujów i bankierów, dlatego tylko, że nie kosztowało dużo pieniędzy.

Podobnie rzecz się będzie miała z innemi radościami życia, których człowiek poszukuje poza przedmiotami niezbędnemi. Kto tęsknić będzie do posiadania fortepianu przyłączy się do stowarzyszenia, wyrabiającego instrumenty muzyczne. Oddając mu część wolnego czasu, uzyska wkrótce rzecz upragnioną. Jeśli pociągają go studja astronomiczne przystąpi do stowarzyszenia miłośników astronomji, które skupiać będzie filozofów, badaczów, rachmistrzów, rzemieślników, uczonych i miłośników. Znajdzie tam pożądany teleskop i będzie z niego korzystał wzamian za cząstkę pracy, którą poświęci stowarzyszeniu. Obserwatorjum astronomiczne wymaga bowiem także pracy ręcznej: mularza, stolarza, kowala, mechanika, do pracy majstra-artysty włącznie, który wykańcza ostatecznie przyrządy optyczne.

Słowem te pięć, czy sześć godzin dziennie, które każdy mieć będzie do rozporządzenia, wystarczą w zupełności dla zaspakajania wszystkich, nieskończenie licznych potrzeb zbytku. Tysiące zrzeszeń wolnych podejmie się tego zadania. Stanie się dostępnem dla wszystkich to, co stanowi dziś przywilej drobnej mniejszości. Zbytek przestanie być głupiem, krzyczącem sadzeniem się na wystawność opasłych bankierów, a będzie odpowiadał istotnym potrzebom artystycznym.

Uczucie szczęścia i zadowolenia wzrośnie przez to, że stanie się udziałem wszystkich. W pracy zbiorowej, wykonywanej radośnie dla dopięcia upragnionego celu — posiadania książki, dzieła sztuki lub przedmiotu zbytku, — czerpać będzie człowiek siły i chęć do życia, znajdzie w niej również odpoczynek, który spotęguje jego radość życia.

Pracując nad zniesieniem przepaści, dzielącej panów od niewolników, pracujemy dla szczęścia jednych, zarówno jak drugich, — pracujemy dla szczęścia ludzkości.

X. PRACA RADOSNA.

Gdy socjaliści twierdzą, że, wyzwolone z jarzma kapitalizmu społeczeństwo potrafi uczynić pracę radosną i znieść wszelką pracę wstrętną i szkodliwą dla zdrowia — spotykają się zazwyczaj z kpinami i ze śmiechem. A jednak nawet dziś możemy wskazać na zdumiewające postępy w tym kierunku. Wszędzie, gdzie tego rodzaju ulepszenia zostały wprowadzone, przedsiębiorcy stwierdzają znaczne zaoszczędzenie pracy.

Niema fabryki, którejby nie można urządzić na wzór laboratorjum naukowego tak, aby praca w niej była przyjemna i nieszkodliwa. Nie ulega również wątpliwości, że takie urządzenie fabryki jest pod każdym względem korzystne. W sali obszernej i dobrze wentylowanej praca wykonywa się lepiej; łatwiej też dają się zastosować rozmaite drobne ulepszenia, z których każde prowadzi do zaoszczędzania czasu i pracy. I jeżeli dziś większość fabryk, pod względem wygody i zdrowotności, podobna jest raczej do nór ciasnych, ciemnych, smrodliwych, zatrutych wyziewami, niż do przybytków pracy ludzkiej, to dzieje się to wyłącznie wskutek nieuwzględniania interesów robotnika przy budowaniu i urządzaniu fabryk. Przy dzisiejszej organizacji pracy siły ludzkie marnują się w sposób głupi i bezmyślny.

A jednak już i w naszych czasach spotyka się tu i owdzie wyjątki — fabryki urządzone tak doskonale, że praca w nich byłaby prawdziwą przyjemnością, gdyby nie trwała, ma się rozumieć, dłużej niż 4—5 godzin dziennie i jeżeliby robotnik miał możność wyboru zawodu według swego upodobania.

Znamy np. fabrykę, wyrabiającą niestety materjał wojenny, której organizacja pod względem komfortu i higjeny nie pozostawia nic do życzenia. Fabryka ta zajmuje przestrzeń dwudziestu hektarów, z których piętnaście zajętych jest pod budynki o dachach szklanych, mytych przez, specjalnie do tegu celu przeznaczoną, załogę robotników. W fabryce tej wykuwa się sztaby stalowe, ważące do dwudziestu tonn, a jednak, gdy stoi się o trzydzieści kroków od olbrzymiego pieca o temperaturze tysiąca stopni, nie podejrzewa się tego nawet. Dopiero, gdy z czeluści pieca wyłania się potwór stalowy, zdajemy sobie sprawę, gdzie jesteśmy. Potworem kieruje trzech czy czterech robotników, którzy odkręcają to tu, to tam jakieś krany i wpra-

wiają w ruch olbrzymie dźwignie za pomocą ciśnienia wody w rurach.

Wchodząc do fabryki, spodziewamy się usłyszeć ogłuszający huk młotów — i ze zdziwieniem spostrzegamy, że wcale ich niema. Kolosalne, po sto tonn ważące armaty i osie wielkich okrętów wykuwane są za pomocą pras hydraulicznych. Dla poddania masy ciśnieniu, robotnik zamiast kuć, odkręca kran. Przy takiem kuciu za pomocą ciśnienia wody, otrzymuje się metal bardziej jednolity, bez skaz, w sztukach dowolnej grubości.

Spodziewamy się usłyszeć piekielny, ogłuszający zgrzyt i łoskot maszyn, a tymczasem maszyny krają sztaby stalowe dziesięciometrowej grubości tak cicho, jakby krajały ser. I gdy wyrażamy zdumienie oprowadzającemu nas inżynierowi, odpowiada nam ze spokojem:

„Dla nas jest to tylko kwestja oszczędności! Ta oto maszyna, co toczy i poleruje stal, służy już nam czterdzieści dwa lata. A nie służyłaby nawet dziesięciu, gdyby części jej, źle dopasowane lub zbyt słabe, uderzały o siebie i zgrzytały przy każdem poruszeniu!

„Podziwiasz pan nasze piece? Ależ marnotrawstwem byłoby, gdybyśmy pozwolili ciepłu promieniować bezużytecznie nazewnątrz, zamiast zużytkować je dla podniesienia temperatury wewnątrz: pocóż narażać robotników na prażenie, gdy ciepło, tracone w ten sposób przez promieniowanie, przedstawia wartość kilku tonn węgla?

„Podobnem marnotrawstwem siły są owe młoty, od których drżą budynki na dwadzieścia kilometrów dookoła! Kuje się daleko lepiej za pomocą ciśnienia i jest to bardziej ekonomiczne, gdyż mniejsza bywa strata energji.

„Przestrzeń dookoła warsztatów, dobre oświetlenie, czystość — wszystko to są również kwestje oszczędności. Robotnicy pracują lepiej przy dobrem oświetleniu i gdy nie potrzebują potrącać się w ciasnocie.

„Dawniej, gdy fabryka była pod miastem, pracowaliśmy w okropnej ciasnocie. Grunta kosztują tam niesłychanie drogo — właściciele są tak chciwi".

To samo da się powiedzieć o kopalniach węgla. Wszyscy wiemy, czem jest dzisiejsza kopalnia, jeżeli nie z gazet, to z powieści Zoli „Germinal".— Otóż w przyszłości kopalnie posiadać będą dobrą wentylację, temperaturę tak samo regulowaną,

jak mieszkania. Nie będzie koni, skazanych na życie pod ziemią gdyż ciężary poruszać można za pomocą liny automatycznej wprowadzanej w ruch u wejścia kopalni. Wentylatory będą ciągle czynne. Wybuchy staną się niemożliwe. Taka kopalnia nie jest utopją. Zdarzają się one już w Anglji; miałem sposobność zwiedzenia jednej z nich. I tu, podobnie jak i w fabryce, racjonalne urządzenie jest poprostu kwestją oszczędności. Pomimo znacznej głębokości — około 430 metrów — zwiedzana przezemnie kopalnia daje dziennie przy 200 robotnikach tysiąc tonn węgla. Na jednego robotnika przypada zatem dziennie 5 tonn, podczas, gdy w innych kopalniach Anglji, których jest do 2000, przeciętna produkcja roczna wynosi zaledwie 300 tonn.

Moglibyśmy przytoczyć szereg innych przykładów dla wykazania, że marzenia Fourier'a, przynajmniej o ile dotyczą materjalnej organizacji produkcji, nie są wcale utopją.

Ale zagadnienie to było tylokrotnie roztrząsane w pracach socjalistycznych, że nie budzi chyba już wątpliwości. Warsztat rękodzielniczy, fabryka, kopalnie mogą być urządzone również wspaniale i higjenicznie jak najlepsze pracownie uniwersyteckie. Im większe zrobimy postępy pod tym względem, tem bardziej produkcyjną stanie się praca ludzka.

Czyż można wątpić, że w społeczeństwie ludzi równych, w którem ręce robocze nie będą zmuszone do sprzedawania się za bezcen, praca stanie się istotnie przyjemnością, wypoczynkiem? Praca wstrętna lub niezdrowa będzie musiała zniknąć, jako szkodliwa dla całego społeczeństwa. Takiej pracy oddawać się mogli niewolnicy. Człowiek wolny stworzy nowe warunki pracy, zdrowej i nieskończenie bardziej produkcyjnej. To, co dziś jest wyjątkiem, jutro stanie się regułą.

Podobny przewrót czeka również i pracę domową, której brzemię społeczeństwo dzisiejsze zwala na barki kozła ofiarnego ludzkości — kobietę.

Odrodzone przez rewolucję społeczeństwo potrafi znieść niewolnictwo domowe — tę ostatnią formę niewolnictwa, najbardziej może uporczywą, bo najdawniejszą. Dokona tego wszakże nie w sposób wymarzony przez organizatorów falansterów, ani też tak, jak to sobie przedstawiali zwolennicy komunizmu państwowego.

Dla miljonów ludzi falanster byłby nie do zniesienia. Wprawdzie człowiek, najmniej nawet towarzyski, czuje potrzebę spotykania się ze swymi bliźnimi przy spólnej pracy, której urok potęguje poczucie, że się jest cząstką wielkiej całości. Ale co innego, gdy chodzi o spędzanie czasu wolnego, godzin, przeznaczonych na odpoczynek i r o z r y w k ę. Falanster a nawet familister nie bierze tego pod uwagę, albo też usiłuje zaspokoić tę potrzebę za pomocą sztucznego grupowania ludzi.

Falanster, będący w istocie rzeczy ogromnym hotelem, może odpowiadać upodobaniom niejednych, a nawet pociągać wszystkich w pewnych okresach życia — lecz większość zawsze woli życie rodzinne, w mieszkaniach oddzielnych. Anglicy posuwają w tym względzie swe upodobania tak daleko, że lubią mieszkać w małych domkach paropokojowych, gdzie życie rodzinne płynie w odosobnieniu, zamknięte w ścisłem kółku przyjaciół.

Falanster ma pod pewnym względem swoje dobre strony, lecz stałby się niewątpliwie nienawistny, gdyby miał być jedyną i powszechną regułą życia. Należy to do potrzeb natury ludzkiej, aby godziny, spędzane w towarzystwie, przeplatały godziny samotności. Dlatego to dla więźnia we spólnej celi największą torturą jest niemożność pozostania samemu, natomiast w więzieniu celkowem udręczeniem jest samotność, gdy trwa bez przerwy.

Na obronę falansterów przytacza się niekiedy argument, że życie w nich jest mniej kosztowne. Jest to wszakże ekonomja drobnego sklepikarza, ciułającego groszowe oszczędności, a przeoczającego wielkie korzyści. Prawdziwa i jedynie słuszna ekonomja polega na tem, ażeby życie uczynić przyjemnem dla wszystkich, albowiem człowiek zadowolony z życia, zdolny jest produkować nieskończenie więcej, niż ten, kto przeklina swe otoczenie.*)

---

*)Komuniści młodej Ikarji rozumieli widocznie, jak ważną rzeczą dla człowieka jest swoboda wyboru w obcowaniu z ludźmi. Ideałem komun religijnych było zawsze spożywanie spólne, u pierwszych chrześcijan spólne posiłki były właśnie jednym z symbolów ich przynależności do gminy chrześcijańskiej. Ostatni ślad tego przechował się w sakramencie komunji. Komuniści młodej Ikarji zerwali z tą tradycją. Spożywają wprawdzie obiad we spólnej sali, lecz przy oddzielnych stolikach, przy których członkowie grupują się według upodobania i sympatji.

Niektórzy socjaliści odrzucają pomysł falansterów, a gdy się ich kto zapyta, w jaki sposób zamierzaliby zorganizować pracę domową, odpowiadają: „Każdy swoją pracę wykona sam. Przecież żona moja daje sobie doskonale radę z zajęciami domowemi: tak samo będą sobie radzić panie z burżuazji". — A jeżeli ma się do czynienia z burżujem, bawiącym się w socjalizm, to usłyszymy, jak ze słodkim uśmiechem zapyta żony: „Nieprawdaż, moja duszko, że w społeczeństwie socjalistycznem obejdziesz się doskonale bez służącej? Weźmiesz przykład z żony naszego zacnego przyjaciela Pawła, lub z żony stolarza Jana, którą znasz?" Na co żona odpowie z kwaśno-słodkim uśmiechem: „Ależ naturalnie moje serce", — a jednocześnie pomyśli, w duszy, że na szczęście czasy te nastąpią nie tak prędko.

Mężczyzna zawsze liczy na to, że uda mu się zepchnąć wszystkie zajęcia domowe na barki kobiety, czy nią będzie służąca, czy żona. Ale kobieta wreszcie domaga się udziału w wyzwoleniu ludzkości. Nie chce już być domowem zwierzęciem pociągowem. Wystarcza, że szereg lat życia poświęca wychowywaniu dzieci. Nie chce być nadal kucharką, pomywaczką, służącą domowego ogniska. W Stanach Ameryki Północnej, gdzie kobiety najenergiczniej domagały się równouprawnienia, słychać powszechne skargi i utyskiwania na brak kobiet do pracy domowej. Kobiety z t. zw. inteligencji wolą zajmować się sztuką, polityką, literaturą lub zabawą; robotnice czynią to samo, dzięki temu mało jest tam kobiet i dziewcząt, chętnych do wprzęgnięcia się w jarzmo niewoli domowej.

Samo życie jednak podsuwa rozstrzygnięcie kwestji i, jak zwykle, rozwiązanie to jest nader proste. Trzy czwarte wszystkich zajęć domowych przejąć może maszyna.

Jeżeli czyścicie sami obuwie, to wiecie doskonale, jakie to głupie zajęcie. Przesuwać dwadzieścia i trzydzieści razy szczotką po bucie — czyż może być coś bardziej ogłupiającego? I pomyślcie, że tego rodzaju bezsensowną pracę wykonywają co rano dziesiątki miljonów rąk! A dzieje się to jedynie skutkiem tego, że dziesiąta część ludności Europy zmuszona jest sprzedawać swą pracę za nędzny barłóg i lichą strawę, oraz że w kobiecie nie zbudziło się jeszcze uczucie godności ludzkiej i buntu przeciwko niewoli domowej.

A tymczasem fryzjerzy np. posługują się już przecie mechanicznemi przyrządami do szczotkowania włosów, dlaczego

nie dałoby się zastosować podobnego przyrządu do obuwia? Istotnie maszyny takie już istniają. W większych hotelach amerykańskich i europejskich zaczynają wchodzić w życie. W niektórych większych szkołach angielskich, gdzie wychowańcy mieszkają w pensjonatach po 50 do 200 razem, okazało się dogodnem korzystać z zakładu do czyszczenia obuwia—uwalnia to bowiem od potrzeby utrzymywania służących, przeznaczonych głównie do wykonywania tego niemądrego zajęcia. Co wieczór zakład zabiera obuwie i rozsyła je rano oczyszczone za pomocą maszyny.

Albo weźmy mycie naczyń. Czy jest gospodyni, któraby lubiła to zajęcie — nudne i brudne zarazem i które w dodatku wykonywa się dotychczas ręcznie, jedynie dlatego, że praca niewolnika domowego liczy się za nic.

Amerykanie już sobie z tem poradzili. W wielu miastach woda gorąca doprowadzana jest rurami do mieszkań tak, jak u nas chłodna. To już upraszcza kwestję mycia naczyń. Pewna Amerykanka, nazwiskiem Ms. Cockrane, roztrzygnęła zagadnienie to ostatecznie. Wynaleziona przez nią maszyna, w ciągu niespełna trzech minut, wyciera i suszy dwadzieścia tuzinów talerzy lub półmisków. Maszyny takie wyrabia fabryka w Illinois. Cena ich jest przystępna dla większych gospodarstw. Mniejsze zaś rodziny mogą posyłać swe naczynia do specjalnego zakładu, tak jak się to czyni z obuwiem. Bardzo możliwe, że obie te czynności — czyszczenie obuwia i mycie naczyń — wykonywać będzie jedno i to samo przedsiębiorstwo.

Czyszczenie noży, pranie bielizny, zdzieranie sobie skóry z rąk przy wyżymaniu wody, zamiatanie podłóg, trzepanie dywanów, okurzanie sprzętów — są to czynności, które wykonywa kobieta dlatego, że nie przestała być niewolnicą. Ale i tu stopniowo zachodzą zmiany, gdyż wszystkie te czynności zaczyna spełniać daleko lepiej maszyna. Z czasem, gdy korzystanie z siły motorów będzie ułatwione, wszelkiego rodzaju maszyny, poruszane bez pomocy siły mięśni, znajdą szerokie zastosowanie w każdem gospodarstwie domowem.

Maszyny kosztują właściwie niewiele, a jeżeli płacimy za nie bardzo drogo, to dlatego, że nie są jeszcze w powszechnem użyciu, a przedewszystkiem zaś dlatego, że są obciążone ogromnym haraczem, dochodzącym do 75% ich ceny, gdyż różni panowie, spekulujący na ziemi, na surowcu, na fabrykacji,

na sprzedaży, na patentach i tak dalej, chcą się wzbogacać na każdej nowej potrzebie ludzkiej.

Ale drobne maszyny, które można będzie mieć w każdem mieszkaniu, nie są jeszcze ostatniem słowem w sprawie wyzwalania się ludzkości z jarzma zajęć domowych. Rodzina coraz bardziej przestaje być zamkniętym w sobie odrębnym światem i zrzesza się z innemi rodzinami w celu spólnego wykonywania różnych czynności, które dotychczas wykonywano w każdej z nich zosobna.

Nie na tem więc koniec, że każda rodzina mieć będzie maszynę do czyszczenia obuwia, inną do zmywania naczyń, inną jeszcze do prania bielizny. Centralny kaloryfer, który ogrzewa wszystkie mieszkania w danej dzielnicy, i dzięki temu zastępuje setki pieców — jest wielką zdobyczą dla przyszłości. Takie urządzenia istnieją już w niektórych miastach amerykańskich. Jeden olbrzymi piec grzeje wodę, którą się rozprowadza rurami po domach do mieszkań. Reguluje się temperaturę w mieszkaniu przez przekręcanie kranu. Jeżeli zaś kto chce ognia w którym pokoju — to może zapalić gaz, specjalnie w tym celu przeprowadzony rurami ze zbiornika centralnego. Olbrzymia ilość pracy, zużywanej na utrzymywanie w czystości kominów i pieców, oraz na rozniecanie i podtrzymywanie ognia — a kobiety wiedzą, ile to czasu pochłania — zostaje w ten sposób zaoszczędzona.

Świeca, lampa nawet gaz stają się przeżytkiem. Istnieją całe miasta, gdzie dość jest przekręcić kontakt elektryczny by mieć światło. Kwestja powszechnego zastosowania elektryczności jest związana z rozpowszechnieniem wiedzy technicznej.

Wreszcie — i tu Ameryka przoduje — zaczęto przemyśliwać nad stworzeniem takich instytucyj, któreby uczyniły zbędną prawie wszelką pracę domową. W tym celu wystarcza zorganizować dla każdej grupy domów obsługę gospodarczą. Specjalny wóz objeżdża klijentów, zabierając koszyki z obuwiem do czyszczenia, z naczyniem do mycia, z bielizną do prania i reperacji, z dywanami do trzepania — a nazajutrz odwozi wszystko gotowe i w porządku. Nieco później na waszym stole zjawi się gorąca kawa i jaja na miękko na śniadanie.

Przyjrzyjmy się, co się teraz dzieje, gdy przychodzi pora obiadowa. Pomiędzy godziną dwunastą a drugą jakieś trzydzie-

ści miljonów Amerykanów i dwadzieścia miljonów Anglików spożywają kawał pieczeni, wołowej, baraniej lub wieprzowej, rzadzej kurę lub rybę, oraz porcję kartofli, lub innych jarzyn, stosownie do pory roku. I tak dzieje się dzień w dzień przez cały rok, z niewielkiemi zmianami w menu obiadowem. Dla upieczenia tego mięsa i ugotowania jarzyn pali się codziennie przynajmniej w dziesięciu miljonach pieców kuchennych w ciągu dwóch, trzech godzin i tyleż miljonów kobiet traci czas na przygotowanie obiadów, które wszystkie razem nie zawierają może i dziesięciu różnych potraw.

„Pięćdziesiąt ogni — pisze pewna Amerykanka — pali się tam, gdzie jeden by wystarczył. — Możecie, jeżeli się Wam podoba spożywać obiad u siebie w domu z Waszą rodziną i dziećmi, ale pocóż pięćdziesiąt kobiet ma tracić czas na przygotowanie kawy i sporządzenie tych kilku prostych potraw! Poco palić w pięćdziesięciu piecach, jeżeli dwie osoby przy jednym piecu mogłyby wykonać tę pracę?

Możecie zamówić sobie kawałek pieczeni takiej, jaką chcecie, jeśli Wam na tem zależy. Przyprawiajcie sobie takie czy inne jarzyny, tym czy owym sosem podług smaku! Ale niechże będzie jedna obszerna kuchnia i jeden piec do gotowania obiadów dla pięćdziesięciu rodzin.

Dlaczego praca kobiet zawsze liczy się za nic? Dlaczego w każdej rodzinie matka, a często i parę służących poświęcają cały czas sprawom kuchennym? Dzieje się to dlatego, że dotąd nawet ludzie, dążący do wyzwolenia „ludzkości", nigdy w swych wyzwoleńczych marzeniach nie brali w rachubę kobiety, uważając za rzecz niegodną mężczyzny myśleć o „tych wszystkich sprawach kuchennych", które w całości zwalili na barki swego kozła ofiarnego.

Wyzwolić kobietę — to nie znaczy otworzyć jej podwoje uniwersytetów, parlamentów, sądów, gdyż, wyzwolona w ten sposób, zwala zawsze ciężar swych zajęć domowych na barki innej kobiety. Wyzwolić kobietę — to znaczy uwolnić ją z jarzma bezsensownej, ogłupiającej pracy przy garnkach i nad balją, to znaczy zorganizować życie w taki sposób, iżby kobieta obok swych obowiązków macierzyńskich miała dość wolnego czasu na branie udziału w życiu publicznem.

To się da urzeczywistnić, to się już zaczyna urzeczywistniać. Pamiętajmy o tem, że rewolucja, która się będzie upa-

jała pięknemi frazesami o Wolności, Równości i Braterstwie a pozostawi jednocześnie domowe niewolnictwo kobiety — nie będzie wcale rewolucją, gdyż połowa ludzkości, jęcząca w jarzmie niewoli kuchennej, będzie musiała po raz wtóry dokonać rewolucji, żeby się wyzwolić z pod ucisku drugiej połowy!

XI. WOLNE POROZUMIENIE.

Dzięki odziedziczonym przesądom, dzięki z gruntu fałszywemu wychowaniu i wykształceniu, tak dalece przyzwyczailiśmy się widzieć wszędzie rząd, prawodawstwo i urzędników, iż wkońcu zaczynamy wierzyć, że ludzie pozarzynaliby się wzajem, jak dzikie zwierzęta, gdyby oko policjanta przestało nad nimi czuwać i że na ziemi zapanowałby zupełny chaos, gdyby władza państwowa nagle runęła. W tem zaślepieniu nie dostrzegamy dokoła tysięcy i tysięcy wolnych zrzeszeń, tworzących się bez wszelkiego udziału prawa i, sumą osiągniętych rezultatów, prześcigających wszystko, co się dokonywa pod opieką państwową.

Zajrzyjcie do którejkolwiek gazety codziennej. Szpalty jej poświęcone są wyłącznie działalności rządów i szachrajstwom politycznym. Gdyby jakiś Chińczyk przejrzał nasze dzienniki, nabrałby niewątpliwie przekonania, że w Europie nic się nie dzieje bez rozkazu z góry. Ale spróbujcie znaleść tam cośkolwiek o instytucjach, które powstają i rozwijają się bez udziału rządu! O tem niema nic albo prawie nic. Jeżeli prowadzi się rubryka „wypadków bieżących", to chyba dlatego, że pozostają w związku z działalnością policji. O jakimś dramacie rodzinnym, o jakimś akcie protestu względem władzy wzmiankuje się dopiero wtedy, gdy do sprawy wmiesza się policja.

Trzysta pięćdziesiąt miljonów Europejczyków kochają się lub nienawidzą, pracują lub żyją z renty, radują się lub cierpią, ale ich czyny, ich życie (po za literaturą, teatrem lub sportem), o ile rząd nie odgrywa w nich jakiejś roli — zostają dla prasy nieznane.

To samo można powiedzieć o historji. Znamy najdrobniejsze szczegóły życia jakiegoś króla lub działalności parlamentu. Historja przechowała wszystkie mowy dobre i marne, wygłaszane w parlamentach, które „nigdy nie odnoszą żadnego wpły-

wu na głosowanie", jak mnie zapewniał jeden ze starych parlamentarzystów angielskich. Wizyty królów, dobry lub zły humor jakiegoś ministra lub polityka, jego dowcipy i intrygi — wszystko to historja gromadzi troskliwie i przechowuje dla potomności. Natomiast nie posiadamy materjału do odtworzenia obrazu życia wewnętrznego jakiegoś miasta średniowiecznego, do zaznajomienia się z olbrzymim mechanizmem handlowym miast hanzeatyckich, albo do zapoznania się z dziejami budowy katedry w Rouen. Historja zna dobrze daty katarów monarchów, ale działalnością twórczą ludu poza murami pałaców królewskich i parlamentów zajmować się nie lubi. I jeżeli nawet jakiś uczony poświęci swe życie badaniu tej strony dziejów, to prace jego pozostają nieznane, a tymczasem „historje polityczne" — a więc fałszywe, gdyż oświetlające jednostronnie życie społeczne — mnożą się, są czytywane i studjowane w szkołach.

Skupiwszy całą uwagę na parlamentach, ministrach i królach, nie spostrzegamy nawet tej olbrzymiej pracy, codziennie wykonywanej dokoła przez wolne zrzeszenia, pracy, stanowiącej największą chlubę naszych czasów.

Oto dlaczego pragnęliśmy zaznaczyć przynajmniej niektóre, bardziej uderzające przejawy tej pracy twórczej i zarazem pokazać, że bez interwencji rządów ludzie doskonale umieją w najbardziej nawet zawiłych kwestjach porozumiewać się dla spólnej pracy, o ile tylko interesy ich nie są całkiem sprzeczne.

Oczywiście, iż w społeczeństwie dzisiejszem, opartem na własności prywatnej t. j. na zdzierstwie i na ciasnym, a więc bezmyślnym indywidualiźmie — podobnego rodzaju objawy muszą być zkonieczności ograniczone, porozumienie nie zawsze jest pozbawione cech pewnego przymusu i niejednokrotnie ma na widoku cele małostkowe, a nawet niskie. Atoli nie chodzi nam tutaj o przykłady, godne naśladowania — tych bowiem społeczeństwo spółczesne dostarczyć nie może. Pragniemy tylko wykazać, iż, pomimo przygniatającego nas indywidualizmu, jest jednak w życiu naszem szeroka dziedzina, w której postępujemy na zasadzie swobodnego porozumienia. Okazuje się, iż bez rządu daleko łatwiej obejść się, niż się na pozór zdaje.

Przytoczyliśmy przykład kolei żelaznych; powróćmy doń jeszcze. Sieć kolei europejskich pozwala podróżować z północy na południe, ze wschodu na zachód — od Petersburga do Madrytu, z Calais do Konstantynopola — bez dłuższych postoi,

nie przesiadając się nawet (o ile się jedzie ekspresem). Posyłka, oddana na którejkolwiek stacji, dojdzie do rąk adresata, w Turcji, czy Azji; wystarcza, aby nosiła napis danej miejscowości.

Podobny rezultat osiągnąć można dwojaką drogą. Jakiś Napoleon, Bismarck, czy inny władca, który marzył o podboju Europy, mógł z Paryża, Berlina lub Rzymu, nakreślić na mapie kierunek linji kolejowych i wyznaczyć porządek ruchu pociągów. To był właśnie ideał ukoronowanego idjoty Mikołaja I. Gdy przedstawiono mu projekt połączenia Moskwy z Petersburgiem, nakreślił na mapie Rosji linję prostą pomiędzy obiema stolicami i rzekł: „Taki ma być kierunek". I tak istotnie po linji prostej przeprowadzono tor: zasypywano wąwozy, wznoszono wysokie mosty, które po kilku latach trzeba było porzucić, bezwzględu na niesłychane koszty, jakie pochłonęły.

Oto jeden sposób. Ale gdzieindziej postąpiono inaczej. Koleje żelazne budowano częściami, następnie części te łączono ze sobą, a wreszcie zainteresowane towarzystwa kolejowe, weszły ze sobą w porozumienie i tak zorganizowały ruch pociągów, aby można było przewozić towary bez przeładowywania ich z wagonu do wagonu przy przejściu z jednej linji na drugą.

Dokonano tego na drodze swobodnego porozumienia, za pomocą wymiany listów i propozycyj, za pomocą zjazdów, na które przybywali delegaci nie po to, aby stanowić prawa, lecz żeby rozważać i porozumiewać się co do kwestyj specjalnych; a po zjeździe wracali do swych towarzystw nie z gotowem prawem, lecz z projektem umowy, który możnaby było przyjąć lub odrzucić.

Zapewne, nie obeszło się bez tarć; zdarzali się ludzie uparci, którzy nie dawali się przekonać. Ale koniec końcem spólny interes godził wszystkich — nie było potrzeby przywoływania wojska przeciw opornym.

Ta olbrzymia sieć połączonych kolei żelaznych i ten bajeczny ruch handlowy, któremu dają podstawę, stanowiący niewątpliwie najbardziej charakterystyczną cechę naszego czasu — jest dziełem swobodnego porozumienia. Gdyby ktokolwiek przed pięćdziesięciu laty przepowiedział coś podobnego, to nasi dziadowie mieliby go za głupca lub warjata i zakrzyczeliby go: „Nigdy w świecie nie uda się doprowadzić do porozumienia stu towarzystw akcyjnych! To utopja, czysta bajka! Porozumie-

nie nakazaćby mógł tylko jakiś zarząd centralny, z naczelnym dyrektorem o silnej pięści."

Najciekawsze w tej organizacji jest właśnie brak jakiegokolwiek zarządu centralnego. Niema ani ministra, ani dyrektora, ani parlamentu, ani nawet komitetu naczelnego! Wszystko załatwia się drogą porozumienia.

A teraz zapytajmy państwowca, który powiada, że „nigdy nie można będzie obejść się bez rządu centralnego, chociażby nawet w takiej sprawie, jak regulowanie biegu towarów" — pytamy go: „W jakiż sposób koleje europejskie mogą się bezeń obchodzić? W jaki sposób udaje się im przewozić po całym kontynencie miljony podróżnych i całe góry towarów? Jeżeli kolejowe towarzystwa akcyjne mogły dojść do porozumienia, dlaczegóż nie będą mogli tego dokazać robotnicy, gdy koleje przejdą w ich ręce? I jeżeli towarzystwa prywatne mogą działać zgodnie bez spólnej władzy, dlaczegóż niezbędną miałaby być w społeczeństwie, składającem się z grup wolnych pracowników?"

Usiłując dowieść za pomocą przykładów, że nawet teraz, pomimo istnienia niesprawiedliwości dzisiejszego ustroju społecznego, ludzie doskonale mogą porozumiewać się bez pomocy władzy państwowej, o ile interesy ich nie są biegunowo sprzeczne, nie przeoczamy jednak zarzutów, które nam postawić można. Przykłady nasze mają jedną słabą stronę — niepodobna wskazać dziś ani jednej organizacji, którąby nie spoczywała na wyzysku słabego przez silnego, biedaka przez bogacza. Dlatego to państwowcy, z właściwą im logiką, nie omieszkają powiedzieć nam: „Widzicie sami, że interwencja państwa jest niezbędną chociażby dlatego, aby położyć kres temu wyzyskowi." Tylko nie biorą oni pod uwagę tego, czego nas uczy historja, przemilczają, iż samo państwo przyczyniło się do pogorszenia tego stanu rzeczy, stwarzając proletarjat i wydając go na pastwę wyzyskiwaczy. I zapominają objaśnić nas, w jaki sposób możliwem jest zniesienie wyzysku, dopóki istnieć będą przyczyny wywołujące go — kapitał indywidualny, oraz nędza, w dwóch trzecich stwarzana przez państwo.

Nadto przewidujemy, iż przykład nasz spotka jeszcze ta-

ki zarzut: „Czyż nie widzicie, jak towarzystwa kolejowe rabują pasażerów, jak uciskają swych funkcjonarjuszów? Przecież państwo musi wziąć ich pod swoją opiekę!"

Ale czyż nie mówiliśmy i nie powtarzali wielokrotnie, że dopóki istnieć będą kapitaliści, dopóty trwać będą nadużycia władzy. A któż inny, jak nie państwo, ów domniemany dobroczyńca — nadało owym towarzystwom tę straszliwą moc, którą rozporządzają? Kto dawał im koncesje? Kto posyłał wojsko dla uśmierzania strejków kolejowych? A początkowo czyż państwo nie rozciągało przywileji towarzystw kolejowych tak dalece, że zabraniało gazetom wspominać o wypadkach kolejowych, aby nie obniżać wartości akcyj kolejowych, przez siebie gwarantowanych? Czyż nie ono wspierało ów monopol, który czynił różnych Vanderbiltów, Polakowów, dyrektorów kolei Parysko-Lyońsko-Śródziemnomorskiej i St. Gotardzkiej, „królami naszych czasów"?

Owóż, gdy przytaczamy jako przykład porozumienie, zawarte pomiędzy towarzystwami kolejowemi, to nie uważamy tego bynajmniej za ideał gospodarki ekonomicznej, ani nawet organizacji technicznej. Chodzi nam tylko o podkreślenie faktu, że jeżeli kapitaliści, mający jedynie na celu powiększenie swych osobistych zysków kosztem ogółu, mogą eksploatować koleje żelazne bez powoływania jakiegoś ministra czy biura międzynarodowego — to dlaczegóż nie potrafią tego również dobrze, a nawet lepiej uczynić stowarzyszenia robotnicze?

Istnieje jeszcze jeden zarzut napozór bardziej poważny. Możnaby powiedzieć, że porozumienie, o którem mówiliśmy, nie jest zupełnie swobodne, albowiem wielkie towarzystwa narzucają swą wolę małym. Mógłby ktoś wskazać np. jedno z takich wielkich towarzystw, które zmusza pasażerów, jadących z Berlina do Bazylei, jechać nie przez Lipsk, lecz przez Kolonję i Frankfurt; inne znów, które każe towarom nakładać drogi po sto i dwieście kilometrów (na większych przestrzeniach) w interesie swych potężnych akcjonarjuszy; inne wreszcie, które drugorzędne linje kolejowe doprowadza do ruiny. W Stanach Zjednoczonych, zarówno towary jak i pasażerowie zmuszani bywają niekiedy odbywać podróż podług marszruty wprost nieprawdopodobnej po to, aby dolary płynęły do kieszeni jakiegoś Vanderbilta.

Powtórzyć musimy poprzednią odpowiedź: dopóki istnieć

będzie kapitalizm, dopóty wielki kapitał uciskać będzie kapitały drobne. Ucisk ten wszakże nie jest wyłącznie sprawą samego kapitalizmu. Wielkie towarzystwa uciskać mogą mniejsze przedewszystkiem dlatego, że popiera je państwo, że stwarza na ich korzyść monopole.

Marks doskonale wykazał, jak prowodawstwo angielskie uczyniło wszystko dla zrujnowania drobnego przemysłu, doprowadzenia włościanina do nędzy i oddania na pastwę wielkich przemysłowców całej armji nędzarzy, zmuszonych do sprzedawania swej pracy za bylejaką zapłatę. To samo da się powiedzieć o prawodawstwie, dotyczącem kolei żelaznych. Linje strategiczne, linje subwencjonowane, linje mające monopol przewożenia korespondencji międzynarodowej — wszystko było puszczone w ruch w interesie wielkich kapitałów. Gdy Rotschild — wierzyciel wszystkich państw europejskich — umieszcza swe kapitały w któremkolwiek przedsiębiorstwie kolejowym, wierni jego poddani — ministrowie, spieszą urządzić wszystko tak, by zabezpieczyć mu jaknajwiększe zyski.

W Stanach Zjednoczonych — owym kraju demokratycznym, stawianym niekiedy jako ideał przez państwowców — we wszystkich sprawach, mających związek z kolejami, panują stosunki wprost skandaliczne. Jeżeli jakieś towarzystwo ma możność zrujnowania spółzawodników niskiemi taryfami, to dlatego, że pokrywa swe straty zyskami z olbrzymich przestrzeni ziemi, wyłudzonej od państwa, zapomocą łapówek. Sprawozdania o amerykańskim handlu zbożowym wykazały, jak wielkim jest udział państwa w tej eksploatacji słabych przez silnych.

I tu państwo dziesięciokrotnie, stokrotnie wzmogło potęgę wielkiego kapitału. I gdy widzimy, że syndykatom towarzystw kolejowych (które też są owocem wolnego porozumienia) udaje się niekiedy osłonić drobne towarzystwa przed wielkiemi, to możemy tylko podziwiać moc wewnętrzną zasady wolnego porozumienia, wbrew wszechpotędze wielkiego kapitału, wspieranego przez państwo.

Istotnie, drobne towarzystwa żyją pomimo stronniczości państwa, i jeżeli we Francji, tym klasycznym kraju centralizacji państwowej, istnieje tylko pięć czy sześć wielkich towarzystw kolejowych, to w Wielkiej Brytanji natomiast naliczyć ich można przeszło sto, a wszystkie żyją w najlepszem porozu-

mieniu wzajemnem i niezawodnie stoją wyżej, pod względem organizacji i szybkości przewozu towarów i ludzi, od kolei francuskich i niemieckich.

Zresztą nie o to chodzi. Wielki kapitał, wspierany przez państwo, zawsze może zdławić drobne kapitały, o ile to będzie w jego interesie. Chodzi nam o podkreślenie faktu, że porozumienie setek towarzystw kolejowych, w których ręku znajdują się koleje Europy, nastąpiło bezpośrednio, bez interwencji jakiegoś rządu centralnego, któryby poszczególnym towarzystwom dyktował prawa. Porozumienie to utrzymuje się w dalszym ciągu dzięki zjazdom, na których przedstawiciele towarzystw radzą, nie nad prawami, lecz nad projektami, które następnie komunikują swym mocodawcom. Jest to zasada nowa, różniąca się zasadniczo od wszelkiej zasady państwowej — monarchicznej, czy republikańskiej, autokratycznej czy parlamentarnej. Jest to prąd nowy, nieśmiało jeszcze ujawniający się w społeczeństwach europejskich, ale do którego należy przyszłość.

Ile razy zdarza się czytać w pismach socjalistów-państwowców wykrzykniki: „A któż w przyszłem społeczeństwie podejmie się regulowania ruchu na kanałach? A gdyby któremu z waszych „towarzyszy" anarchistów przyszło do głowy postawić swą łódź w poprzek kanału i zatamować drogę tysiącom statków — któżby przywołał go do porządku?"

Przyznajemy, iż takie przypuszczenie jest nieco fantastyczne. Ale możnaby dodać: „A cóż będzie, jeżeli np. pewna grupa lub gmina zechce, aby jej statki przeszły przez kanał przed innemi i zajmie cały kanał statkami naładowanemi kamieniami z krzywdą dla ładunku zboża, przeznaczonego dla innej gminy. — Któż ma regulować ruch statków, jeżeli nie państwo?"

Otóż życie realne dostarcza dowodów, że i w tym wypadku, jak w wielu innych, doskonale obejść się można bez państwa. Swobodne porozumienie, swobodna organizacja, zastępują kosztowną i szkodliwą maszynę państwową i lepiej spełniają to samo zadanie.

Wiadomo, czem są dla Holandji kanały — są to jej drogi. Wiadomo również, jaki tam ruch panuje. To, co u nas transportuje się drogami bitemi i żelaznemi, w Holandji idzie drogą wodną. W kraju tym, powinni ludzie wydzierać sobie oczy

o to, czyj statek przejdzie pierwszy. Tu przedewszystkiem państwo powinnoby interwenjować w celu zaprowadzenia ładu.

A jednak dzieje się inaczej. Holendrzy są bardziej praktyczni i już od bardzo dawna potrafili urządzić się inaczej, tworząc gildje, czy syndykaty przewozowe. Były to stowarzyszenia wolne, wyłonione pod wpływem potrzeb żeglugi. Ruch statków odbywał się według przyjętej kolei. Każdy statek powinien się do niej stosować i nie wolno mu wyprzedzać innych pod karą wykluczenia z syndykatu. Żaden nie miał prawa stać na kotwicy w portach dłużej nad pewną liczbę dni, po upływie których, musiał odpływać nawet bez ładunku, aby opróżnić miejsce dla innych. W ten sposób unikano przepełnienia, aczkolwiek pozostawiono pole dla spółzawodnictwa przedsiębiorców, konsekwencji zasady własności indywidualnej. Usuńcie to — a porozumienie będzie bardziej szczere, bardziej sprawiedliwe.

Oczywiście, właściciel statku mógł należeć albo nie należeć do syndykatu—była to jego sprawa osobista. Jednak większość wolała doń przystąpić. Syndykaty dają bowiem takie korzyści, że zawiązały się na Renie, na Wezerze, na Odrze, aż po Berlin. Przewoźnicy nie czekali, aż wielki Bismarck zaanektuje Holandję dla Niemiec i zamianuje swego „Ober-Haupt-General-Staats-Kanal-Navigations-Rath'a" (najwyższego, głównego, generalnego radcę państwowego dla spraw żeglugi na kanałach), dźwigającego ilość galonów, odpowiadającą długości jego tytułu. Woleli porozumieć się w skali międzynarodowej. Co więcej, szereg żaglowców, pełniących służbę pomiędzy portami niemieckimi, a Skandynawją i Rosją, przystąpiło również do tych syndykatów, w celu regulowania ruchu na Bałtyku i wprowadzenia doń pewnej harmonji. Związki te, oparte na porozumieniu dobrowolnem, są w zupełności niezależne od rządu.

Możliwe, a nawet prawdopodobne, że i tutaj wielki kapitał uciska mały. Możliwe też, że syndykat ujawni tendencje do przeobrażenia się w monopol zwłaszcza pod cennym protektoratem państwa, które nie omieszka się tutaj wtrącić. Nie zapominajmy, że syndykaty składają się z ludzi, którzy kierują się wyłącznie względem na swój interes indywidualny. Ale gdyby każdy właściciel statku był zmuszony, na skutek socjalizacji produkcji, spożycia i wymiany, do uczestniczenia w stu innych związkach, potrzebnych do zaspakajania jego potrzeb,

sprawa uległaby zmianie zasadniczej. Potężny na wodzie, czułby się słabym na lądzie i spuściłby z tonu, aby porozumieć się z kolejami, z fabrykami i innemi grupami. W każdym razie, nie sięgając w przyszłość, wskazaliśmy na związek samorzutny, który umie obejść się bez rządu. Przejdźmy do inych przykładów.

Gdy mowa o statkach, nie zapomnijmy o jednej z najpiękniejszych organizacyj, jaka powstała w XIX-em stuleciu, z której możemy być słusznie dumni. Jest to Związek Ratowania Tonących (Lifeboat Association).

Wiadomo, iż rok rocznie tysiące statków rozbija się u wybrzeży Anglji. Na pełnem morzu mocny okręt rzadko boi się burzy. Niebezpieczeństwa grożą mu dopiero u wybrzeży: nawałnice, prądy, uniemożliwiające kierowanie statkiem, skały podwodne i mielizny, na których rozbić się może.

Nawet ongiś, kiedy mieszkańcy nadbrzeżni rozpalali ognie na brzegu morskim, w celu zwabienia okrętów na mielizny, by podług zwyczaju zawładnąć ich ładunkiem — nawet wówczas robili co mogli dla ocalenia załogi. Spostrzegłszy tonący statek, rzucali się na morze na swych drobnych, jak łupina orzecha, łódkach i spieszyli na pomoc ginącym, znajdując sami częstokroć śmierć w falach. Każda wioska nadbrzeżna posiada legendy o czynach bohaterskich swych mieszkańców, zarówno kobiet jak mężczyzn, którzy narażali swe życie, niosąc pomoc tonącej załodze.

Zapewne i państwo i uczeni przyczyniają się do zmniejszenia liczby katastrof. Latarnie morskie, sygnały, mapy, przepowiednie meteorologiczne niezawodnie uczyniły wiele w tym kierunku. A jednak i dziś jeszcze co roku tysiące statków i wiele tysięcy istot ludzkich potrzebuje ratunku.

I otóż kilku ludzi dobrej woli wzięło się do dzieła. Z zawodu marynarze, wypracowali model łodzi ratunkowej, zdolnej do walki z burzą bez obawy przewrócenia się lub zatonięcia. Poczem rozpoczęli agitację w celu zbudzenia zainteresowania dla swej sprawy w szerokich kołach publiczności i zdobycia niezbędnych środków na budowę łodzi ratunkowych i rozmieszczenia ich tam gdzie najczęściej zdarzały się wypadki.

Ludzie ci, nie mając w sobie jakobinizmu, nie zwrócili się do rządu o pomoc. Rozumieli bowiem, że dla pomyślnego rozwoju tego przedsięwzięcia niezbędny jest spółudział maryna-

rzy, ich entuzjazm, znajomość miejscowości, w szczególności zaś ich poświęcenie. Ażeby odnaleść ludzi, którzy na pierwszy sygnał rzucą się wśród nocy w otchłań bałwanów, niepowstrzymani ani przez mroki, ani przez wichry, walczą w ciągu pięciu, sześciu, dziewięciu godzin z odmętem, zanim dopłyną do ginącego statku, słowem ludzi ryzykujących własne życie, aby ratować życie bliźnich, koniecznem jest uczucie solidarności, duch poświęcenia, które nie kupują się za pomocą galonów.

Był to ruch zupełnie samorzutny, mający swe źródło w wolnem porozumieniu i inicjatywie indywidualnej. Setki zrzeszeń lokalnych zakwitły wzdłuż wybrzeży. Inicjatorzy mieli tyle zdrowego rozumu, że nie narzucili się stowarzyszonym w charakterze dyrektorów. Szukali światła w wioskach rybaków. Gdy jakiś lord np. przysyłał fundusze na zbudowanie łodzi ratunkowej w jednej ze wsi nadbrzeżnych, przyjmowano ofiarę, lecz o wyborze miejsca postoju nowej łodzi, rozstrzygali rybacy i marynarze danej miejscowości.

Nie do admiralicji zwracano się o plany nowych łodzi. „Ponieważ chodzi — czytamy w jednem ze sprawozdań stowarzyszenia — aby ratownicy mieli pełne zaufanie do łodzi, na której puszczają się na morze, komitet winien przedewszystkiem troszczyć się o to, by w każdej miejscowości łodzie ratunkowe budowane były według typu, który ratownicy miejscowi uznają za najlepszy". To też każdy rok niemal przynosi jakieś udoskonalenia.

I wszystko spełniają ochotnicy, zorganizowani w komitety lub grupy lokalne, dzięki wzajemnej pomocy i wzajemnemu porozumieniu! Prawdziwi anarchiści! Nie nakładając na stowarzyszonych żadnych opłat przymusowych, w ciągu roku zebrali składkami dobrowolnemi z górą miljon franków.

Rezultaty ich pracy przedstawiają się w sposób następujący: stowarzyszenie posiadało w 1891 roku 293 łodzi ratunkowych. W tymże roku uratowało 601 rozbitków i 33 okręty, a od czasu założenia ocaliło ogółem życie 32.671 ludzi.

W r. 1886, gdy zatonęły trzy łodzie ratunkowe wraz z załogami, do stowarzyszenia przystąpiły setki ochotników, zawiązując szereg nowych grup lokalnych, czego wynikiem było zbudowanie około dwudziestu statków. Nadmienimy tu jeszcze, że stowarzyszenie rozsyła co roku rybakom i marynarzom doskonałe barometry, odstępując je po ce-

nie trzy razy niższej od ich wartości rzeczywistej. Nadto zajmuje się szerzeniem wiadomości meteorologicznych i komunikuje zainteresowanym przepowiednie uczonych, co do nagłych zmian pogody.

Setki tych drobnych komitetów czy grup lokalnych — powtarzamy raz jeszcze — nie są zorganizowane hierarchicznie i tworzą się wyłącznie z ochotników-ratowników oraz z ludzi, których ta sprawa blisko obchodzi. Komitet centralny, który jest raczej ośrodkiem dla porozumienia się stowarzyszonych, do ich czynności nie wtrąca się wcale.

Prawda, że gdy w danej miejscowości, gdzie leży posterunek ratunkowy, odbywa się głosowanie — np. w sprawie szkół lub podatków miejscowych — komitety ratunkowe, jako takie, nie biorą nigdy udziału w dyskusjach, skromność, której niestety nie naśladują członkowie rad municypalnych. Ale z drugiej strony ci mężni ludzie nie chcą się zgodzić na to,aby ci, co nigdy nie narażali swego życia w walce z rozhukanym żywiołem, stanowili prawa, dotyczące akcji ratunkowej. Na pierwszy sygnał o grożącem niebezpieczeństwie, zbiegają się, porozumiewają i wyruszają na morze. Nie oczekują orderów, — jedynym bodźcem jest ich dobra wola.

Przyjrzyjmy się innemu jeszcze stowarzyszeniu tegoż rodzaju — Czerwonemu Krzyżowi. Mniejsza zresztą o nazwę; zobaczmy czem ono jest.

Wyobraźcie sobie, coby to było, gdyby w połowie XIX wieku zjawił się ktoś i powiedział: „Państwo, które z taką łatwością potrafi w ciągu jednego dnia wydać na śmierć dwadzieścia tysięcy ludzi, a dwa razy tyle skazać na kalectwo, nie jest zdolne do niesienia pomocy własnym swym ofiarom. Dlatego też — dopóki wojna istnieje — sprawę tę winna wziąć w swe ręce inicjatywa prywatna. Trzeba, żeby ludzie dobrej woli stworzyli organizację międzynarodową dla tego humanitarnego celu".

Ileżby to drwin posypało się na człowieka, któryby miał odwagę powiedzieć coś podobnego! Przedewszystkiem nazwanoby go utopistą, a następnie, gdyby go miano zaszczycić odpowiedzią, to powiedzianoby: „Właśnie tam, gdzie najwięcej pomoc będzie potrzebna, ochotników nie będzie! Wasze dobrowolne szpitale skoncentrują się w miejscach bezpiecznych, gdy tymczasem w ambulansach na polu bitwy brak będzie

wszystkiego. Zresztą — antagonizmy narodowe sprawią, że biedni żołnierze umierać będą bez wszelkiej pomocy". I każdy miałby tu do dodania jakiś argument zniechęcający. Komuż z nas nie obijały się o uszy krytyki w podobnym tonie!

Wiemy obecnie, jaki obrót sprawa przyjęła. Wszędzie, w każdym kraju, w tysiącznych miejscowościach zorganizowane zostały z ochotników oddziały Czerwonego Krzyża, a gdy wybuchła wojna 1870—71 roku, ochotnicy przystąpili do roboty. Setki mężczyzn i kobiet spieszyły ofiarować swoje usługi. Zorganizowano tysiące szpitali i ambulansów, pociągi rozwoziły żywność, bieliznę i środki opatrunkowe. Komitety angielskie wysyłały całe transporty żywności, odzieży, nasion dla siewu, narzędzi, zwierząt pociągowych — nawet pługi parowe wraz z obsługującymi je specjalistami — do departamentów francuskich, zniszczonych przez wojnę!

Przeczytajcie dzieło Gustawa Moynier, p. t. „Czerwony Krzyż" — a zdumieni będziecie ogromem pracy dokonanej.

Co do proroków, zawsze gotowych do odmawiania innym męstwa i rozumu i uważających siebie za jedynie uzdolnionych do sterowania światem podług własnego widzimisię, to żadna z ich przepowiedni nie ziściła się.

Poświęcenie ochotników Czerwonego Krzyża przewyższyło wszelkie pochwały. Ochotnicy śpieszyli zająć najbardziej niebezpieczne posterunki; a gdy lekarze francuscy, opłacani przez państwo, na wieść o zbliżaniu się Prusaków uciekli wraz ze swym sztabem, ochotnicy Czerwonego Krzyża spełniali w dalszym ciągu swą powinność pod gradem kul, znosząc grubjaństwa oficerów zarówno bismarkowskich jak i napoleońskich i opiekując się rannymi bez względu na ich narodowość. Holendrzy i Włosi, Szwędzi i Belgowie, nawet ochotnicy z Chin i Japonji działali w doskonałem porozumieniu. Rozmieszczali swe szpitale i ambulanse według potrzeb chwili, spółzawodnicząc ze sobą chyba tylko pod względem higjenicznych urządzeń szpitali. Iluż to Francuzów do dziś jeszcze wspomina z głęboką wdzięcznością troskliwą opiekę, której doznali w ambulansach Czerwonego Krzyża od jakiejś pielęgniarki — Holenderki lub Niemki!

Ale dla zwolenników władzy państwowej, wszystko to nie ma znaczenia! Ich ideał — to lekarz pułkowy, urzędnk opłacany przez państwo! Do djabła Czerwony Krzyż z jego wzo-

rowymi szpitalami, jeżeli pielęgniarki nie są funkcjonarjuszami państwowymi!

Jest to zatem organizacja względnie niedawna, która posiada setki tysięcy członków, swoje ambulanse, szpitale, pociągi, która opracowuje nowe metody leczenia rannych i która zawdzięcza swe powstanie samorzutnej inicjatywie kilku ludzi wielkiego serca.

Może powie nam kto, że przecież i państwa przyczyniły się do rozwoju tej organizacji? — Tak, państwa położyły swą rękę na „Czerwonym Krzyżu", żeby nim zawładnąć. W komitetach centralnych przewodniczą panowie, których dusze lokajskie nazywają „książętami krwi". Królowie i królowe raczą darzyć komitety narodowe swym łaskawym patronatem. Lecz nie ich opiece zawdzięcza organizacja swoje powodzenie! Zawdzięcza je tysiącom komitetów lokalnych, rozsianych w każdym kraju, zawdzięcza ofiarnej działalności jednostek, mężnemu poświęceniu się wszystkich, którzy dążą do niesienia pomocy ofiarom wojny. I niewątpliwie to poświęcenie byłoby jeszcze większe, gdyby rządy nie wtrącały się wcale do sprawy!

W każdym razie bynajmniej nie na rozkaz jakiegoś centralnego komitetu międzynarodowego śpieszyli Anglicy i Japończycy, Szwedzi i Chińczycy nieść swą pomoc rannym w 1871 r. Nie na rozkaz jakiegoś ministerjum międzynarodowego wznoszono szpitale w dzielnicach, objętych pożogą wojny, i urządzano ambulanse na polach bitew. Działo się to jedynie dzięki inicjatywie ochotników, napływających ze wszystkich krajów. Przybywszy na miejsce, ochotnicy ci nie skakali sobie do oczu, jak to przewidywali państwowcy, lecz wszyscy bez różnicy narodowości brali się zgodnie do pracy.

Możemy tylko ubolewać, że tyle wysiłków olbrzymich poświęcono takiej sprawie i moglibyśmy zapytać, jak pyta dziecko w wierszu Wiktora Hugo: „Więc pocóż ich ranią, jeżeli potem leczą?" — Dążąc do zniesienia przemocy kapitału i wszechwładztwa burżuazji, temsamem dążymy do ukrócenia wszelkich rzezi i wolelibyśmy, aby ochotnicy „Czerwonego Krzyża" skierowali swą działalność wraz z nami, ku zniesieniu wojny wogóle.

Musieliśmy jednak zwrócić uwagę na tę olbrzymią organizację, jako na jeszcze jeden dowód wspaniałych rezultatów porozumienia i pomocy wzajemnej.

Gdybyśmy chcieli szukać innych przykładów w dziedzinie sztuki tępienia ludzi, nie skończylibyśmy prędko ich wyliczania. Poprzestaniemy na wymienieniu licznych stowarzyszeń, którym armja niemiecka zawdzięcza swą siłę, nie polegającą bynajmniej — jak mniemają powszechnie — wyłącznie na dyscyplinie. Stowarzyszenia te, rozsiane po całych Niemczech, mają na celu szerzenie wiedzy wojskowej.

Stowarzyszenia strzeleckie, stowarzyszenia dla igrzysk wojskowych i strategicznych, związki dla studjów topograficznych i t. p. — oto kuźnice, w których wykuwa się wiedza techniczna armji niemieckiej, a nie w szkołach wojskowych. Całe Niemcy pokrywa olbrzymia sieć stowarzyszeń wszelkiego rodzaju, obejmujących zarówno wojskowych jak i cywilnych, geografów i gimnastyków, myśliwych i techników; stowarzyszenia te powstają samorzutnie, organizują się, łączą się z innemi, urządzają ekskursje po kraju, uczą się, badają, poznają kraj. Tym to właśnie stowarzyszeniom ochotniczym i wolnym związkom zawdzięcza armja niemiecka swą istotną potęgę.

Cel ich jest wstrętny. — Lecz godny zaznaczenia jest fakt, iż nawet państwo, którego celem „najwyższym" jest organizowanie siły zbrojnej — zrozumiało, że rozwój tej siły, pozostawiony swobodnej inicjatywie jednostek i zrzeszonemu spółdziałaniu grup, będzie owocniejszy.

Dziś nawet w sprawach wojny uciekają się do zasady swobodnej inicjatywy; na dowód tego można wskazać na armję ochotników angielskich, na Związek Narodowy artylerzystów angielskich i na organizujący się związek obrony wybrzeży Anglji, który, jeżeli dojdzie do skutku, okaże się bardziej sprężystym i czynnym, niż ministerjum marynarki ze swymi pancernikami, wylatującemi w powietrze i ze swemi bagnetami, gnącemi się jak ołów.

Wszędzie państwo abdykuje, zrzeka się swych „świętych" obowiązków, przekazując je inicjatywie prywatnej. Na wszystkich polach życia społecznego swobodne porozumienie wdziera się w dziedzinę państwa. Przykłady, które tu przytoczyliśmy, dają zaledwie słabe wyobrażenie o tem, czem stać się mogą wolne zrzeszenia z chwilą, gdy państwo istnieć przestanie.

XII. ZARZUTY.

Rozpatrzmy teraz główne zarzuty przeciw komunizmowi. Większość ich, oczywiście, ma swe źródło w zwykłem nieporozumieniu; ale niektóre poruszają nader doniosłe kwestje i zasługują niewątpliwie na uwagę.

Nie zamierzamy odpowiadać na zarzuty, stawiane komunizmowi państwowemu, sami je bowiem podzielamy. Narody cywilizowane zbyt wiele poniosły cierpień w walce o wyzwolenie jednostki, aby mogły zapomnieć o swej przeszłości i pogodzić się z istnieniem rządu, wtrącającego się w najdrobniejsze szczegóły życia obywatela, — nawet wówczas, gdyby ten rząd nie miał innego celu poza dobrem powszechnem. Jeśliby kiedykolwiek mogło powstać społeczeństwo, oparte na komuniźmie państwowym, to niedługie byłoby jego istnienie; pod naciskiem niezadowolenia powszechnego musiałoby albo się rozpaść się, albo zreorganizować na zasadach wolności.

Chcemy zająć się społeczeństwem, opartem na komuniźmie anarchistycznym, t. j. społeczeństwem, które uznaje zupełną wolność jednostki, nie zna żadnej władzy i nie ucieka się do przemocy w celu zmuszania do pracy. Rozważmy, — uwzględniając jedynie ekonomiczną stronę kwestji — czy takie społeczeństwo posiadałoby widoki pomyślnego rozwoju, nawet jeśliby składało się z ludzi takich jacy są dzisiaj, t. j. nie lepszych, i nie bardziej pracowitych.

Znamy dobrze zwykłą replikę: „Jeżeli każdy będzie miał byt zapewniony, jeżeli konieczność zarabiania na chleb przestanie pobudzać człowieka do pracy, nikt nie zechce pracować. Skoro praca przestanie być przymusem, każdy zechce zwalić ją na innych". Przedewszystkiem podkreślić musimy niesłychaną lekkomyślność tak sformułowanego zarzutu: ci co to mówią zapominają o tem, że zagadnienie to rozstrzygnięte być może jedynie na drodze porównania i sprowadza się w rzeczywistości do zbadania, czy praca najemna daje istotnie takie rezultaty, jakich się od niej spodziewają — oraz czy praca dobrowolna nie jest już nawet dziś bardziej wydajną od pracy wykonywanej pod przymusem zarobkowym. Jest to kwestja wymagająca gruntownego zbadania. Gdy w naukach ścisłych w kwestjach mniej złożonych i ważnych wyrokuje się dopiero po gruntownem poznaniu faktów, zbadaniu całokształtu ich

wzajemnych stosunków — tu, w dziedzinie społecznej wypowiada się kategorycznie sądy na podstawie pierwszego lepszego odosobnionego faktu, jak naprz. upadku jakiejś gminy komunistycznej w Ameryce. Taki stosunek do zagadnień społecznych podobny jest do taktyki adwokata, który w osobie obrońcy strony przeciwnej widzi nie przedstawiciela odmiennego poglądu, lecz spółzawodnika w turnieju krasomówczym i który, jeśli uda mu się znaleźć zręczną odpowiedź na argumenty przeciwnika, nie troszczy się już wcale o to, czy ma istotnie rację czy nie. Dlatego to badania nad tem podstawowem zagadnieniem ekonomji politycznej — w jakich warunkach społeczeństwo kosztem najmniejszych strat siły ludzkiej osiągać może największe rezultaty — nie posuwając się wcale naprzód. Ludzie zadawalniają się powtarzaniem oklepanych ogólników, lub pomijają je milczeniem.

Podobna lekkomyślność jest tembardziej rażąca, iż nawet wśród przedstawicieli kapitalistycznej ekonomji politycznej można już spotkać autorów, którzy, pod naciskiem faktów, zaczynają wątpić o niewzruszoności aksjomatu, sformułowanego przez pierwszych ekonomistów, jakoby głód był najlepszym bodźcem do pracy. Zaczynają spostrzegać, iż w produkcji odgrywa rolę pewien pierwiastek kolektywny, dotąd lekceważony, a który być może ma znaczenie donioślejsze, niż perspektywa zysku osobistego. Niska wartość pracy najemnej, zastraszające marnowanie wysiłków ludzkich w rolnictwie i przemyśle spółczesnym, wciąż wzrastające zastępy próżniaków, usiłujących pracę swą zwalić na barki innych, coraz jaskrawiej występujący brak ożywienia w produkcji — wszystko to zaczyna budzić niepokój nawet wśród ekonomistów szkoły klasycznej. Niektórzy z nich namyślają się, żali nie popełnili błędu, budując swe rozumowania na rzekomem istnieniu jakiejś istoty przesadnie złej, która kieruje się wyłącznie względami na zysk osobisty. Herezja ta przenika nawet do uniwersytetów i przebija niekiedy w dziełach prawowiernych ekonomistów. Nie przeszkadza to jednak wielu reformatorom socjalistycznym pozostawać nadal zwolennikami indywidualistycznego systemu wynagradzania pracy i bronienia przestarzałej twierdzy najemnictwa, pomimo, że nawet dawni jej obrońcy stopniowo ją opuszczają.

Istnieje zatem obawa, iż bez przymusu ludzie nie zechcą

pracować. Ale czyż nie słyszeliście dwukrotnie za naszych czasów tych samych obaw, raz z ust amerykańskich plantatorów przed zniesieniem niewolnictwa, a poraz wtóry z ust rosyjskiego ziemiaństwa przed uwłaszczeniem włościan? „Bez bata murzyn nie będzie pracował"—mówili plantatorzy—„Bez czujnego oka pana poddany przestanie uprawiać pola" —twierdzili bojarzy rosyjscy. Jest to piosenka szlachty francuskiej z r. 1789, piosenka średniowiecza stara jak świat. Słyszymy ją za każdym razem, gdy chodzi o usunięcie jakiejś krzywdy ciążącej nad ludzkością.

I za każdym razem życie zadaje jej kłam. Włościanin z r. 1792, wyzwolony z jarzma poddaństwa, uprawiał swe pole z taką zawziętą energją, jakiej nie znali jego przodkowie. Wyzwolony murzyn pracował więcej niż jego ojcowie. Również i chłop rosyjski, uczciwszy miodowy miesiąc swej wolności obchodzeniem „świętego piątku" narówni z niedzielą, brał się do pracy z tym większym zapałem, im zupełniejsze było jego wyzwolenie. W miejscowościach, gdzie mu nie zbywa ziemi, pracuje poprostu z zajadłością.

Ta piosenka więc mieć może wartość jedynie dla właścicieli niewolników. Ale niewolnicy wiedzą doskonale, co jest warta i w jakim celu się ją śpiewa.

Któż zresztą, jeżeli nie ekonomiści, pouczał nas, iż najemnik stara się zbyć byle jak swoją robotę, zaś pracę prawdziwie natężoną i produkcyjną może dać tylko człowiek, którego dobrobyt wzrasta proporcjonalnie do jego wysiłków. Wszystkie hymny pochwalne na cześć własności prywatnej sprowadzają się właściwie do tego aksjomatu.

Wysławiając dobrodziejstwa własności prywatnej, ekonomiści przytaczają zwykle jako przykład grunta nieuprawne — jakieś błota, nieużytki kamieniste, które dzięki pracy drobnego właściciela, zroszone jego potem, przeistaczają się w urodzajne łany; i rzecz dziwna, wcale nie spostrzegają, iż przykład powyższy nie przemawia bynajmniej na korzyść tezy o dobrodziejstwach własności. Przyznając bowiem, co jest zupełnie słuszne, iż posiadanie narzędzi pracy jest jedyną rękojmią, zabezpieczającą pracownikowi korzystanie z owoców jego pracy, dowodzą właściwie tylko tego, że praca dopiero wtedy jest owocna i twórcza, gdy człowiek wykonywuje ją zupełnie swobodnie, gdy może w pewnym stopniu sam wybierać sobie rodzaj

zajęcia, gdy nie ma nad sobą krępującego dozoru i gdy widzi wreszcie, iż z pracy korzysta nie jakiś próżniak, lecz on sam i inni ludzie pracy. Jest to jedyny wniosek, który można wysnuć z powyższej argumentacji — wniosek, który w zupełności podzielam.

Co się tyczy formy posiadania narzędzi pracy, to właściwie jest ona w powyższem rozumowaniu ekonomistów rzeczą uboczną: zalecają rolnikowi własność prywatną, jako rękojmię, iż nikt mu nie wydrze plonu jego zabiegów i trudu. Dla dania dowodu, iż ze wszystkich form posiadania najlepszą jest własność prywatna, czyż nie powinni ekonomiści wykazać, że, przy komunalnej formie własności, ziemia wydaje plony mniej obfite, niż przy własności indywidualnej? Otóż w rzeczywistości tak nie jest. Doświadczenie stwierdza co innego.

Przyjrzyjcie się naprz. życiu jakiejś gminy kantonu Vaud w Szwajcarji, gdzie cała ludność wyrusza na wyrąb drzewa do lasu, należącego do wszystkich na mocy gminnego władania. Właśnie wtedy podczas owego „święta pracy" ujawnia się największy zapał do pracy i najwyższe natężenie sił ludzkich. Nie sprostałaby mu żadna praca najemna, żadne wysiłki właściciela.

Albo spojrzyjcie na wieś wielkorosyjską, gdy jej mieszkańcy wychodzą kosić łąki, należące do gminy, lub przez nią dzierżawione: wtedy dopiero zrozumiecie, czego może dokonać człowiek, który pracuje wespół z innymi dla spólnej sprawy. Kosiarze spółzawodniczą ze sobą o to, czyja kosa zatacza szersze kręgi, dziewczęta, na wyścigi jedna przed drugą, śpieszą gromadzić siano, nie dając się ubiec kosiarzom. I znów jest to święto pracy, podczas którego stu ludzi w przeciągu kilku godzin robią więcej, niż zrobiliby w ciągu kilku dni, gdyby każdy z nich pracował oddzielnie. W porównaniu z tym obrazem, jakże smutny kontrast przedstawia odosobniona praca chłopa.

Moglibyśmy przytoczyć tysiące przykładów z życia pionierów amerykańskich, z życia wsi szwajcarskich, niemieckich i rosyjskich, moglibyśmy powołać się, naprzykład, na rosyjskie artele mularzy, cieśli, przewoźników, rybaków, które dzielą poprostu pomiędzy sobą plon swej pracy, lub zarobek, nie uciekając się do pośrednictwa przedsiębiorcy. Moglibyśmy wspomnieć o spólnych łowach plemion koczowniczych i o niezliczonem

mnóstwie innych pomyślnie dokonywanych prac zbiorowych. Wszędzie stwierdzlibyśmy jedno—niewątpliwą wyższość pracy kolektywnej w porównaniu do pracy najemnej lub pracy właściciela.

Po wsze czasy najpotężniejszym bodźcem do pracy było dążenie do dobrobytu, t. j. do zaspakajania potrzeb fizycznych, artystycznych i moralnych, oraz do zabezpieczenia sobie tego stanu rzeczy. To też wolny robotnik, który widzi, iż jego własny i powszechny dobrobyt rośnie w miarę jego wysiłków, rozwija daleko większą energję i pomysłowość i osiąga daleko lepsze rezultaty, niż najemnik, który zaledwie zdoła zdobyć niezbędne środki do życia. Ten ostatni czuje się na wieki przykutym do taczki niedoli, tamten zaś może korzystać z wolnego czasu i wszelkich rozkoszy, które to daje.

W tem tkwi cały sekret. Dlatego też społeczeństwo, które, mając na celu dobrobyt powszechny, będzie zaspokajało wszystkie potrzeby ludzkie, będzie mogło, dzięki pracy dobrowolnej osiągać niezrównanie wspanialsze rezultaty, niż te, które dawała dotychczas produkcja ludzka, oparta kolejno na niewolnictwie, na poddaństwie i na pracy najemnej.

Dziś każdy, kto może zwalić wszelką niezbędną dla życia pracę na barki innych, śpieszy to uczynić. Powszechnem jest mniemanie, iż tak będzie zawsze.

Pracą niezbędną dla życia jest przedewszystkiem praca ręczna. Kimkolwiek jesteś uczonym, czy artystą, nie możesz obejść się bez produktów pracy ręcznej: chleba, odzieży, dróg, okrętów, światła, ciepła i t. d. Niedość na tem, jakkolwiek wysoce artystyczne, czy subtelnie metafizyczne są nasze potrzeby i rozkosze, wszystkie bez wyjątku oparte są na pracy ręcznej i od tej pracy, stanowiącej podstawę życia, każdy stara się uwolnić.

Jest to zupełnie zrozumiałe. W dzisiejszych warunkach inaczej być nie może. Oddawać się dziś pracy fizycznej, to znaczy być zamkniętym codziennie przez długie godziny w niezdrowem pomieszczeniu i być przykutym do jednej i tej samej roboty przez 10 — 30 lat, przez życie całe. To znaczy być skazanym na lichy zarobek, ne niepewność jutra, na bezrobocie, bardzo często na nędzę, a jeszcze częściej na śmierć przedwczesną w szpitalu i to po czterdziestu latach pracy, która była źródłem bogactwa i radości dla innych, a dla robotnika

i jego dzieci — przekleństwem. To znaczy mieć na swem czole przez całe życie piętno niższości i na każdym kroku odczuwać tę niższość, gdyż cokolwiek się mówi przy stołach biesiadnych o dostojeństwie „namulonej dłoni", praca ręczna zawsze jest uważana za coś niższego od umysłowej. Istotnie, czyż człowiek, przez 10 godzin pracujący w warsztacie, ma czas i możność oddawania się wyższym rozkoszom, jakie daje nauka i sztuka, a zwłaszcza, czy może być przygotowany do odczuwania ich wartości. Zadawalać się musi okruchami, spadającemi ze stołów klasy uprzywilejowanej.

Rozumiemy doskonale, że w takich warunkach praca ręczna musi być uważana za przekleństwo losu. Rozumiemy dlaczego wszyscy marzą o jednem, aby samemu wydostać się lub dzieci swoje wyzwolić z tych nizin społecznych, aby zdobyć sobie życie „niezależne", czyli innemi słowami, żyć kosztem cudzej pracy!

I tak będzie dopóty, dopóki istnieć będą obok siebie dwie klasy ludzi — ludzi pracujących fizycznie i ludzi mianujących się „pracownikami ducha", dopóki istnieć będą ręce czarne i ręce białe.

Jakie zainteresowanie budzić może ta praca ogłupiająca w robotniku, który wie naprzód, jaki go los czeka — niedostatek, nędza i wieczna niepewność jutra. I gdy widzimy, jak codziennie olbrzymia większość ludzi powraca do swej smutnej pracy, to musimy podziwiać ich wytrwałość, ich przywiązanie do pracy, siłę przyzwyczajenia, która pozwala im, na wzór puszczonej w ruch maszyny, pędzić z dnia na dzień nędzny żywot bez nadziei lepszego jutra, bez marzeń nawet o tem, iż kiedyś jeśli nie oni, to przynajmniej ich dzieci będą mogły korzystać ze skarbów przyrody, wiedzy i sztuki, dziś dostępnych dla nielicznej garstki uprzywilejowanych.

Właśnie w celu położenia kresu temu podziałowi pomiędzy pracą myśli a pracą rąk, pragniemy zniesienia pracy najemnej, dążymy do rewolucji społecznej. Praca przestanie wtedy być przekleństwem, stanie się tem, czem być powinna — swobodnem ćwiczeniem wszystkich zdolności człowieka.

Czas wreszcie poddać poważnej krytyce ową legendę o wyższości pracy, której bodźcem jest płaca najemna. Dość jest zwiedzić pierwszą lepszą fabrykę, lub rękodzielnię dzisiejszą, by się przekonać o niesłychanem marnotrawieniu sił

ludzkich, które jest cechą charakterystyczną produkcji spółczesnej. Na jedną fabrykę, zorganizowaną mniej więcej w sposób racjonalny, przypada sto lub więcej takich, w których praca człowieka, ta drogocenna siła, marnuje się poto jedynie, by zwiększyć zyski przedsiębiorcy o kilka groszy dziennie.

Oto naprz. widzimy młodych 20-letnich chłopaków, którzy całemi dniami siedzą zgarbieni i, gorączkowo potrząsając głową i całem ciałem, zawiązują z szybkością godną kuglarza końce nitek bawełnianych, odpadków po wyrobie koronek. Cofnąłem się ze zgrozą, gdym ujrzał ten okropny obraz w jednej z wielkich fabryk angielskich. Poco marnuje się tak życie ludzkie? Poco ci ludzie młodzi i pełni sił trawią swój żywot na podobnie bezsensowne zajęcie? Literalnie chodzi tu o groszowe oszczędności! I jakież to potomstwo zostawią po sobie te ciała trzęsące, wyniszczone, rachityczne? Ale... „zajmują oni tak mało miejsca w fabryce, a każdy z nich daje mi dziennie po ½ fr. czystego zysku" — powie fabrykant.

Gdzieindziej znów, w jednej z olbrzymich fabryk zapałek w Londynie, widzimy młode dziewczęta wyłysiałe w 17 roku życia, wskutek przenoszenia na głowie z jednej sali do drugiej pudeł z zapałkami, gdy najprostsza maszyna mogłaby doskonale podwozić je do stołów. Ale... praca kobiet niekwalifikowanych kosztuje tak tanio, na co maszyna! Gdy te robotnice nie będą już mogły pracować, zastąpi się je innemi, tyle ich jest na ulicy.

Na schodach bogatego domu wielkomiejskiego, zobaczyć możemy w noc zimową małego chłopaka śpiącego z paczką gazet w ręku. Licha odzież nie zabezpiecza go od zimna i słoty, jest bosy... Ale praca dzieci jest taka tania! Dlaczegożby nie skorzystać z tego, iż chłopiec sprzeda sporo gazet, a sam zadowolni się paroma groszami.

Albo oto widzimy zdrowego i silnego mężczyznę, przechadzającego się z założonemi rękoma, całe miesiące napróżno szuka pracy, gdy tymczasem córka jego więdnie przy apreturze tkanin wśród gorąca i zaduchu, a syn napełnia szuwaksem blaszane pudełka, praca, którą maszyna zdołałaby wykonać sto razy prędzej i lepiej.

I tak jest wszędzie od San Francisko do Moskwy, od Neapolu do Sztokholmu — bezużyteczne marnowanie sił ludzkich jest charakterystyczną i przeważającą cechą naszego przemy-

słu, nie mówiąc już o handlu, gdzie dosięga jeszcze większych rozmiarów.

Cóż za gorzka ironja dźwięczy w tej nazwie e k o n o m j a polityczna, którą dajemy nauce o lekkomyślnem marnotrawieniu sił przy systemie pracy najemnej!

To jeszcze nie wszystko. Porozmawiajcie, naprzykład, z dyrektorem jakiejkolwiek dobrze zorganizowanej fabryki, a zacznie z naiwnością utyskiwać nad trudnościami znalezienia zręcznych, silnych, energicznych robotników, którzyby z zapałem oddawali się pracy. „Jeżeli na 20-tu lub 30-tu, powie nam, którzy co poniedziałek zgłaszają się w poszukiwaniu pracy, znajdzie się choć jeden taki, to napewno przyjmiemy go nawet wtedy, gdy okoliczności zmuszają nas do redukowania rąk roboczych. Takiego robotnika można poznać od pierwszego wejrzenia i zawsze się go przyjmie. Miejsce dla niego się znajdzie, albowiem nazajutrz wyrzucić można któregoś ze starszych lub słabszych robotników. Każdy wyrzucony robotnik i ci, których wyrzucą jutro, powiększają armję zapasową kapitału — szeregi robotników bez pracy, których powołują do fabryk i warsztatów jedynie w chwilach gorączkowego ożywienia w przemyśle, lub w celu złamania oporu strajkujących.

A teraz porozmawiajcie z robotnikami. Dowiecie się, że przyjętą przez nich zasadą jest, nigdy nie wykonywać całej ilości pracy, jaką wykonać można i biada robotnikowi, któryby, naprzykład, w fabryce angielskiej nie usłuchał tej rady, dawanej mu na wstępie przez towarzyszy! Robotnicy wiedzą doskonale, że jeżeli w chwili wspaniałomyślności ustąpią naleganiom fabrykanta i zwiększą intensywność pracy w celu prędszego wykonania naprzykład zamówień terminowych, to w przyszłości ten właśnie stopień natężenia pracy będzie od nich wymagany nie jako wyjątek, lecz jako reguła i według niego układać się będzie skala płacy. Dlatego też w dziewięciu fabrykach na dziesięć wstrzymują się od pracy intensywnej. W niektórych gałęziach przemysłu ograniczają produkcję, żeby utrzymać wysoką cenę wyrobów, a niekiedy rzucają sobie hasło: „Co — canny", które oznacza „za lichą płacę, licha praca".

Praca najemna — to praca niewolnika, który nie może i nie powinien pracować z całem natężeniem. Dawno czas zerwać z legendą, iż płaca najemna jest dla człowieka najlepszym

bodźcem do pracy produkcyjnej. Jeżeli przemysł wytwarza dziś sto razy więcej, niż dawał za naszych pradziadów, — to zawdzięczamy to nagłemu rozkwitowi chemji i fizyki w końcu XVIII stulecia; stało się to nie dzięki kapitalistycznemu systemowi pracy najemnej, lecz wbrew niemu.

Ci, co poważnie zbadali tę kwestję, nie zaprzeczają ani jednej z dobrych stron komunizmu, pod warunkiem oczywiście, że będzie to komunizm, oparty na wolności, t. j, anarchistyczny. Przyznają, iż praca wynagradzana pieniędzmi, chociażby nawet w formie „bonów pracy", wykonywana przez związki robotnicze pod kierownictwem państwa, zachowałaby wszystkie cechy pracy najemnej i wszystkie jej wady.

Twierdzą, iż, koniec końców, odbiłoby się to źle na całym systemie, pomimo, że narzędzia produkcji zostałyby uspołecznione. Z drugiej strony zgadzają się z tem, że dzięki wszechstronnemu i powszechnemu wykształceniu młodych pokoleń, dzięki przyzwyczajeniu do pracy wszystkich członków społeczeństwa cywilizowanego, dzięki swobodzie wyboru i możności zmiany zajęć i tej rozkoszy, jaką daje człowiekowi spólna praca ludzi równych dla powszechnego dobra — społeczeństwo komunistyczne nie będzie odczuwało braku rąk chętnych do pracy, które wkrótce podwoją conajmniej wydajność ziemi i pchną przemysł na nowe tory.

Oto są punkty, co do których przeciwnicy nasi godzą się z nami. „Ale niebezpieczeństwo — powiadają — tkwi w próżniakach. Oni to pomimo doskonałych warunków, które uczynią pracę przyjemną, nie zechcą pracować, lub też pracować będą niesystematycznie i niedbale". Dziś perspektywa głodu zmusza nawet najgorszych z pośród nich do dotrzymywania kroku innym. Ten, kto nie stawia się na czas do pracy, wkrótce zostaje wydalony. Ale jedna parszywa owca zaraża całe stado i dość jest trzech niedbałych i krnąbrnych robotników, by zdemoralizować wszystkich i zasiać wśród nich ducha niezgody i buntu, który uniemożliwi dalszą pracę. Wkońcu dojść może do tego, iż trzeba będzie znów uciec się do przymusu, by ukrócić swawolę. Otóż najlepszym systemem, pozwalającym stosować przymus bez obrażania godności robotnika, jest właśnie system

wynagradzania według ilości wykonanej pracy. Wszelkie inne środki przymusu wymagałyby ciągłej interwencji władzy, której człowiek wolny znieść nie może".

Tak brzmi najsilniejszy argument naszych przeciwników. Jak widzimy, należy on do kategorji argumentów, których używa się zwykle dla usprawiedliwienia istnienia państwa, kodeksu karnego, sądu i więzień.

„Ponieważ są ludzie, chociażby nieznaczna mniejszość, którzy nie chcą stosować się do przyjętych reguł i zwyczajów społecznych — powiadają zwolennicy władzy państwowej — musimy przeto z konieczności utrzymać państwo, jakkolwiek wiele miałoby to nas kosztować, musimy też zachować i władzę i sąd i więzienia, chociaż te instytucje same stają się źródłem wszelkich zbrodni." Moglibyśmy ograniczyć się do powtórzenia raz jeszcze odpowiedzi, którą tylokrotnie dawaliśmy, gdy mowa była o władzy wogóle: „Dla zapobieżenia możliwemu złu uciekacie się do środka, który sam przez się jest jeszcze większem złem i staje się źródłem tych samych nadużyć, którym właśnie zapobiec pragnęliście. Nie zapominajcie bowiem, że właśnie praca najemna, niemożność istnienia inaczej, jak przez sprzedawanie swej siły pracy, stworzyła ustrój kapitalistyczny, którego ciemne strony zaczynacie dostrzegać".

Moglibyśmy zauważyć również, iż powyższe rozumowanie naszych przeciwników jest w gruncie rzeczy obroną istniejącego porządku. Praca najemna nie została wprowadzoną bynajmniej w celu usunięcia złych stron komunizmu. Początki jej podobnie, jak początki państwa i własności, są zgoła inne. Zrodziła się z niewolnictwa i poddaństwa, narzuconych przemocą, i jest ich modyfikacją zastosowaną do warunków spółczesnych. To też argument ten posiada taką samą wartość, co i argumenty przytaczane na obronę własności i państwa. Postaramy się jednak rozpatrzeć go bliżej i przekonać się, czy nie zawiera pewnej dozy słuszności.

Przedewszystkiem zastanówmy się nad pytaniem, czy społeczeństwo, hołdujące zasadzie pracy dobrowolnej, zagrożone przez próżniaków, nie potrafiłoby obronić się od nich bez uciekania się do pracy najemnej lub do przemocy państwowej? Wyobraźmy sobie grupę ludzi zrzeszonych dobrowolnie dla dopięcia spólnego celu: wszyscy prześcigają się wzajemnie w gorliwości prócz jednego, który się zaniedbuje. Czyż z jego

przyczyny należałoby rozpędzić grupę, albo wybrać prezydenta, któryby wyznaczał kary, albo wreszcie, czyż trzeba jak akademja francuska rozdawać żetony dla obliczania członków nieobecnych. Oczywiście, że członkowie takiej grupy nic podobnego nie uczynią, lecz pewnego poranku powiedzą poprostu swemu krnąbrnemu towarzyszowi: „pragnęlibyśmy pracować z tobą, przyjacielu, ale ponieważ zaniedbujesz swoje obowiązki, musimy się rozstać. Poszukaj sobie innych towarzyszy, którzy będą względniejsi dla twego niedbalstwa".

Jest to środek tak naturalny, że dziś stosują go wszędzie we wszystkich gałęziach przemysłu, na równi ze wszystkiemi systemami kar, obniżania płac, dozorów i t. d. Jeśli robotnik pracuje niedbale, jeśli brakiem staranności lub innemi przywarami przeszkadza towarzyszom, jeśli jest kłótliwy — skończone, musi opuścić fabrykę.

Ludzie nieobeznani z pracą fabryczną mniemają, iż sumienność pracy i pilność robotników zależną jest wyłącznie od wszechwiedzy fabrykanta i czujności dozorców. W rzeczywistości zaś w jakimkolwiek przedsiębiorstwie nieco skomplikowanem każdy wyrób, zanim zostanie wykończony, przejść musi przez szereg rąk, a w takich warunkach sami robotnicy czuwają, by każdy sumiennie spełniał swą powinność. Dlatego to w najlepszych fabrykach prywatnych w Anglji jest mało dozorców, przeciętnie daleko mniej, niż we francuskich, a bez porównania mniej, niż w angielskich fabrykach państwowych.

Dzieje się tu to samo, co z utrzymaniem pewnego poziomu moralnego w społeczeństwie. Mniema się zwykle, iż poziom ten podtrzymuje się dzięki sądom i policji, gdy tymczasem istnieje on właśnie wbrew działalności sędziów, policjantów i żandarmów. „Im więcej praw, tem więcej zbrodni!"— prawdę tę odkryto już dawno przed nami.

Powtarza się to nietylko w fabrykach i warsztatach, ale we wszystkich dziedzinach pracy ludzkiej, codziennie na każdym kroku i to w tak szerokich rozmiarach, iż tylko mole książkowi mogą tego nie dostrzec. Gdy naprz. jakieś towarzystwo kolejowe, związane umową z innemi towarzystwami, nie wypełnia swych zobowiązań, gdy pociągi jego spóźniają się, lub, gdy towary zbyt długo leżą po stacjach, wówczas inne towarzystwa grożą mu zerwaniem umowy. Zazwyczaj to wystarcza.

Utarte jest mniemanie, iż w handlu wszelkie zobowiązania

wypełniane bywają jedynie pod grozą odpowiedzialności sądowej; faktycznie wcale tak nie jest. W dziewięciu wypadkach na dziesięć kupiec, który nie dotrzymał słowa, nie jest pozywany do sądu. W wielkich miastach, jak Londyn, gdzie handel jest nadzwyczaj ożywiony, wytoczenie dłużnikowi procesu wystarcza, by na przyszłość większość kupców unikała stosunków z człowiekiem, który może przysłać wezwanie sądowe.

Dlaczegóż więc to, co dziś już istnieje pomiędzy robotnikami, kupcami i towarzystwami kolejowemi, miałoby okazać się niemożliwe w społeczeństwie, opartem na pracy dobrowolnej. Gmina komunistyczna zawierałaby naprzykład z każdym ze swych członków następującą umowę: „Zapewnimy ci używanie naszych domów, magazynów, ulic, dróg, środków komunikacji, szkół, muzeów i t. d., pod warunkiem, że od 20 do 45 lub 50 roku życia będziesz poświęcał wytwarzaniu przedmiotów niezbędnych do życia codziennie 4 do 5 godzin pracy. Możesz wybrać sobie grupę dowolną, lub też stworzyć nową, byle podjęła pracę, uważaną za niezbędną. Co się zaś tyczy wolnego czasu, to możesz nim rozporządzać, według własnego uznania, na odpoczynek, zajęcia naukowe, lub artystyczne."

„1200 do 1500 godzin pracy rocznie w którejkolwiek z grup, produkujących artykuły spożywcze i odzież, wznoszących budowle, czuwających nad zdrowotnością publiczną i t. d., oto wszystko, czego żądamy od ciebie; wzamian zaś zabezpieczamy ci korzystanie z wszystkiego, co grupy nasze wytworzyły lub wytwarzają. Ale jeżeli żadna z wielu grup, należących do naszej gminy, nie zechce cię przyjąć, jeżeli nie jesteś zdolny do żadnej pracy użytecznej, albo też nie chcesz pracować, to nie pozostaje ci nic innego, jak pędzić żywot w odosobnieniu, lub żyć jak nasi chorzy, t. j. kosztem gminy. Jeżeli będziemy na tyle bogaci, aby cię zaopatrywać we wszystko niezbędne do życia, z przyjemnością to uczynimy: jesteś człowiekiem, więc masz prawo do życia. Ale ponieważ sam stawiasz siebie w położenie wyjątkowe i usuwasz się z szeregów, musi to niewątpliwie odbić się i na stosunku do ciebie reszty obywateli — patrzeć będą na ciebie, jako na przybysza ze świata burżuazji, chyba, że znajdą się twoi przyjaciele, którzy uznają cię za genjusza, pośpieszą uwolnić cię od wszelkich obowiązków moralnych względem społeczeństwa, wykonywując za ciebie pracę niezbędną.

„Jeżeli wreszcie wszystko ci się tu nie podoba, idź w

świat i szukaj sobie innych warunków życia. Może dobierzesz sobie towarzyszy, z którymi założysz nową gminę, opartą na odmiennych zasadach. Co do nas, to wolimy nasze".

Oto w jaki sposób mogłoby radzić sobie społeczeństwo komunistyczne, gdyby liczba próżniaków urosła na tyle, że aż trzebaby było bronić się od nich.

Wątpimy jednak, aby podobne niebezpieczeństwo miało grozić społeczeństwu, opartemu na zupełnej wolności jednostki. Nawet dziś bowiem pomimo istnienia własności prywatnej, pobudzającej do lenistwa, poza chorymi, spotyka się bardzo mało ludzi prawdziwie leniwych.

Śród robotników często można słyszeć zdanie, że burżuje to sami próżniacy. Tacy istotnie śród nich bywają, ale można ich uważać za wyjątki. Przeciwnie, w każdem przedsiębiorstwie przemysłowem spotyka się jednego, lub kilku burżujów, którzy dużo pracują. Prawda, większość z nich korzysta z uprzywilejowanego stanowiska, wybiera rodzaj pracy najmniej uciążliwy i pracuje w takich warunkach higienicznych, iż praca ich zbytnio nie męczy. Takich warunków żądamy właśnie dla w s z y s t k i c h bez wyjątku. Prawdą jest również, że dzięki uprzywilejowanemu położeniu bogacze wypełniają częstokroć pracę bezużyteczną, a nawet szkodliwą dla społeczeństwa. Cesarze, ministrowie, naczelnicy wydziałów, dyrektorowie fabryk, kupcy, bankierzy i t.p. zmuszają siebie do wykonywania w ciągu kilku godzin dziennie pracy, którą uważają za mniej lub więcej nudną i wszyscy wolą godziny odpoczynku, niż tę pracę obowiązkową. Jeżeli w większości wypadków praca ich jest szkodliwa, to przez to nie wydaje się im ona mniej uciążliwą. Jeżeli udało się burżuazji zwyciężyć stan szlachecki, jeżeli do dziś panuje jeszcze nad ludem, to zawdzięcza to właśnie wielkiej energji, z jaką świadomie lub nieświadomie spełnia swe zgubne dzieło i broni swego stanowiska uprzywilejowanego. Gdyby składała się z samych próżniaków, dawnoby już jej nie było, znikłaby z oblicza ziemi, jak znikły pióropusze i ostrogi szlacheckie.

W społeczeństwie, które wymagałoby 4 — 5 godzin dziennie pracy pożytecznej, przyjemnej i higjenicznej dzisiejsi bur-

żuje wykonywaliby ją doskonale i napewno nie zgodziliby się znosić cierpliwie ohydnych warunków, w których dziś każą pracować swym robotnikom, lecz dokładaliby starań do ich zreformowania. Gdyby jakiś Pasteur popracował tylko parę godzin w ściekach Paryża, zpewnością znalazłby wkrótce drogę do uczynienia pracy tej równie przyjemną, jak praca w jego pracowni.

Co się tyczy rzekomego lenistwa olbrzymiej większości warstwy robotniczej, to nad niem rozwodzić się mogą chyba tylko ekonomiści i filantropi. Pomówcie z rozumnym przemysłowcem, a dowiecie się, że gdyby robotnicy zechcieli oddawać się lenistwu, nie pozostałoby nic innego, jak zwinąć wszystkie fabryki. Albowiem żadne najsurowsze środki, żaden dozór, szpiegostwo i kary na nic by się nie zdały. Trzeba było widzieć popłoch, jaki powstał śród przemysłowców angielskich, gdy paru agitatorów rzuciło hasło „Co—canny" i zaczęło głosić teorję — „marna płaca — marna praca, pracujcie pomału, nie wysilajcie się, fuszerujcie, gdzie tylko można". — „Ależ to jest demoralizowanie robotnika, zabijanie przemysłu!" krzyczeli ci sami, którzy jeszcze niedawno ciskali gromy na niemoralność robotników i niską wartość ich pracy. Gdyby jednak robotnik istotnie był takim, jakim go przedstawiają ekonomiści, próżniakiem, którego ciągle trzeba popychać groźbą wydalenia z fabryki, to cóżby miał znaczyć ów wyraz „demoralizacja"?

Owóż, gdy mowa o możliwości próżniactwa, trzeba zawsze pamiętać, iż chodzi o mniejszość, o nieznaczną mniejszość społeczeństwa. Zanim przystąpimy do wydawania praw przeciwko mniejszości, czy nie należałoby przedewszystkiem zbadać, skąd się ona bierze.

Każdy, kto umie patrzeć uważnie dookoła siebie, wie o tem, iż dziecko, uchodzące w szkole za leniwe, częstokroć wydaje się takiem dlatego, że źle rozumie to, co mu źle wykładają. A jeszcze częściej rzekome lenistwo jest wynikiem anemji mózgu, spowodowanej nędzą i wychowaniem niehigjenicznem. Chłopak, leniwy w grece i łacinie, okazałby się może pracowity jak wół, gdyby go uczono nauk przyrodniczych, zwłaszcza za pomocą zajęć praktycznych. Dziewczynka, uważana za niezdolną do matematyki, staje się nagle pierwszą matematyczką w klasie, jeśli przypadkiem spotkała kogoś, kto potrafił uchwycić i wytłomaczyć jej wszystko, co było dla niej niezrozumiałe

w podstawach arytmetyki. Robotnik niedbały w fabryce, gdy się dostanie na swobodę, na otwarte powietrze, pracuje w swoim ogródku od świtu do nocy.

Powiedział ktoś, że kurz nie jest niczem innem, jak cząsteczkami materji, które trafiły nie na swoje miejsce. Otóż określenie to możnaby zastosować do dziewięciu dziesiątych ludzi, których nazywamy leniwymi. Są to bowiem najczęściej tacy, którzy trafili na drogę nie odpowiadającą ich zdolnościom i upodobaniom. Czytając życiorysy znakomitych ludzi, nie wychodzimy z podziwu, jak wielu było śród nich „leniwych" dopóki nie trafili na właściwą sobie drogę, a wówczas stawali się nadzwyczaj pracowici. Darwin, Stephensen i tylu innych należeli właśnie do tego typu próżniaków.

Bardzo często leniwym jest człowiek, któremu obrzydło przez całe życie pracować nad wykonaniem jakiejś jednej osiemnastej części szpilki, lub jednej setnej części zegarka, podczas, gdy czuje w sobie nadmiar energji, którą chciałby zużytkować w jakiejś innej pracy. A jeszcze częściej jest to człowiek którego oburza myśl, że przez całe życie ślęczy, przykuty do warsztatu, nad pracą po to, by zapewnić dobrobyt swemu chlebodawcy, mimo, że nie czuje się ani głupszym, ani gorszym od niego i nie ma za sobą innej winy prócz tej, że urodził się w norze, a nie w pałacu.

Wreszcie większa część ludzi leniwych nie zna dobrze rzemiosła, którym zmuszoną jest zarabiać. Widząc niedoskonałość wyrobów, które wychodzą z ich rąk, siląc się próżno robić lepiej, zniechęcają się, a nabrawszy przekonania, iż dzięki nabytym złym przyzwyczajeniom nie dojdą nigdy do pożądanego rezultatu, zaczynają nienawidzieć swe rzemiosło, a z czasem i pracę wogóle. Tysiące robotników i artystów wykolejonych należą właśnie do tej kategorji.

Przeciwnie, człowiek, który od dzieciństwa nauczył się dobrze grać na fortepianie, dobrze władać heblem, dłutem, pendzlem lub pilnikiem, tak iż czuje, że to, co robi, jest piękne, nie porzuci nigdy ani fortepianu, ani dłuta, ani pilnika. Znajduje rozkosz w swej pracy i praca go nie nuży, o ile oczywiście się nie przepracowuje.

Widzimy więc, iż jedną ogólną nazwą lenistwa oznacza się cały szereg stanów, wynikających z różnych przyczyn, z któ-

rych każda mogłaby stać się źródłem pożytku i dobra społecznego, zamiast być źródłem zła.

Jak w kwestjach zbrodniczości, jak wogóle we wszystkich kwestjach dotyczących zdolności ludzkiej, zwalono na jedną kupę fakty, nie mające ze sobą nic spólnego. Ludzie wymawiają wyrazy „lenistwo" lub „zbrodnia", nie zadawszy sobie trudu zbadania ich przyczyn. A następnie śpieszą karać, nie zdawszy sobie sprawy z tego, azali sama kara nie zawiera w sobie zachęty do „lenistwa" lub „zbrodni". *)

Oto dlaczego wolne społeczeństwo, wobec wzrostu liczby próżniaków, pomyślałoby niewątpliwie przedewszystkiem o wykryciu przyczyn ich lenistwa i starałoby się wprzód usunąć je, zanim ucieknie się do kary. Oto naprz. dziecko leniwe z powodu anemji, zanim zaczniecie nabijać mu głowę mądrościami, napełnijcie mu żyły krwią i wzmocnijcie je, ażeby nie traciło darmo czasu, odwieźcie je na wieś lub nad morze, tu uczcie geometrji, nie z książek, lecz na świeżem powietrzu, mierząc z niem przestrzeń aż do najbliższej skały, uczcie nauk przyrodniczych, zbierając rośliny, łowiąc ryby, uczcie fizyki, budując łódkę, którą pojedzie na połów ryb. Ale na litość nie nabijajcie mu głowy pustemi frazesami i językami starożytnemi. Nie róbcie zeń „próżniaka"!

A oto naprz. inne dziecko, które nie jest wdrożone do porządku i systematyczności w pracy. Pozwólcie dzieciom, by same pomiędzy sobą wyrabiały w sobie dobre przyzwyczajenia. Później w laboratorjach i fabrykach praca na małej przestrzeni, gdzie trzeba mieć do czynienia z mnóstwem przyborów i narzędzi, nauczy porządku i metody w pracy. Ale nie wszczepiajcie mu sami bezładu waszą szkołą, w której ład wyraża się jedynie w symetrycznym układzie ławek, samo zaś nauczanie jest istnym chaosem, który nie natchnie nikogo zamiłowaniem do harmonji, ładu i metody w pracy.

Czyż nie widzicie, że waszemi metodami nauczania, wypracowanemi przez ministerja dla miljonów dzieci, przedstawiających prawie tyleż miljonów najróżnorodniejszych zdolności, narzucacie wszystkim pewien system dobry dla miernot

---

*) Patrz naszą pracę o więzieniach. — „Les prisons". Paryż 1889. **Przyp. Red.** W przekładzie rosyjskim egzemplarz takowej posiada Biblioteka Publiczna w Warszawie.

i stworzony przez miernoty. Wasza szkoła staje się wszechnicą lenistwa, tak jak wasze więzienie jest wszechnicą zbrodni. Stwórzcie nareszcie wolną szkołę, znieście stopnie naukowe, powołajcie do pracy pedagogów-ochotników, spróbujcie zacząć od tego, zamiast stanowić przeciwko lenistwu prawa, które służą tylko do jego utrwalenia.

Robotnikowi, któremu obrzydło ślęczenie nad wykonywaniem jakiegoś drobnego ułamka szpilki, którego przy maszynie zjada nuda, nuda, przechodząca w końcu we wstręt do pracy, dajcie możność uprawiania ziemi, rąbania drzew w lesie, walczenia z burzą na morzu, przebiegania wielkich przestrzeni na parowozie. Ale nie róbcie sami zeń próżniaka, zmuszając do dozorowania przez całe życie maszyny do wybijania uszek w igłach.

Usuńcie przyczyny, które stwarzają próżniaków, a wierzcie, że nie będzie ludzi naprawdę nienawidzących pracy, zwłaszcza pracy dobrowolnej. Arsenał praw przeciwko nim okaże się zbyteczny.

XIII. PRACA NAJEMNA W SPOŁECZEŃSTWIE KOLEKTYWISTYCZNEM.

Budując plany przekształcenia społeczeństwa, kolektywiści popełniają, zdaniem naszem, błąd podwójny: mówiąc o zniesieniu ustroju kapitalistycznego, chcą jednocześnie zachować dwie instytucje, które są tego ustroju podstawą, mianowicie, rząd parlamentarny i pracę najemną.

Co się tyczy rządu rzekomo reprezentacyjnego, to mówiliśmy już o nim niejednokrotnie. Nie możemy pojąć, jak ludzie rozumni—a nie brak ich wśród kolektywistów—mogą pozostawać zwolennikami parlamentów narodowych czy municypalnych po naukach, które dała nam pod tym względem historja Francji, Anglji, Niemiec, Szwajcarji lub Stanów Zjednoczonych.

Widzimy, że wszędzie parlamentaryzm upada i że zewsząd rozlegają się głosy, krytykujące s a m ą z a s a d ę systemu parlamentarnego, nietylko jej zastosowania. Jakże więc socjaliści-rewolucjoniści mogą bronić systemu, skazanego na śmierć?

Stworzony przez burżuazję — dla zwalczenia władzy

królewskiej, oraz — dla rozszerzenia swego panowania nad rzeszami robotniczemi, system parlamentarny jest przedewszystkiem formą polityczną ustroju burżuazyjnego. Obrońcy parlamentaryzmu nawet nigdy nie kusili się dowodzić, iżby parlament lub rada municypalna miały istotnie reprezentować naród lub miasto; najinteligentniejsi z pośród nich wiedzą dobrze, że to niemożliwe. Burżuazja posługiwała się parlamentaryzmem w celu położenia tamy zakusom władzy królewskiej, odmawiając jednocześnie wolności ludowi. Ale w miarę tego, jak różnorodność tych interesów z dniem każdym wzrasta, system parlamentarny okazuje się niezdolny do dalszego funkcjonowania. Dlatego to demokraci wszystkich krajów łamią sobie napróżno głowę nad jego zreformowaniem i ulepszeniem. Próbują jak w Szwajcarji, wprowadzić referendum i okazuje się, że to nic nie warte; mówią o przedstawicielstwie proporcjonalnem, przedstawicielstwie mniejszości i o różnych utopjach parlamentarnych — słowem, usiłują znaleźć to, czego znaleźć nie można. Wreszcie konieczność zmusza do przyznania, iż błędną wybrano drogę — i wiara w rządy reprezentacyjne coraz bardziej słabnie.

To samo dzieje się z kwestją pracy najemnej. Bo czyż można, ogłosiwszy konieczność zniesienia własności prywatnej i wprowadzenia władania kolektywistycznego narzędziami pracy, żądać jednocześnie zachowania pracy najemnej — mniejsza o to, czy w tej, czy w innej formie? A jednak, zachwalając i zalecając bony pracy, kolektywiści właśnie tak postępują.

Rozumiemy, że mogli to zalecać socjaliści angielscy na początku wieku ubiegłego (Robert Owen), szukali bowiem sposobu pogodzenia pracy z kapitałem. Odrzucali wszelką myśl o naruszeniu gwałtownem własności kapitalistów. Możemy jeszcze zrozumieć, iż myśl ich podjął później Proudhon. W systemie swoim wzajemnego kredytu dążył on do uczynienia kapitału mniej szkodliwym, pomimo, że utrzymywał nietkniętą własność prywatną, którą nienawidził wprawdzie w głębi duszy, ale którą uważał za konieczną, jako podporę jednostki w walce z państwem.

Nie dziwi nas wreszcie i to, że ekonomiści, mniej lub więcej burżuazyjni, przyjmują również bony pracy. Mało ich bowiem obchodzi, czy robotnik płacę swą otrzymywać będzie w postaci bonów, czy też w monecie z wizerunkiem republiki

lub cesarza. Chodzi im przedewszystkiem o ocalenie od grożącego niebezpieczeństwa własności prywatnej domów mieszkalnych, ziemi, fabryk — a w każdym razie domów i kapitału, niezbędnego dla produkcji fabrycznej. Do tego zaś celu jak najlepiej nadać się mogą bony.

Byle tylko bon pracy mógł być wymieniany na klejnoty i powozy, a niewątpliwie każdy kamienicznik przyjmie chętnie komorne bonami. Dopóki zaś domy, pola i fabryki należeć będą do jednostek, dopóty trzeba będzie płacić w ten czy w inny sposób za prawo uprawiania ich pól, pracowania w ich fabrykach, oraz mieszkania w ich domach.

Ale jakże można stawać w obronie bonów — tej nowej formy płacy najemnej, jeżeli się przyjmuje, że domy, pola, fabryki nie są własnością prywatną, lecz należą do gminy lub narodu?

Przyjrzyjmy się systemowi wynagradzania pracy, jaki zalecają kolektywiści francuscy, angielscy, niemieccy i włoscy.*)

Przedstawia się mniej więcej w sposób następujący: wszyscy pracują — w polu, w fabryce, szkole, szpitalu i t. p. Długość dnia roboczego reguluje państwo do którego należą: ziemia, fabryki, drogi komunikacji i t. d. Za każdy dzień pracy, robotnik otrzymuje bon z napisem, dajmy na to: osiem godzin pracy. Wzamian za bon robotnik może zaopatrzyć się w magazynach państwowych lub stowarzyszeniowych, we wszelkie potrzebne przedmioty. Bon może być rozmieniony, jak pieniądz, tak iż można np. za jedną godzinę kupić mięsa, za dziesięć minut — zapałek, za pół godziny — tytoniu. Zamiast mówić: „proszę mydła za dwadzieścia groszy" — po dokonaniu rewolucji kolektywistycznej mówić się będzie: „proszę mydła za pięć minut".

Nadto, większość kolektywistów przyjmuje, ustanowione przez ekonomistów burżuazyjnych (i przez Marxa), rozróżnianie pomiędzy pracą prostą a pracą złożoną (kwalifikowaną), wymagającą specjalnego przygotowania. Ta ostat-

*) Anarchiści hiszpańscy, którzy pozwalają jeszcze nazywać się kolektywistami — rozumieją przez to spólne władanie narzędziami pracy, oraz wolność dla każdej grupy rozdzielania ogólnego produktu pracy według własnego uznania, zgodnie z zasadą komunistyczną, lub w jakikolwiek inny sposób.

nia winna być wynagradzaną lepiej, niż praca prosta. Tak np. godzina pracy lekarza będzie uważana za równoważnik dwóch godzin pracy pielęgniarki, trzech godzin pracy robotnika ziemnego. „Praca profesjonalna czyli kwalifikowana, powiada kolektywista Groenlund, posiada wartość, kilkakrotnie przewyższającą wartość pracy prostej", albowiem wymaga mniej lub więcej długiego okresu przygotowawczego.

Inni kolektywiści, np. marxiści francuscy, nie uznają tego rozróżniania i głoszą „równość zapłaty". Lekarz, nauczyciel, profesor będą otrzymywali w bonach takie samo wynagrodzenie, co i robotnik. Osiem godzin pracy lekarza w szpitalu warte będą tyleż, co osiem godzin pracy w kopalni lub fabryce.

Niektórzy idą nawet dalej i utrzymują iż praca odrażająca lub szkodliwa dla zdrowia, np. praca przy ściekach, powinna być wynagradzana według wyższej skali, niż praca przyjemna. Godzina pracy w kanałach, powiadają, będzie się liczyła za dwie godziny pracy profesora.

Dodajmy wreszcie, że niektórzy kolektywiści dopuszczają system wynagradzania ryczałtowego, podług grup. Tak np. pewna organizacja zawodowa powie: „Oto mamy sto tonn stali. Nad wyprodukowaniem jej pracowało nas stu w ciągu dziesięciu dni ośmiogodzinnych, zatem zużyliśmy 8.000 godin, 80 godzin na tonnę". Państwo wyda korporacji 8.000 bonów jednogodzinnych, te zaś z kolei podzielą pomiędzy sobą członkowie związku według własnego uznania.

Albo stu górników zużyło np. 20 dni na wydobycie 8.000 tonn węgla, czyli jedna tonna równoważy 2 godzinom pracy. Górnicy otrzymają 16.000 bonów jednogodzinnych.

Gdyby jednak górnicy zaprotestowali, twierdząc, iż tonna stali powinna kosztować 60 godzin pracy, a nie 80, albo gdyby lekarz zażądał, aby godzina jego pracy wynagradzana była tak, jak 2 godziny pracy pielęgniarki, to wówczas państwo rozstrzygnęłoby te nieporozumienia.

Taką jest mniej więcej organizacja, którą kolektywiści pragną wprowadzić w życie po dokonaniu rewolucji. Jak widzimy, zasadą podstawową tej organizacji jest — własność kolektywna narzędzi pracy oraz indywidualne wynagrodzenie każdego według czasu pracy, z uwzględnieniem wydajności pracy. Co się tyczy zalecanego przez kolektywistów ustroju politycz-

nego, to przyjmują oni parlamentaryzm, zreformowany przez mandaty nakaźcze i przez referendum czyli plebiscyt.

Cały ten system wydaje się nam niemożliwy do urzeczywistnienia.

Kolektywiści zaczynają od głoszenia zasady rewolucyjnej — zniesienia własności prywatnej, a zaraz potem zdradzają tę zasadę, zachowując w całości system organizacji produkcji i spożycia, który jest właśnie wynikiem własności prywatnej.

Głoszą zasady rewolucyjne — a jednocześnie zamykają oczy na wyniki, które z urzeczywistnienia tych zasad niechybnie powstać muszą. Zapominają, że sam fakt zniesienia własności prywatnej narzędzi pracy (ziemi, fabryk, środków komunikacji, kapitałów i t. d.), zmusi społeczeństwo do wejścia na zupełnie nowe tory, że fakt ten musi wywołać przewrót w całej produkcji — zarówno w celach jej, jak i w środkach; że z chwilą, gdy ziemia, maszyny i wszystko inne będzie uważane za własność spólną — wszelkie codzienne stosunki pomiędzy ludźmi ulec muszą zmianie zasadniczej.

„Precz z własnością prywatną!" — wołają —i śpieszą utrzymać w życiu codziennem wszystko to, co tej własności jest wynikiem. „O ile chodzi o produkcję — tworzyć będziecie gminy komunistyczne: pola, narzędzia, maszyny, wszystko, co dotąd zostało stworzone — fabryki, koleje żelazne, porty, kopalnie i t. d. — wszystko to wasze, spólne. Każdy posiada jednakie prawo użytkowania wszystkiego.

„Ale zaraz nazajutrz zaczynacie kłócić się o stopień udziału każdego z was w wykonaniu nowych maszyn, w eksploatowaniu nowych kopalń. Będziecie usiłować określić ściśle cząstkę nowej produkcji, przypadającą na każdego z was. Będziecie wyliczać minuty waszej pracy i baczyć, aby minuta pracy waszego sąsiada nie była szacowana wyżej, niż wasza.

„A ponieważ czas nie stanowi wcale miary pracy, gdyż w jednej fabryce robotnik nadzoruje jednocześnie sześć warsztatów tkackich w innej zaś — tylko dwa, będziecie zmuszeni ważyć ilość zużytej przez każdego siły mięśniowej, energji umysłowej i nerwowej, a także obliczać możliwie ściśle długość okresu szkolenia każdego pracownika, aby mieć podstawy do oznaczenia stopnia udziału poszczególnej jednostki w produkcji ogólnej. Wszystko to czynić będziecie, pomimo równo-

czesnego oświadczenia, że środki produkcji stają się spólną własnością wszystkich, bez względu na to, jaki był udział danej jednostki w ich wytworzeniu".

Dla nas jest rzeczą oczywistą, że społeczeństwo nie może zorganizować się na dwóch zupełnie sprzecznych i ciągle ze sobą kolidujących zasadach. Kraj lub gmina, któreby przyjęły podobną organizację, stanęłyby wkrótce wobec konieczności powrotu do własności prywatnej, albo do zreorganizowania się na zasadach komunistycznych.

Niektórzy kolektywiści wprowadzają zatem różnicę pomiędzy pracą złożoną, a pracą prostą. Mniemają, że godzina pracy inżyniera, architekta, lub lekarza, powinna być szacowana narówni z dwiema godzinami pracy kowala, mularza, lub pielęgniarki. Podobnie rozróżniać należy — powiadają — każdą pracę zawodową, wymagającą mniej lub więcej długiego terminatorstwa, od pracy wyrobnika.

Otóż wprowadzenie takiego rozróżniania byłoby zachowaniem wszystkich nierówności dzisiejszego społeczeństwa. Jest to przeprowadzenie zawczasu linji przedziału pomiędzy robotnikami a tymi, którzy mają pretensję do rządzenia nimi; jest to dzielenie społeczeństwa na dwie odrębne klasy: arystokratów ducha, oraz plebsu o rękach spracowanych, zmuszonego służyć tamtym, karmić ich, odziewać, zabezpieczać im czas wolny, który tamci zużyją na ćwiczenie się w sztuce panowania nad swymi żywicielami.

Byłoby to uznanie jednego z najbardziej charakterystycznych rysów społeczeństwa burżuazyjnego i usankcjonowanie go przez rewolucję; byłoby to podniesienie do godności zasady zła, które potępiamy w dzisiejszem starem, rozkładającem się społeczeństwie.

Wiemy zgóry, jaką usłyszymy odpowiedź. Zaczną nam prawić o „socjaliźmie naukowym"; będą powoływać się na ekonomistów burżuazyjnych — i na Marxa też — żeby dowieść, iż istnienie różnej skali wynagradzania pracy prostej i wykwalifikowanej ma swoją rację bytu, albowiem „siła robocza" inżyniera więcej kosztowała społeczeństwo, niż „siła robocza" robotnika.

Istotnie, czyż ekonomiści mało zużyli dowcipu dla przekonywania nas, że jeżeli inżynierowi płacą dwadzieścia razy więcej, niż wyrobnikowi, to dlatego, iż „koszta" nauki inżyniera są większe od „kosztów" przygotowania wyrobnika? I czyż Marx nie twierdził, że z chwilą, gdy praca staje się towarem — rozróżnianie pomiędzy jedną gałęzią pracy a drugą jest poprostu koniecznością logiczną? Musiał zresztą przyjść do takiego wniosku, skoro przyjął teorję wartości Ricarda i zgodnie z nią utrzymywał, iż wartość zamienna towarów zależy od ilości zawartej w nich pracy, społecznie niezbędnej do ich wyprodukowania.

Wiemy dobrze, co o tem myśleć. Wiemy, że jeśli inżynier, uczony lub lekarz otrzymują dziś zapłatę dziesięciokrotnie i stokrotnie przewyższającą płacę robotnika, i że jeśli tkacz ma zarobek trzy razy większy od dochodu chłopa, a dziesięć razy większy od płacy robotnicy z fabryki zapałek, to dzieje się to nie wskutek różnicy jakichś tam „kosztów", lecz tylko dzięki istnieniu monopolu wiedzy i monopolu prawa produkowania. Inżynier, uczony i lekarz eksploatują poprostu pewien kapitał — swój dyplom, podobnie, jak fabrykant eksploatuje fabrykę, a szlachcic — tytuł szlachecki.

Co się tyczy właściciela fabryki, to, płacąc inżynierowi 20 razy więcej, niż robotnikowi, kieruje się prostą rachubą: jeżeli inżynier może zaoszczędzić na produkcji 100.000 franków rocznie, to gotów jest dać mu 20.000 fr. A jeżeli znajdzie majstra-nadzorcę, który potrafi zręcznie wyciskać pot z robotników i zaoszczędzić na pracy ręcznej 10.000 fr., to chętnie ofiaruje mu 2 lub 3 tysiące rocznej pensji. Fabrykant jest zawsze gotów wydać tysiąc franków tam, gdzie ma widoki zarobić dziesięć tysięcy. W tem tkwi istota ustroju kapitalistycznego. To samo powiedzieć można o różnicach w wynagradzaniu rozmaitych rodzajów pracy ręcznej.

Jakże tedy mówić o jakichś „kosztach produkcji", mających jakoby określać wartość siły roboczej? Czyż student, który spędził wesoło młodość swą na uniwersytecie, ma p r a w o do płacy dziesięciokrotnie przewyższającej zarobek górnika, więdnącego od dziesiątego roku życia w podziemiach kopalni? Czyż tkacz może z czystem sumieniem pobierać wynagrodzenie trzykroć lub czterykroć większe od robotnika lub robotnicy rolnej? Koszta niezbędne dla przygotowania tkacza

nie są wcale trzykroć lub czterykroć większe od kosztów wychowania robotnika rolnego: tkacz w danym wypadku korzysta poprostu ze sprzyjających warunków, w jakich znajduje się przemysł europejski w porównaniu do krajów rolniczych, gdzie przemysł się jeszcze nie rozwinął.

Nikt nigdy nie zdołał obliczyć tych k o s z t ó w p r o d u k c j i. I jeśli próżniak wogóle przysparza społeczeństwu większe koszty, niż robotnik, to jeszcze wielkie pytanie, zali wyhodowanie silnego wyrobnika nie jest dla społeczeństwa kosztowniejsze, niż wychowanie pracownika wykwalifikowanego, jeżeli weźmiemy pod uwagę całokształt warunków, w których pierwszy żyje (śmiertelność dzieci robotniczych, ich anemję, gruźlicę i t. p.).

Czyż można np. uwierzyć, że te 1½ franka, które otrzymuje dziennie robotnica paryska, że te 30 centów, które pobiera chłopka w Auvergne za, niszczącą wzrok, pracę nad koronkami, albo te 2 franki, zarobione przez włościanina — że to są istotnie „koszta ich produkcji"? Wiemy dobrze, że często pracuje się nawet za mniejszą zapłatę, ale wiemy również, że czyni się to jedynie dlatego, iż dzięki naszej cudownej organizacji społecznej bez tego znikomego zarobku trzebaby mrzeć z głodu.

Dla nas wieloraka skala wynagrodzenia pracy jest bardzo skomplikowanym wynikiem całego szeregu warunków jak: podatki, opieka państwowa, koncentracja kapitalistyczna, monopol — kapitału i państwa. Dlatego twierdzimy, że wszelkie teorje o skali płacy zarobkowej wynalezione zostały p o s t f a c t u m w celu u s p r a w i e d l i w i e n i a istniejącej niesprawiedliwości i że wobec tego możemy ze spokojnem sumieniem przejść nad niemi do porządku dziennego.

Odpowiedzą nam prawdopodobnie, że kolektywistyczna skala płacy zarobkowej będzie, bądź co bądź, pewnym postępem. „Lepiej już, powiedzą nam, ażeby przynajmniej niektórzy robotnicy otrzymywali dwa lub trzy razy większą zapłatę od innych robotników, niż ażeby ministrowie zgarniali do swych kieszeni w ciągu jednego dnia tyle, ile robotnik nie zdoła zarobić w ciągu całego roku. W każdym razie jest to już wielki krok w kierunku równości".

Naszem zdaniem będzie to, przeciwnie, krok wstecz. Wprowadzać do nowego społeczeństwa różnicę pomiędzy pra-

cą prostą a pracą kwalifikowaną — znaczyłoby to, jak rzekliśmy, uświęcać w imieniu rewolucji i podnosić do godności zasady brutalny fakt, któremu dziś ulegać musimy, ale który, w mniemaniu naszem, nie przestaje być niesprawiedliwością. Byłoby to naśladowaniem owych panów, którzy 4 sierpnia 1789 r. w szumnych frazesach głosili zniesienie praw feodalnych, a 8 sierpnia odwoływali się do tychże praw, zmuszając chłopów do płacenia swym panom odszkodowania przy wykupie z poddaństwa, wzięli tym sposobem interesy panów pod opiekuńcze skrzydła rewolucji.

Albo weźmy przykład bardziej znany. Gdy w 1871 r. Komuna Paryska postanowiła płacić członkom swej Rady po 15 fr. dziennie, podczas, gdy robotnicy, walczący na murach, otrzymali tylko 1½ fr., uchwała ta witana była, jako akt równości demokratycznej. W rzeczywistości zaś Komuna uświęciła tylko przez to starą nierówność pomiędzy urzędnikiem a żołnierzem, pomiędzy rządzącym a rządzonym. Uchwała taka mogłaby jeszcze ujść za nader wspaniałomyślną i piękną, gdyby ją powziął jakiś parlament, ale dla Komuny była ona odstępstwem od zasady rewolucji, a więc jej potępieniem.

W obecnem społeczeństwie minister każe sobie płacić po 100.000 fr. rocznie, podczas, gdy robotnik musi się zadowolnić setną częścią tego; nadzorca pobiera płacę dwa i trzy razy większą od robotnika, a nawet dla robotników istnieją rozmaite skale wynagrodzenia. Oburzamy się na to. I to nie tylko z powodu wysokiej pensji ministra, ale także i z powodu różnicy pomiędzy zarobkiem robotnika fabrycznego, a dajmy na to — rolnego. I wołamy: „Precz z przywilejami, które daje wykształcenie, tak samo, jak z przywilejami, które daje urodzenie".

Jesteśmy właśnie dlatego zwolennikami anarchizmu, że wszelkie przywileje nas oburzają! Ale jeśli potępiamy przywileje w społeczeństwie dzisiejszem, to czyż nato, by zachować je w społeczeństwie, które powstaje pod hasłem równości?

Oto dlaczego niektórzy kolektywiści, zdający sobie sprawę, iż wieloraka skala wynagrodzenia nie będzie mogła się utrzymać w społeczeństwie, przenikniętem duchem rewolucji, śpieszą z oświadczeniem, że płaca ma być dla wszystkich jednakowa. Ale tu znów napotykają nowe trudności, które ich

„równę zapłatę" przekształcają w taką samą utopję, jaką jest wieloraka skala wynagrodzenia.

Społeczeństwo, które obejmie w swe władanie wszystkie bogactwa społeczne i oświadczy, że wszyscy mają równe prawa użytkowania bez względu na to, jaki był udział każdego w pracy nad stworzeniem tych bogactw, takie społeczeństwo będzie musiało wyrzec się wszelkiej myśli o jakiejkolwiek płacy zarobkowej, czy to w postaci pieniędzy, czy bonów pracy.

„Każdemu według jego pracy" — powiadają kolektywiści, czyli innemi słowy — każdy powinien być wynagradzany stosownie do usług, które wyświadcza społeczeństwu. I ta oto zasada powinna być stosowana w życiu właśnie wtedy, gdy, dzięki rewolucji, narzędzia pracy i wszystko, co jest niezbędne dla wytwarzania, stanie się własnością spólną!

Gdyby rewolucja społeczna istotnie zechciała kierować się tą zasadą, tem samem stworzyłaby zaporę do dalszego rozwoju ludzkości i pozostawiłaby nierozstrzygniętem olbrzymie zadanie, które wieki ubiegłe złożyły na naszych barkach.

Istotnie, w takiem społeczeństwie, jak nasze, gdzie im więcej człowiek pracuje, tem mniejsze otrzymuje wynagrodzenie, — powyższa zasada na pierwszy rzut oka może się wydawać pewnym porywem w kierunku sprawiedliwości. W gruncie rzeczy zaś jest ona tylko uświęceniem krzywd i niesprawiedliwości czasów przeszłych. Praca najemna wyłoniła się właśnie z tej zasady — „każdemu według jego pracy", — stopniowo doprowadziła do tej krzyczącej nierówności i do tych wszystkich wstrętnych zjawisk, które uderzają nas w dzisiejszem społeczeństwie. Gdy ludzie zaczęli mierzyć i szacować usługi każdego, okazywane społeczeństwu, wynagradzając je pieniędzmi lub jakąkolwiek inną formą płacy zarobkowej, z chwilą, gdy przyjęto, iż każdy za swe trudy otrzymywać będzie taką zapłatę, jaką zdoła sobie wywalczyć — od tej chwili cała historja społeczeństwa kapitalistycznego była zgóry przesądzona. Cała jej treść, jak w zarodku, tkwiła już w tej zasadzie.

Czyż mielibyśmy powrócić do pierwotnego punktu wyjścia

i znów przebywać na nowo tę samą ewolucję? — Teoretycy nasi właśnie tego pragną. Ale, na szczęście, jest to zgoła niemożliwe: rewolucja, jak rzekliśmy, musi być komunistyczną, inaczej bowiem utonie daremnie w potokach krwi i dzieło jej trzeba będzie znów rozpoczynać na nowo.

Usługi oddane społeczeństwu — czy to będzie praca w fabryce, lub na roli, czy też praca umysłowa — nie mogą być szacowane w jednostkach monetarnych. W przemyśle np. niepodobna znaleźć ścisłej miary wartości — ani wartości, którą niesłusznie nazywają wartością zamienną, ani też wartości użytkowej. Jeżeli weźmiemy dwóch ludzi, którzy w ciągu szeregu lat pracują dla ogólnego pożytku po pięć godzin dziennie w dziedzinach pracy, zarówno bliskich ich sercu, to śmiało możemy powiedzieć, iż ogólna wartość ich pracy jest mniejwięcej jednakowa. Ale rozdrabniać tej pracy niepodobna: niepodobna mówić, iż każdy dzień, godzina, minuta pracy jednego jest zupełnie równa pod względem wartości dniu, godzinie, minucie pracy drugiego.

Tylko ogólnie możemy powiedzieć, że człowiek, który w ciągu całego życia poświęcał pracy po 10 godzin dziennie, dał społeczeństwu więcej, niż ten, który pracował 5 godzin lub nie pracował wcale. Ale nie można twierdzić, że to, co jeden wykonał w ciągu dwóch godzin, warte jest dwa razy więcej, niż to, co inny wykonał w ciągu godziny, i stosownie do tej oceny wynagradzać ich pracę. Świadczyłoby to o zupełnej nieznajomości nadzwyczaj skomplikowanego mechanizmu, jakim jest dzisiejszy przemysł, rolnictwo i wogóle całe życie społeczne; byłoby to niezdawanie sobie sprawy z tego, jak dalece wszelka praca indywidualna jest rezultatem pracy przeszłych pokoleń i pracy teraźniejszej całego społeczeństwa.

Wejdźcie do kopalni węgla i spójrzcie na człowieka, który stoi przy olbrzymiej maszynie, poruszającej windę. Wystarczy przesunąć kierownik w jedną lub drugą stronę, by w mgnieniu oka klatka windy opuszczała się na dół lub wznosiła w górę z niesłychaną szybkością. Ze skupioną uwagą wpatruje się on w strzałkę, która wskazuje na jakiej wysokości w danej chwili znajduje się klatka; gdy strzałka dobiega do pewnego znaku, robotnik zatrzymuje w mgnieniu oka ruch maszyny — klatka staje na wyznaczonym poziomie — ani o metr wyżej, ani niżej. I zaledwie zdołano wyładować wagoniki z węglem

i wtoczyć na ich miejsce puste, robotnik porusza kierownik, i klatka windy pędzi znów w głąb szybu.

W ciągu ośmiu lub dziesięciu godzin robotnik ten musi mieć ciągle uwagę natężoną. Gdyby na jedną tylko chwilkę uwaga jego osłabła, wnet klatka windy wyleciałaby w górę, łamiąc koła, rwąc liny, miażdżąc ludzi i cała praca w kopalni zostałaby przerwana. Niech tylko przy każdem przesunięciu kierownika straci trzy sekundy, a ilość dobytego w ciągu dnia węgla zmniejszy się o jakie 25 — 50 tonn.

Czyż tego robotnika powinniśmy uznać za najpożyteczniejszego człowieka w kopalni? A może pożyteczniejszym jest ten, który z dołu daje mu sygnał do podnoszenia windy? A może ten, który w głębi naraża ciągle swe życie i wcześniej, czy później ginie od trujących gazów? A może inżynier, ktory wskutek prostej omyłki w obliczeniach mógłby zmylić drogę, ominąć pokłady węgla i prowadzić roboty w jałowej skale? Czy może wreszcie najpożyteczniejszym jest właściciel kopalni, który włożył w nią swój majątek i który, być może, wbrew wszelkim radom, przy rozpoczynaniu robót, powtarzał: „Kopcie tu, kopcie głębiej, a znajdziemy wspaniałe złoża węgla."

Wszyscy pracują w kopalni w miarę swych sił, swej energji, wiedzy; w miarę swej inteligencji i zręczności spółdziałają w sprawie wydobywania węgla. I również możemy powiedzieć, że w s z y s c y mają prawo do życia i zaspakajania swoich potrzeb (a nawet swoich fantazji, o ile najniezbędniejsze potrzeby wszystkich zostały zaspokojone). Ale w jaki sposób możemy obliczyć w pieniądzach udział każdego we spólnej pracy?

A zresztą, czy wydobyty węgiel, jest wyłącznie ich dziełem? Czyż nie jest również owocem pracy ludzi, którzy zbudowali kolej do kopalni, a także tych, którzy orali i zasiewali pola, rąbali drzewa w lesie, budowali maszyny, w których węgiel będzie się spalał — i tak dalej, bez końca?

Niepodobna wprowadzić jakiegokolwiek rozróżniania pomiędzy tem, co zrobili jedni, a tem, co zdziałali drudzy. Niedorzecznością byłoby mierzyć zasługi każdego według osiągniętych rezultatów. A rozdrabniać je i mierzyć na godziny byłoby również nonsensem. Pozostaje tylko jedno: p o t r z e b y ludzkie wynieść ponad d z i e ł a ludzkie i uznać przedewszystkiem prawo do życia; a następnie prawo do dobrobytu wszystkich, którzy biorą udział w produkcji.

Spójrzmy na inną dziedzinę działalności ludzkiej, weźmy np. całokształt zjawisk życiowych i powiedzmy: kto z nas ma prawo żądać dla siebie większego wynagrodzenia. Czy lekarz, który rozpoznał chorobę, czy pielęgniarka, która swoją troskliwą i pełną poświęcenia opieką uratowała chorego? Czy wynalazca pierwszej maszyny parowej, czy też chłopak, któremu pewnego pięknego poranku, dokuczyło pociągać za sznurek, służący do odmykania klapy i wpuszczania pary pod tłok, i który wpadł na pomysł przywiązania tego sznura do dźwigni maszyny, a sam pobiegł bawić się z towarzyszami, nie podejrzewając nawet, iż wynalazł w ten sposób główny mechanizm spółczesnej maszyny parowej — klapę automatyczną?

Czy wynalazca lokomotywy, czy ów robotnik z Newkastle, który podał myśl podkładania pod szyny drewnianych podkładów zamiast kamieni, które dzięki brakowi elastyczności powodowały często wykolejenie pociągów? Czy maszynista parowozu, czy człowiek, dający sygnał do zatrzymania pociągu, czy zwrotniczy, skierowujący pociąg na właściwy tor?

Komu zawdzięczać mamy przeprowadzenie komunikacji telegraficznej przez ocean Atlantycki? Czy inżynierowi, który uporczywie twierdził, że liny z drutu (kable) służyć mogą do przesyłania depesz, podczas, gdy wszyscy uczeni specjaliści utrzymywali, że jest to niemożebne? Czy uczonemu Maury, który doradził zastąpić grube kable cienkiemi, o grubości zwykłej laski? Czy może tym ludziom, którzy z własnej woli zjawili się niewiadomo skąd i całe dnie i noce spędzali na pokładzie okrętu, oglądając pilnie każdy łokieć kabla w celu wyjęcia zeń gwoździ, powtykanych w powłokę izolacyjną niewiadomo przez kogo (powiadają, że przez akcjonarjuszów kompanji okrętowych) dla uczynienia ich niezdatnemi do użytku?

A przechodząc do innej, szerszej dziedziny — do dziedziny prawdziwego życia ludzkiego z jego radościami, smutkami i biegiem wydarzeń, — czyż każdemu z nas nie zdarzyło się spotkać człowieka, który mu okazał w życiu przysługę tak wielką, iż nawet sama myśl o jakiejkolwiek zapłacie pieniężnej wydaje się poprostu niedorzeczną i ubliżającą? Czasem przysługa taka—to jakieś słowo, we właściwej chwili wypowiedziane, a czasem—to całe miesiące i lata poświęcenia. Czyżbyśmy i owe usługi „nieocenione" chcieli szacować w „bonach pracy"?

„Każdemu według zasług"! Ależ społeczeństwa ludzkie

nie mogłyby istnieć nawet w ciągu dwóch pokoleń, gdyby każdy nie dawał innym nieskończenie więcej ponad to, co sam otrzymuje, jako zapłatę bądź w pieniądzach, bądź w „bonach", lub jakiejkolwiek innej postaci. Ludzkość zginęłaby, gdyby matka nie poświęcała życia dla swych dzieci, gdyby nie dawano nic bez rachuby, gdyby zwłaszcza nie dawano tam, gdzie nie można oczekiwać nagrody.

I jeżeli społeczeństwo burżuazyjne chyli się do upadku i ginie, jeżeli dziś znajdujemy się w położeniu bez wyjścia, z którego wydostać się możemy jedynie, niszcząc ogniem i mieczem wszystkie instytucje przeszłości, to dzieje się to dzięki temu, iż zbyt wiele miejsca w życiu dotychczasowem zajmowało wyrachowanie; że nauczyliśmy się d a w a ć po to, żeby o t r z y m y w a ć; że chcielibyśmy ze społeczeństwa uczynić spółkę handlową, opartą na „ma" i „winien".

Zresztą kolektywiści wiedzą o tem. Rozumieją, że społeczeństwo nie mogłoby istnieć długo, gdyby chciało istotnie ściśle przeprowadzić w życiu zasadę: „każdemu według zasług". Rozumieją również, że p o t r z e b y człowieka — nie mówimy tu o urojeniach — nie zawsze odpowiadają jego dziełom. Tak np. De-Paepe powiada: „Ta zasada — czysto indywidualistyczna — będzie zresztą z m o d y f i k o w a n a przez udział społeczeństwa w sprawie wychowania dzieci i młodzieży (wliczając w to pokarm i całkowite utrzymanie), i przez społeczną organizację opieki nad kalekami, chorymi, starcami i t. d.".

Kolektywiści, zdaje się, rozumieją, że czterdziestoletni mężczyzna, ojciec trojga dzieci, ma inne potrzeby, niż chłopak dwudziestoletni; że kobieta karmiąca, spędzająca bezsenne noce przy kołysce dziecka, nie może pracować tyle, co człowiek, który się wyspał. Rozumieją, zdaje się, że mężczyzni i kobiety, wycieńczeni długoletnią nadmierną pracą dla społeczeństwa, nie mogą wykonać tyle pracy, co ci, którzy spędzili swój żywot w próżniactwie i otrzymywali swe „bony", jako uprzywilejowani urzędnicy państwowi.

Dlatego też śpieszą modyfikować swoją zasadę. Ależ tak, powiadają, społeczeństwo karmić będzie i wychowywać dzieci, opiekować się starcami i chorymi! Ależ tak, p o t r z e b y będą właśnie miarą kosztów, które ponosić będzie społeczeństwo w celu łagodzenia zasady: „każdemu według zasług".

Słowem, w rezultacie mamy dobroczynność, wciąż dobroczynność chrześcijańską, ale tym razem zorganizowaną przez państwo. Trzeba jeno udoskonalić domy podrzutków, zorganizować ubezpieczenia na starość i na wypadek choroby — i oto zasada została złagodzona! — „Ranić, żeby potem goić" — wciąż to samo!

Tak tedy, odrzuciwszy komunizm, wydrwiwszy zasadę „każdemu według jego potrzeb", wielcy ekonomiści zaczynają spostrzegać, iż zapomnieli o jednem — o potrzebach wytwórców. To też śpieszą uznać je. Zastrzegają tylko, że oceniać je powinno państwo! Państwo musi czuwać nad tem, aby potrzeby każdego odpowiadały jego zasługom.

Państwo zatem rozdawać będzie jałmużnę, opiekować się ślepymi, kulawymi — a stąd już krok do angielskiego prawa o biednych i do angielskich domów robotniczych, t. j. więzień dla ubogich.

Przecież i to okrutne społeczeństwo, przeciwko któremu buntujemy się, również było zmuszone do z m o d y f i k o w a n i a swojego indywidualizmu; również musiało poczynić pewne ustępstwa w kierunku komunizmu i tak samo uczyniło to w formie dobroczynności publicznej.

Ono także rozdaje tanie obiady z obawy, aby głodne rzesze nie rzuciły się na jego sklepy. I ono wznosi szpitale, najczęściej liche, ale niekiedy wspaniałe, żeby zapobiec szerzeniu się chorób zaraźliwych. I ono także, opłaciwszy tylko godziny pracy, roztacza opiekę nad dziećmi tych, których doprowadziło do ostatecznej nędzy. I ono uwzględnia potrzeby, zaspakajając je za pomocą dobroczynności.

Nędza była pierwszem źródłem bogactwa: ona stworzyła pierwszego kapitalistę. Zanim zjawiła się „nadwartość", o której tak wiele się mówi, trzeba było, aby istnieli nędzarze, zmuszeni sprzedawać swą siłę roboczą, by nie umrzeć z głodu. Ich nędza była pierwszym warunkiem istnienia bogaczy. I jeżeli wzrosła tak szybko w ciągu wieków średnich, to tylko dzięki temu, że wojny, które nastąpiły po utworzeniu się państw i wzbogaceniu się zdobyczami na Wschodzie, zerwały dotychczasowy związek pomiędzy gminami wiejskiemi i miejskiemi i zmusiły je do zastąpienia zasady solidarności przez pracę najemną, tak cenną dla wyzyskiwaczy.

Czyżby ta sama zasada miała wyłonić się z rewolucji? I

czyż ośmielanoby się nazywać ją imieniem „rewolucji społecznej" — imieniem tak drogiem dla głodnych, cierpiących i uciśnionych?

O, nie! W dniu, kiedy stare, zmurszałe instytucje walić się będą pod ciosami proletarjuszy, usłyszymy wołania: „Chleba, dachu i dobrobytu dla wszystkich!"

I wołania te zostaną wysłuchane. Lud powie sobie: „Naprzód zaspokoić musimy pragnienie życia, radości, swobody, którego nigdy nie mogliśmy ugasić. A gdy wszyscy zaznają tego szczęścia, wtedy weźmiemy się do dzieła: do zniszczenia wszelkich śladów ustroju burżuazyjnego — jego etyki, opartej na równości buchalteryjnej, jego filozofji „winien" i „ma", jego pojęć o „moim i twoim". A „burząc będziemy budować", jak mówił Proudhon; będziemy budować w imię komunizmu i anarchji!

XIV. SPOŻYCIE I PRODUKCJA.

Nasz punkt widzenia na społeczeństwo i jego organizację polityczną jest całkiem odmienny od poglądów szkół socjalistycznych opartych na autorytecie, ponieważ za punkt wyjścia bierzemy wolną jednostkę, by od niej wznieść się do wolnego społeczeństwa, zamiast tego, by rozpoczynać od państwa, a kończyć na jednostce. Tej samej metody trzymać się będziemy w rozstrząsaniu spraw ekonomicznych. Zbadamy najpierw potrzeby jednostki i środki do ich zaspokojenia, zanim mówić będziemy o produkcji, wymianie, podatkach, rządzie i t. d.

Na pierwszy rzut oka różnica powyższa może wydać się minimalna, ale w rzeczywistości przewraca do góry nogami wszystkie pojęcia ekonomji urzędowej.

Otwórzmy jakiekolwiek dzieło treści ekonomicznej. Autor rozpoczyna od produkcji, analizuje środki, używane dziś dla wytwarzania bogactw, podział pracy, rękodzielnictwo, rolę maszyn, nagromadzenie kapitału. Od Adama Smitha do Marksa wszyscy postępowali w ten sposób. Dopiero w drugiej lub trzeciej części swego dzieła ekonomista zajmuje się spożyciem, t. j. zaspokojeniem potrzeb jednostki; lecz tu poprzestaje na

wyjaśnieniu, w jaki sposób odbywa się podział bogactw pomiędzy czynnikami, roszczącemi sobie do tego prawo.

Może kto powie, że jest to porządek, zgodny z logiką, że zanim można zaspakajać potrzeby trzeba przedtem stworzyć odpowiednie dobra, że trzeba produkować, aby spożywać. Ale czyż wszelkiej produkcji nie poprzedza odczucie potrzeby? Czyż nie potrzeba pchnęła człowieka kolejno do łowów, chowu bydła, rolnictwa, wyrobu wszelkich narzędzi, wreszcie do maszyn? I czyż badanie potrzeb nie powinno kierować produkcją? W każdym razie nie jest mniej logicznie rozpoczynać od tego, a dopiero później rozpatrywać sposoby zaspakajania tych potrzeb przez wytwarzanie.

W ten właśnie sposób będziemy postępować.

Z chwilą jednak, gdy z tego punktu widzenia spojrzeć na ekonomję, zmienia się całkowicie jej wygląd. Przestaje być prostym opisem faktów i staje się nauką, analogiczną do fizjologji człowieka. Można ją określić w sposób następujący: b a d a n i e p o t r z e b l u d z k i c h i ś r o d k ó w d o i c h z a s p a k a j a n i a p r z y m o ż l i w i e n a j m n i e j s z y m w y s i ł k u l u d z k i m. Nazwać by ją wypadało f i z j o l o g j ą s p o ł e c z e ń s t w a. Jest to gałąź wiedzy równoległa do fizjologji zwierzęcej i roślinnej, która również bada potrzeby organizmów oraz drogi najskuteczniejszego ich zaspakajania. W szeregu nauk społecznych ekonomja społeczeństw zająć winna miejsce, które wśród nauk biologicznych zajmuje fizjologja jestestw organicznych.

Powiadamy: „Oto są ludzie, żyjący w społeczeństwie. Wszyscy odczuwają potrzebę zdrowego mieszkania. Szałas dzikiego już im nie wystarcza. Żądają schroniska trwałego, wygodnego. Należy rozstrzygnąć pytanie, czy, przy danym stopniu wydajności pracy ludzkiej, dostarczenie każdej rodzinie domku jest możliwe, a jeżeli nie, to dlaczego? "

I zaraz zdamy sobie sprawę, że w Europie każda rodzina mogłaby doskonale mieć wygodny domek w rodzaju tych, jakie budują dla robotników w Anglji, lub Belgji w osadzie Pulmana. A jeśli nie domek oddzielny — to odpowiednie mieszkanie. Względnie niewielkiej liczby dni roboczych potrzeba na zbudowanie dla rodziny z siedmiu czy ośmiu osób ładnego, wygodnego domku, zdrowego i jasnego.

Tymczasem dziewięć dziesiątych Europejczyków nie ma

należytego mieszkania, albowiem od wieków człowiek z ludu zmuszony był pracować z dnia na dzień, niemal bezustanku, dla zaspakajania potrzeb klas rządzących i nie miał nigdy ani czasu, ani środków, by móc zbudować, lub wynająć wymarzony domek. I dopóki istniejące stosunki społeczne nie zostaną z gruntu zmienione, pozostanie bezdomny i będzie zmuszony zamieszkiwać pierwszą lepszą norę.

Postępujemy, jak widzicie, metodą wręcz odwrotną jak ekonomiści, którzy ustanawiają rzekomo wieczne prawa produkcji, i, obliczywszy przeciętną liczbę domów, wznoszonych co roku, dowodzą za pomocą danych statystycznych, że istniejące domy nie mogą zaspokoić wszystkich zapotrzebowań na mieszkania, przeto dziewięć dziesiątych Europejczyków musi zamieszkiwać sutereny i poddasza.

Przejdźmy do sprawy żywności. Wyliczywszy dobrodziejstwa, płynące z podziału pracy, ekonomiści wnioskują, że właśnie ten podział wymaga, by jedni oddawali się wyłącznie rolnictwu, drudzy zaś pracy przemysłowej. Następnie stwierdziwszy, że rolnicy produkują tyle, fabryki tyle, wymiana odbywa się w taki sposób, przechodzą do analizowania sprzedaży, zysku, nadwartości, płacy zarobkowej, podatków, banków i tym podobne.

Śledząc badania ekonomistów, nie posuniemy się jednak naprzód. I jeżeli zadamy im pytanie: „Dlaczego tyle rodzin pozbawionych jest chleba, kiedy tymczasem każda mogłaby produkować zboże dla wyżywienia dziesięciu, dwudziestu, a nawet stu ludzi na przeciąg roku?" — to znów zaczną nam opowiadać od początku o podziale pracy, płacy zarobkowej, nadwartości, kapitale i t. d. by dojść do wniosku, że produkcja jest niedostateczna dla zaspokojenia wszystkich potrzeb. Wniosek ten, nawet, gdyby był prawdziwy, nie daje odpowiedzi na pytanie: „Czy człowiek może własną pracą wyprodukować potrzebną dla niego ilość pożywienia, czy też nie może? A jeśli nie może, to dlaczego?"

Oto 350 miljonów mieszkańców Europy. Potrzeba im co roku tyle mięsa, tyle chleba, jaj, masła mleka. Tyle domów, tyle odzieży. Jest to minimum ich potrzeb. Czy mogą wyprodukować to wszystko? Jeśli mogą — to czy pozostanie im jeszcze pewna ilość wolnego czasu na produkowanie przedmiotów zbytku, dzieł sztuki, na oddawanie się sztuce, nauce, zabawie, sło-

wem, na to, co wybiega poza kategorje rzeczy niezbędnych? Jeżeli odpowiedź wypadnie twierdząca, to cóż stoi na przeszkodzie, że się dzieje inaczej? Jak te przeszkody usunąć? Jeżeli to jest kwestją czasu — to bądźmy cierpliwi, ale nie traćmy nigdy z oczu celu **wszelkiej** produkcji, — zaspakajania potrzeb ludzkich.

Jeżeli elementarne potrzeby człowieka nie są zaspokojone, co trzeba zrobić w celu podniesienia wydajności pracy? Ale czy nie grają tu roli inne jeszcze przyczyny? Czy nie dzieje się to np. skutkiem faktu, iż produkcja straciła z oczu potrzeby ludzkie, weszła na drogę zupełnie fałszywą? A ponieważ stwierdzamy, że tak jest w istocie, usiłujmy przekształcić wytwarzanie w taki sposób, aby odpowiadało swemu celowi.

Taki jest, zdaniem naszem, jedyny słuszny punkt widzenia i jedyny, który pozwoli ekonomji stać się nauką — nauką fizjologji społecznej.

Rozdziały, poświęcone obecnie istniejącym formom produkcji u narodów cywilizowanych, w gminach induskich oraz u ludów dzikich, nie będą mogły oczywiście być traktowane inaczej jak w sposób opisowy. Stanowić będą dział opisowy, analogiczny do podobnych działów zoologji i botaniki. Zauważmy jednak, że i ten dział zyskałby wiele na jasności i wartości naukowej, gdyby był opracowany z punktu widzenia ekonomji sił w sprawie zaspakajania potrzeb. Wykazanoby wówczas do jakich potwornych rozmiarów dochodzi marnotrawienie sił ludzkich przy dzisiejszych warunkach społecznych, które dopóki istnieją, niema widoków, by potrzeby ludzkie mogły być zaspokojone.

Punkt widzenia na zjawiska ekonomiczne byłby zatem zupełnie inny. W robotniku, stojącym za warsztatem tkackim, obsługującym piłę mechaniczną, lub czuwającym nad kasą, do której napływają zyski i dywidendy, wypadałoby widzieć człowieka — twórcę produkcji, wykluczonego zazwyczaj od udziału w uczcie, którą przygotowuje dla innych. Zrozumielibyśmy także, iż t. zw. prawa wartości, wymiany i t. p. są wyrazem— i to często fałszywym, dzięki błędnemu punktowi wyjścia — faktów, odgrywających się przy obecnych warunkach, ale które mogłyby i będą odbywać się inaczej wówczas, gdy produkcja zorganizowaną zostanie w celu zaspakajania potrzeb społeczeństwa.

W całej ekonomji politycznej nie znajdzie się ani jedna zasada, która nie zmieni całkowicie wyglądu, gdy przyjąć nasz punkt wyjścia.

Weźmy np. nadprodukcję. Jest to wyraz, który codziennie obija się o uszy. Czy jest chociaż jeden ekonomista, członek akademji lub kandydat do tego tytułu, któryby nie twierdził, iż przesilenia ekonomiczne są wynikiem nadprodukcji: w danym momencie wytwarza się płótna, sukna lub zegarków więcej niż potrzeba! Czyż nie oskarżano przytem kapitalistów o zbytnią „chciwość", za to, że upierają się produkować ponad możliwość spożycia?

Otóż powyższe rozumowanie okaże się zupełnie błędne, gdy zastanowić się głębiej nad tą sprawą. Niechaj nam wskażą choć jeden artykuł pierwszej potrzeby, którego produkcja przewyższa istotne zapotrzebowanie. Przejrzyjcie po kolei listę towarów, wywożonych z krajów o silnym eksporcie, a przekonacie się, że ani jeden z nich nie jest produkowany w ilości wystarczającej dla zaspokojenia potrzeb swego kraju.

Chłop rosyjski np. dostarcza Europie zboże bynajmniej nie dlatego, że ma go za dużo: w Rosji europejskiej bowiem najlepszy urodzaj daje zaledwie tyle zboża, iłe potrzeba dla wyżywienia ludności. Sprzedając zboże dla zapłacenia podatku, lub raty dzierżawnej, włościanin pozbawia siebie i swe dzieci niezbędnej ilości pożywienia.

Podobnie nie nadmiar węgla wysyła Anglja do wszystkich części świata. Z tego co pozostaje dla wewnętrznego użytku przypada rocznie na każdego Anglika 750 kilogramów. Miljony Anglików zatem obchodzą się bez ognia w ciągu zimy, lub też rozpalają go tylko dla ugotowania strawy. W rzeczywistości, jeżeli pominąć przedmioty zbytku, to w Anglji, kraju o największym eksporcie, wymienić można jeden tylko towar powszechnego użytku, którego produkcja przewyższa nieco, być może, zapotrzebowanie — to tkaniny bawełniane. Ale, gdy przypomnimy sobie łachmany, które zastępują odzież i bieliznę przynajmniej jednej trzeciej mieszkańców Zjednoczonego Królestwa, to nasuwa się pytanie, zali te wywiezione tkaniny nie są właściwie równoważnikiem niezaspakajanych realnych potrzeb ludności krajowej. Gdyby wszyscy Anglicy mieli niezbędną odzież i bieliznę, może ów „nadmiar" okazałby się nieznaczny.

Wogóle to, co się wywozi, nie jest nadmiarem, pomimo, iż początkowo eksport powstał istotnie z posiadania nadmiaru jakiegoś produktu. Bajka o bosym szewcu jest prawdziwą w stosunku do narodów tak, jak była niegdyś prawdziwą w stosunku do rzemieślnika. Wywozi się rzeczy niezbędne dla kraju, a to dlatego, że robotnicy za swą płacę zarobkową nie mogą nabyć tego, co sami wyprodukowali, zmuszeni opłacać rentę, zyski i procenty kapitalistom i bankierom.

Nietylko, że pozostaje niezaspokojona wciąż wzrastająca potrzeba dobrobytu, lecz częstokroć zbywa ludziom rzeczy niezbędnych. Nadprodukcja — przynajmniej w znaczeniu wyżej wymienionem — nie istnieje. Jest tylko wymysłem teoretyków ekonomji politycznej.

Ekonomiści twierdzą, iż ze wszystkich „praw ekonomji najbardziej pewnem jest prawo, iż człowiek produkuje więcej, niż sam spożywa", czyli, że człowiekowi, który spożywa owoce własnej pracy, pozostaje w końcu pewien nadmiar. Jedna rodzina, trudniąca się rolnictwem, wyprodukowuje żywność dla kilku rodzin i t. d.

Frazes ten, tak często powtarzany, jest, zdaniem naszem, pozbawiony sensu. Słusznym byłby wówczas, jeśliby wyrażał myśl, iż każde pokolenie pozostawia część swego dorobku pokoleniom następnym. Istotnie, włościanin np. zasadzi drzewo, które żyć będzie 30, 40, a nawet 100 lat, darząc owocami jeszcze jego wnuków. Jeżeli zajął pod uprawę hektar nieużytków, o tyle powiększy bogactwo przyszłych pokoleń. Drogi, mosty, kanały, domy z ich urządzeniami, — wszystko to są bogactwa, które kolejno pokolenia żyjące przekazują następnym.

Ale tym, co wygłaszają ten frazes, chodzi o co innego. Powiadają, że włościanin wyprodukowuje zboża więcej, niż sam spożywa. Należałoby raczej powiedzieć, że ponieważ państwo zabierało zawsze znaczną część plonów, w postaci podatku, duchowieństwo—w postaci dziesięciny, właściciel—w postaci renty gruntowej, utworzyła się pewna klasa ludzi, którzy ongi spożywali to, co wyprodukowali (z wyjątkiem tego, co odkładali na czarną godzinę lub przekazywali potomkom w postaci dróg, drzew i t. p.), lecz, którzy dziś zmuszeni są karmić się byle czem, gdyż lwią część ich plonów zabiera państwo, właściciel ziemski, ksiądz i lichwiarz.

Dlatego wolimy mówić włościanin spożywa

mniej, niż produkuje, ponieważ jest zmuszony sprzedawać pierze a spać na słomie, sprzedawać wino a pić kwas, sprzedawać pszenicę a jeść żyto.

Zauważmy również, że, biorąc za punkt wyjścia potrzeby jednostki, niechybnie dojść musimy do komunizmu jako do organizacji społecznej, która pozwala zaspakajać potrzeby ludzkie w sposób najbardziej pełny i ekonomiczny. Przeciwnie, jeżeli za punkt wyjścia weźmiemy produkcję spółczesną, mieć będziemy na widoku jedynie zysk przedsiębiorcy lub nadwartość, nie zastanawiając się nad tem, o ile dane produkty zaspakajają potrzeby społeczeństwa, to niewątpliwie zatrzymać się musimy na kapitaliźmie—co najwyżej na kolektywiźmie—jako organizacjach produkcji, opartych na pracy najemnej.

Istotnie, jeżeli zwrócimy uwagę na potrzeby jednostki i społeczeństwa i na środki, za pomocą których człowiek na rozmaitych stopniach rozwoju kulturalnego, potrzeby te zaspakaja, to przekonamy się o konieczności łączenia rozproszonych pojedyńczych wysiłków i skierowywania ich ku jednemu celowi —zaspokojeniu potrzeb wszystkich członków społeczeństwa. Przy dzisiejszej produkcji indywidualnej, osiągnięcie tego celu co chwila narażone jest na tysiące nieprzewidzianych przypadków. Zrozumiemy wówczas, że przywłaszczanie przez nieliczne jednostki wszystkich niespożytych bogactw, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, bynajmniej nie leży w interesie społeczeństwa. Albowiem w takim razie potrzeby $^3/_4$ społeczeństwa zostają nie zaspokojone, a olbrzymie marnotrawstwo sił ludzkich staje się jeszcze bardziej bezmyślne i okrutne.

Zrozumiemy wreszcie, iż najkorzystniejszym użytkiem ze wszelkich bogactw jest zaspokajanie najbardziej naglących potrzeb ludzkich, oraz że wartość użytkowa nie zależy bynajmniej od jakiegoś kaprysu, jak to częstokroć twierdzą, lecz jest miarą zaspokojenia potrzeb rzeczywistych.

Komunizm — t. j. synteza spożycia, produkcji i wymiany oraz odpowiadająca tej syntezie organizacja—staje się logiczną konsekwencją powyższego pojmowania rzeczy, jedynego, które, zdaniem naszem, jest istotnie naukowe.

Społeczeństwo, które zaspakajać będzie potrzeby wszystkich swych członków i potrafi zorganizować w odpowiedni sposób produkcję, będzie musiało ponadto odrzucić pewne

przesądy, dotyczące przemysłu, a przedewszystkiem t
chwalaną przez ekonomistów teorję p o d z i a ł u p r a c
rą rozpatrzymy w rozdziale następnym.

XV. PODZIAŁ PRACY.

Ekonomja polityczna poprzestawała zawsze na s
niu faktów, odgrywających się w życiu społecznem i
wiedliwianiu ich w interesie klasy panującej. Taką t
przyjęła względem podziału pracy w przemyśle: wid
korzystny dla kapitalistów, uczyniła zeń zasadę.

Oto wiejski kowal, — jeśli nie ma wprawy
gwoździ — powiada Adam Smith, ojciec ekonom
snej, — to w ciągu dnia zdoła wyrobić zaledwie
sztuk i to jeszcze będą marne. Ale jeżeli kowal t
nigdy nic innego, prócz gwoździ, to bez trudu dost
dzień do 2300 sztuk. I Smith pośpiesza wnioskow
my podział pracy, specjalizujmy ją, wciąż specjal
my kowali, umiejących robić jedynie główki, lub
dzi, a tym sposobem produkować będziemy więc
cimy się".

O tem zaś, że człowiek, skazany na dożywo
nie łepków u gwoździ, straci wreszcie chęć i
do pracy, że, dzięki ograniczoności swego fach
ny na łaskę i niełaskę przedsiębiorcy, że po
na rok będzie bez pracy, że zarobek jego zm
można go będzie zastąpić przez pierwszego
tora — o tem wszystkiem Smith zgoła nie n
„Niech żyje podział pracy! Oto jest prawdziw
dla wzbogacenia narodu!" I wszyscy powtarz

I nawet wówczas, gdy Sismondi i J. B.
podział pracy zamiast wzbogacać ogół, wzb
gatych i że robotnik, skazany przez całe życi
jakiejś osiemnastej części szpilki, dziczał i w
jakąż ekonomiści oficjalni znaleźli na to rad
stanawiali się nad tem, że robotnik, wyko
życie jedną i tę samą pracę mechaniczną, i
cić wszelki zmysł wynalazczy, a że przec

mogłoby niesłychanie spotęgować siłę produkcyjną naro-
gadnienie to dopiero obecnie wchodzi na porządek
y.

reszta, gdyby tylko jedni ekonomiści wznosili hymny
lne na cześć podziału pracy, możnaby ich zostawić w
Ale idee, głoszone przez doktorów nauki przenikają
łów i szerzą znieprawienie. Słysząc ciągle o podziale
rsku, rencie, kredycie, jako o sprawach dawno już roz-
ych, wszyscy, nawet robotnicy, zaczynają w końcu
ekonomistami pacierz i modlić się do tych samych

np. nie brak socjalistów, tych samych, którzy mają
tykać nauce jej błędy, odzywających się z wielkim
o zasadzie podziału pracy. Pomówcie z nimi o or-
ołeczeństwa podczas rewolucji, a powiedzą wam,
pracy powinien być utrzymany, że jeśli wyrabiałeś
pilek przed rewolucją, to i po rewolucji czynić bę-
mo. Wprawdzie pracować będziesz tylko pięć go-
, ale przez całe życie nie będziesz robił nic innego,
wki u szpilek, gdy inni pracować będą nad pro-
nstrukcją maszyn, które umożliwią ci wyrobić w
iljard szpilek. Inni zaś specjalizować się będą w
zawodach literackich, naukowych, artystycznych
łeś się już na wykonawcę główek u szpilek, tak
dził się wynalazcą szczepienia wścieklizny i re-
wi was obu przy waszych czcigodnych zaję-

y teraz różne skutki tej ohydnej, szkodliwej
, a ogłupiającej jednostkę, zasady, źródła ty-

kutki podziału pracy. Podzieleni jesteśmy w
a dwie klasy: na wytwórców, którzy spoży-
ch zwalnia się od obowiązku myślenia, albo-
wać; pracują zaś marnie, bo umysł ich jest
a spożywców, którzy mało wytwarzają, lub
zają, posiadają przywilej myślenia za innych
iem cały świat pracy ręcznej, jest im nieznа-
nie wiedzą nic o maszynie, dla tych zaś, co
bcą jest praca na roli.
ysłu spółczesnego jest dziecko, obsługu-

jące maszynę, której mechanizmu nie może i nie powinno rozumieć, oraz dozorca, nakładający nań kary za chwilę nieuwagi. Istnieje nawet dążność do uczynienia zbyteczną pracę rolnika zawodowego. Ideałem rolnictwa uprzemysłowionego jest wzięty na trzy miesiące najemnik do młockarni, lub pługa parowego. Podział pracy sprawia, że każdy człowiek posiada pewną etykietkę, którą nosi przez całe życie. Ten, jako zawiązywacz nici w fabryce, ów jako dozorca, dziesiąty jako górnik Ale żaden z nich nie ma pojęcia o całokształcie maszyny, pracy w przemyśle, czy w kopalni. Dzięki temu, robotnik traci zamiłowanie do pracy, oraz zdolności twórcze, którym w zaraniu ery przemysłowej zawdzięczamy wynalazki, stanowiące do dnia dzisiejszego naszą dumę.

To, co uczyniono z człowiekiem, chciano również uczynić z narodami. Ludzkość miała być podzielona na fabryki narodowe, z których każda posiadałaby swą specjalność. Rosja jest przeznaczona przez przyrodę — mówiono — do uprawy zboża, Anglja — do wyrobów bawełnianych, Belgja tkać powinna sukna, podczas, gdy zadaniem Szwajcarji jest hodowla bon i guwernantek. Z kolei w każdym narodzie istniałaby dalsza specjalizacja: Lion będzie fabrykował jedwabie, Auwernja —koronki, Paryż—artykuły fantazyjne. Byłoby to zdaniem ekonomistów otwarcie niezmierzonego pola zarówno dla produkcji, jak dla spożycia. Nowa era pracy i niezmierzonych bogactw miała się rozpocząć dla całego świata.

Atoli wszystkie te świetne nadzieje topnieją w miarę rozpowszechniania po całym świecie wiedzy tchnicznej. Dopóki jedna Anglja, produkowała wyroby bawełniane i żelazne, dopóki Paryż był jedynym twórcą cacek artystycznych, wszystko było w porządku, można było wysławiać zasadę podziału pracy pomiędzy narodami, bez obawy spotkania się z jakimkolwiek zarzutem.

Ale oto, narody cywilizowane porwał nowy prąd, zmierzający ku temu, by każdy naród uprawiał wszystkie gałęzie przemysłu. Przedstawia bowiem większe korzyści na miejscu produkować to wszystko, co dawniej sprowadzano z innych krajów. Nawet kolonje ujawniają dążność do uniezależnienia się pod tym względem od swych metropolji. Odkrycia naukowe sprzyjają rozpowszechnieniu wiedzy technicznej, wobec cze-

go okazuje się zbytecznem płacić zagranicy ceny kolosalne za to, co można bez trudu wyprodukować u siebie.

Czy ta rewolucja w przemyśle nie zadaje ciosu zasadzie podziału pracy, która wydawała się być ugruntowaną tak solidnie?

XVI. DECENTRALIZACJA PRZEMYSŁU.

Pod koniec wojen napoleońskich udało się Anglji zniszczyć niemal doszczętnie wielki przemysł, który się narodził we Francji w końcu XVIII wieku. Stała się ona wszechwładną panią na morzu bez poważnych spółzawodników. Skorzystała z tego stanowiska, by zmonopolizować przemysł i zmuszać swych sąsiadów do nabywania towarów, przez nią wyłącznie wyrabianych, po cenach dowolnie wyznaczanych. Dzięki temu gromadziła niesłychane bogactwa i potrafiła wszechstronnie wykorzystać swe położenie uprzywilejowane.

Atoli W. Rewolucja, znosząc poddaństwo we Francji, stworzyła tam zastępy proletarjatu. Wielki przemysł, chwilowo stłumiony w swym rozwoju, począł się dzięki temu rozwijać z nową siłą. Poczynając od drugiej połowy ubiegłego stulecia, Francja wyzwala się niemal zupełnie od Anglji, z więzów zależności przemysłowej. Staje się sama krajem eksportującym wyroby przemysłowe. Przyczem dwie trzecie jej eksportu stanowią tkaniny. Przy fabrykacji i handlu towarami, przeznaczonemi na wywóz, pracuje około trzech miljonów Francuzów.

Francja uniezależniła się zatem od Anglji i z kolei sama zaczęła dążyć do zmonopolizowania niektórych artykułów handlu wywozowego np. tkanin jedwabnych i gotowej odzieży. Osiągnęła na tem potężne zyski, ale niebawem została zagrożona utratą tego monopolu, podobnie jak Anglja, która musiała się wyrzec monopolu tkanin bawełnianych, a nawet nici.

Przemysł, podążając ku wschodowi, zatrzymał się w Niemczech. W połowie XIX stulecia Niemcy większą część wyrobów przemysłowych otrzymywały z Anglji i z Francji, lecz od tego czasu, zwłaszcza od wojny prusko-francuskiej całkowicie przekształciły swój przemysł. Fabryki niemieckie, zaopatrzone w najdoskonalsze urządzenia, dostarczają najnowszych wyro-

bów sztuki tkackiej, nieustępujących wyrobom bawełnianym z Manchesteru, a jedwabnym z Lionu. Przemysł niemiecki miał możność skorzystania z gotowych już maszyn, podczas gdy Lion czy Manchester musiały poświęcić na wynalezienie każdej maszyny spółczesnej pracę paru pokoleń. Zatem przemysł niemiecki wyruszył z tego punktu, do którego przemysł angielski i francuski doszły dopiero po pięćdziesięciu latach wysiłków, prób, niepowodzeń. Szkoły techniczne w Niemczech, dostosowane do potrzeb przemysłu, dostarczają fabrykom tamtejszym armji inteligentnych robotników i inżynierów-praktyków, umiejących czynić użytek zarówno ze swych rąk, jak i z głowy.

W rezultacie Niemcy mogą produkować u siebie wszystko. Z każdym rokiem zmniejsza się ilość towarów, które importują z Francji i z Anglji, przytem spółzawodniczą z temi krajami na rynkach w Azji i w Afryce, a nawet w samym Paryżu i Londynie. Ludzie krótkowzroczni oburzać się mogą na traktat frankfurcki, mogą objaśniać triumf niemieckiej konkurencji przemysłowej drobnemi różnicami taryf kolejowych lub tem, że robotnik niemiecki pracuje jakoby „zadarmo". Gubiąc się w szczegółach drugorzędnych, przeoczają wielkie fakty historyczne: fakt, iż przemysł wielki — ongiś wyłączny przywilej Anglji i Francji — przesunął się ku wschodowi i że w Niemczech znalazł kraj młody, żywotny, posiadający burżuazję inteligentną, żądną wzbogacenia się z kolei na handlu wywozowym.

Podczas gdy Niemcy wyzwalały się z pod opieki francuskiej i angielskiej i wzięły się same do produkowania tkanin, maszyn, słowem, wszystkich wyrobów przemysłowych, wielki przemysł zaczynał również zapuszczać korzenie w Rosji. Tutaj rozwój przemysłowy jest tembardziej uderzający, że jest tak bardzo młody.

W czasach zniesienia poddaństwa, w roku 1861, przemysł w Rosji nie istniał niemal. Całe zapotrzebowanie maszyn, rels, lokomotyw, tkanin wytwornych dostarczał Zachód. Dwadzieścia lat później Rosja posiada już z górą osiemdziesiąt pięć tysięcy fabryk, ogólna wartość produkowanych przez nią towarów wzrasta czterokrotnie. Przestarzałe urządzenia techniczne zostały zastąpione przez nowoczesne. Niemal całą stal, trzy czwarte żelaza, dwie trzecie węgla, wszystkie lokomotywy, wagony, relsy, większą część statków Rosja wytwarza na miejscu.

Z kraju, który, w mniemaniu ekonomistów, miał na wieki

pozostać krajem rolniczym, Rosja przedzierzgnęła się w kraj przemysłowy. Import z Anglji i z Niemiec stał się nieznaczny.

Ekonomiści szukają wyjaśnienia tych faktów w cłach ochronnych. Tymczasem wyroby przemysłowe sprzedawane są w Rosji po tych samych cenach, co w Londynie. Kapitał nie ma ojczyzny: kapitaliści niemieccy i angielscy, ze swymi inżynierami i majstrami, zakładają w Rosji i w Polsce fabryki, których wyroby spółzawodniczą z najlepszemi wyrobami angielskiemi. Na zniesieniu ceł wwozowych fabryki rosyjskie mogą tylko wygrać. Sami inżynierowie angielscy zadali cios importowi do Rosji sukna i wełny z Zachodu, wznosząc na południu Rosji ogromne fabryki, zaopatrzone w najdoskonalsze maszyny. Niedługo sukno angielskie i francuskie tkaniny wełniane Rosja sprowadzać będzie tylko po parę sztuk na próbki.

Przemysł wielki posuwa się nie tylko na wschód, ale obejmuje również półwyspy południowe. Wystawa w Turynie w r. 1884 wykazała wielkie postępy, jakie uczynił przemysł włoski. Nienawiść pomiędzy burżuazją francuską a włoską, niema, zdaniem naszem, innego źródła, jak ich spółzawodnictwo handlowe. Włochy wyzwalają się z pod opieki Francji i spółzawodniczą z jej kupcami na morzu Śródziemnem i na Wschodzie. Oto dlaczego dojść musi z czasem na granicy Włoch do krwawego starcia, o ile rewolucja nie zapobiegnie temu.

Moglibyśmy wskazać także na szybki rozwój wielkiego przemysłu w Hiszpanji. Weźmy jednak Brazylję. Ekonomiści skazali ten kraj na wieczne produkowanie bawełny, wywożenie jej w stanie surowym i otrzymywanie wzamian z Europy tkanin bawełnianych. Istotnie w r. 1860 było tylko dziewięć nędznych przędzalni o 385 wrzecionach. W r. 1890 było ich już 46, z których pięć liczyło 40.000 wrzecion. Produkcja roczna wynosiła 30 miljonów metrów tkanin bawełnianych.

Nawet Meksyk wziął się do wyrobu tkanin bawełnianych, aby nie importować ich z Europy. Co do Stanów Zjednoczonych, wyzwoliły się one w zupełności z zależności europejskiej. i rozwój wielkiego przemysłu był tutaj bezprzykładny.

Indje zadają w sposób najbardziej jaskrawy kłam teorji specjalizacji przemysłów narodowych. Teorja ta jest znaną. Dla wielkich narodów europejskich niezbędne są kolonje, dostarczające surowców: bawełny, wełny, korzeni i t. p. Metropolja wysyła im wzamian wyroby przemysłowe: zbutwiałe tkaniny,

stare żelastwo, w postaci wycofanych z użycia maszyn, słowem to, co nie ma już dla niej wartości, a za to żąda jednak cen wysokich.

Teorja ta była przez długi czas stosowaną w praktyce. W Londynie i Manchesterze, na ruinie Indji dorabiano się ogromnych fortun. Dość jest zwiedzić muzeum Indyjskie w Londynie, aby przekonać się, jakie niesłychane, szalone bogactwa gromadzili kupcy angielscy w Kalkucie i Bombaju.

Ale inni kupcy i inni kapitaliści, również Anglicy, wpadli na prosty pomysł eksploatowania mieszkańców Indji bezpośrednio, wyrabiając na miejscu tkaniny bawełniane, zamiast importować je z Anglji na sumę 500 czy 600 miljonów fr. rocznie.

Początkowo projekt ten doznał szeregu niepowodzeń. Tkacze induscy, artyści w swoim zawodzie, nie mogli wdrożyć się do produkcji fabrycznej. Maszyny, sprowadzane z Liwerpoolu, okazały się nic nie warte. Trzeba było uwzględnić wpływ klimatu, przystosować się do warunków lokalnych. Wszystkie trudności zostały przezwyciężone i Indje angielskie stają się coraz groźniejszym spółzawodnikiem dla przemysłu metropolji. W r. 1895 było w Indjach 147 wielkich przędzalń, zatrudniających około 146.000 robotników i eksportujących do Chin, do Indji Holenderskich, do Afryki białe tkaniny bawełniane, poczytywane ongiś za wyłączną specjalność angielską, na sumę około 100 miljonów fr. rocznie. Robotnik angielski staje wobec klęski bezrobocia, gdyż tkaniny bawełniane, które zalewają miasta portowe dalekiego Wschodu, wyrabia maszynowo za nędzną płacę kobieta hinduska.

Słowem, niedaleki jest czas — inteligentniejsi z pośród przemysłowców doskonale zdają sobie z tego sprawę, — w którym ręce robocze, wykonujące tkaniny na eksport, pozostaną bez pracy. To jeszcze nie wszystko. Na zasadzie poważnych danych można przewidywać, że w niedługim czasie Indje nie będą sprowadzały z Anglji ani jednej tonny żelaza. Trudności, związane z uruchomieniem kopalń węgla i żelaza w Indjach zostały przezwyciężone i na pobrzeżach oceanu Indyjskiego powstały fabryki, które spółzawodniczą z fabrykami angielskiemi.

Kolonje, konkurujące ze swoją metropolją wyrobami włas-

nego przemysłu — to zasadniczy objaw życia ekonomicznego XIX stulecia.

I dlaczegóż kolonje nie miałyby spółzawodniczyć? Czego im brak? Kapitałów? Ale kapitał znajdzie się zawsze tam, gdzie są biedacy do wyzyskiwania. Wiedzy? Ale wiedza nie zna granic narodowościowych. Może więc, brak robotnikom tamtejszym wykształcenia technicznego. Czyżby robotnik induski miał być pod tym względem gorszy od zastępów dzieci poniżej lat piętnastu, które w liczbie dziesiątków tysięcy pracują w tkalniach angielskich?

Uzupełnimy ten pobieżny rzut oka na rozwój przemysłu w różnych krajach, rozpatrzeniem niektórych jego specjalnych gałęzi.

Weźmy np. tkaniny jedwabne, które w pierwszej połowie wieku ubiegłego były niemal wyłącznie wyrabiane we Francji. Wiadomo, w jaki sposób Lion stał się głównem ogniskiem przemysłu jedwabniczego; jedwab surowy przywożony z początku, z południowej Francji, sprowadzano następnie z Włoch, z Hiszpanji, z Austrji, z Kaukazu, z Japonji. Na 5 miljonów kilo surowego jedwabiu, przerabianego w Lionie w r. 1875, było francuskiego surowca tylko 400.000 kilo.

Ale skoro Lion przerabiał jedwab zagraniczny, czemuż nie mogły czynić tego samego Szwajcarja, Niemcy, Rosja? Wyrabianie tkanin jedwabnych zaczęło rozwijać się stopniowo w wioskach kantonu zurychskiego. Bazyleja stała się ważnem ogniskiem przemysłu jedwabniczego. Administracja kaukaska sprowadziła robotnice z Marsylji i robotników z Lionu w celu nauczenia Gruzinów racjonalnej hodowli jedwabników, a miejscowych włościan sztuki wyrabiania tkanin jedwabnych. Za tym przykładem poszła i Austrja. Również Niemcy, przy pomocy robotników lionskich, wzniosły ogromne fabryki jedwabiu. Stany Zjednoczone uczyniły to samo w Petersonie.....

I oto przemysł jedwabniczy przestał być wyłączną specjalnością Francji. Tkaniny jedwabne wyrabiane są w Niemczech, w Austrji, w Stanach Zjednoczonych, w Anglji. Włościanie kaukascy wyrabiają w zimie fulary jedwabne za taką lichą zapłatę, iż przy niej robotnik lioński zginąłby z głodu. Włochy wysyłają swe wyroby do Francji. Lion, który w latach 1870—74 wywoził tkanin jedwabnych za 460 miljonów fr. już w dwadzieścia lat później wywoził o połowę mniej. Dojdzie do tego,

że będzie eksportował tylko materje jedwabne wyższych gatunków, lub nowości, służące za wzory dla Niemiec, Rosji, Japonji.

To samo dzieje się w innych gałęziach przemysłu. Belgja straciła już swój monopol na sukno, które wyrabiają Niemcy, Rosja, Austrja, Stany Zjednoczone. Szwajcarja i Jura francuska przestały być jedynym dostawcą zegarków, które robią teraz wszędzie. Szkocja nie rafinuje już cukru dla Rosji, natomiast cukier rosyjski importowany jest do Anglji. Włochy mimo, że nie mają żelaza ani węgla, same budują swe pancerniki. Przemysł chemiczny nie jest już wyłącznie zogniskowany w Anglji: soda i kwas siarczany wyrabiane są wszędzie. Na wystawie międzynarodowej w Paryżu w r. 1889 zwracały powszechną uwagę maszyny, wykonane w okolicach Zurychu. Okazuje się, iż Szwajcarja, nie posiadając ani żelaza ani węgla—wyrabia, dzięki swym doskonałym szkołom technicznym, maszyny tańsze i lepsze niż angielskie. — Oto co pozostaje z teorji specjalizacji przemysłowej.

Zarówno w przemyśle, jak i we wszystkich innych dziedzinach, ujawnia się tendencja ku decentralizacji.

Każdy naród uważa dla siebie za korzystne uprawianie obok rolnictwa możliwie różnorodnych gałęzi przemysłu. Specjalizacja, którą wysławiają ekonomiści, wskazana była, być może, z punktu widzenia poszczególnych kapitalistów, którzy się na niej zbogacali, wogóle jednak pozbawiona jest racji bytu. Przeciwnie, pożądane jest, by każdy kraj, każda jednostka geograficzna, uprawiała potrzebną ilość zboża i owoców oraz wytwarzała możliwie wszystkie artykuły przemysłowe, które spożywa. Różnorodność jest najlepszą rękojmią rozwoju produkcji i postępu. Specjalizacja natomiast—to zastój.

Rolnictwo kwitnąć może jedynie w połączeniu z przemysłem. A każda fabryka powinna stać się pobudką do powstania szeregu innych, które się wzajem uzupełniają i pobudzają do udoskonaleń technicznych i wszechstronnego rozwoju.

Istotnie wywożenie zboża a przywożenie mąki, wywożenie wełny a przywożenie sukna, wywożenie żelaza a sprowadzanie maszyn, pozbawione jest sensu. I to nietylko z powodu niepotrzebnych kosztów transportu, ale szczególnie dlatego, że kraj, w którym niema przemysłu, jest również zacofany pod względem rolnictwa. Kraj, gdzie niema wielkich fabryk dla wy-

robu stali — jest również zapóźniony w innych gałęziach przemysłu. W kraju takim mnóstwo zdolności technicznych i przemysłowych marnuje się.

W świecie produkcji wszystko jest ze sobą powiązane. Dziś uprawa roli nie jest możliwą bez maszyn, bez sztucznego nawodnienia, bez kolei żelaznych, bez nawozów sztucznych. Ale dla stworzenia tego wszystkiego musi rozwinąć się pewien zmysł wynalazczy, musi istnieć pewien zasób wiadomości technicznych, a to nie może się ujawnić póki rydel i socha stanowią jedyne narzędzia rolnicze.

Aby ziemia mogła być dobrze uprawianą, aby wydawała plony tak obfite, jakich człowiek ma prawo od niej żądać, potrzeba, by w najbliższem sąsiedztwie wznosiły się kominy fabryczne, dużo kominów fabrycznych.

Różnorodność zajęć, różnorodność wynikających z tego uzdolnień, kojarzących się wzajem dla spólnego celu — oto prawdziwe źródło postępu ekonomicznego.

Wyobraźmy sobie teraz jakieś miasto, jakieś terytorjum wielkie czy małe, — mniejsza o to,—które stawia pierwsze kroki na drodze rewolucji społecznej.

„Nic się nie zmieni — powiadają nam niekiedy. Fabryki i warsztaty zostaną odebrane właścicielom, ogłoszone jako własność narodowa lub komunalna, poczem każdy wróci do swej zwykłej pracy. Rewolucja będzie dokonana."

Otóż nie. Nie da się to zrobić w sposób tak prosty.

Mówiliśmy już o tem, że z chwilą, gdy, w Paryżu, Lionie, czy któremkolwiek innem mieście, wybuchnie rewolucja, gdy fabryki, domy, banki przejdą w ręce ludu — cała produkcja dzięki temu faktowi będzie musiała być z gruntu przekształcona.

Handel zewnętrzny i dowóz zboża z zagranicy ustanie; obieg towarów i produktów żywnościowych zostanie zatamowany. Miasto lub kraj, objęty rewolucją, dla zapewnienia sobie środków niezbędnych do życia, będzie zmuszony przekształcić całkowicie swą wytwórczość. Jeżeli nie potrafi tego uczynić—zginie.—Jeżeli tego dokona, będzie to znak, że rewolucja została przeprowadzona w całokształcie życia ekonomicznego.

Dowóz produktów żywności skurczy się, przy równoczesnym wzroście spożycia. Trzy miljony Francuzów, pracujących

w przemyśle wywozowym, pozostaną bez pracy, brak będzie tysiąca przedmiotów, które Francja otrzymuje z zagranicy, produkcja przedmiotów zbytku zostanie chwilowo wstrzymana; — cóż uczynią mieszkańcy, by nie zginąć z głodu za parę miesięcy?

Gdy zasoby żywności zaczną się wyczerpywać, większość obywateli zabierze się, oczywiście, do uprawy ziemi. Trzeba będzie w Paryżu samym i jego okolicach zająć się rolnictwem w połączeniu z produkcją przemysłową, zaniechać wytwarzania tysięcy drobnych artykułów zbytku, aby zdobyć rzecz najniezbędniejszą — chleb.

Paryżanie zatem zajmą się rolnictwem, nie na wzór, oczywiście, włościanina, który ciężką pracą zdobywa zaledwie liche utrzymanie, lecz zwrócą się do metod uprawy intensywnej, ogrodniczej, z zastosowaniem na szeroką skalę wszelkich udoskonaleń i maszyn, które człowiek wynalazł i może wynaleźć. Będą pracować na roli, lecz nie jak bydlęta juczne; złotnik paryski nie zgodziłby się na to. Zreorganizują uprawę ziemi i to nie w ciągu dziesiątek lat, lecz natychmiast, w ogniu walki rewolucyjnej, inaczej zostaną pokonani przez wrogów.

Mając na swych usługach wiedzę, dokonają tego w sposób rozumny. Zorganizowani w grupy, oddawać się będą pracy z takim zapałem, jaki ongiś, w czasie W. Rewolucji, ożywiał rzesze, które pracowały na polu Marsowem dla przygotowania Święta Federacji. Praca na roli, zorganizowana umiejętnie, dawać może istotnie dużo zadowolenia, gdy nie przeciąga się do wyczerpania sił, gdy człowiek ulepsza narzędzia i czyni wynalazki, mając świadomość, że jest pożytecznym członkiem społeczeństwa.

Wypadnie zatem jąć się uprawy roli. Ale obok tego trzeba będzie wytwarzać tysiące przedmiotów, które przywykliśmy sprowadzać z zagranicy. A nie zapominajmy, że dla mieszkańca terytorjum, objętego rewolucją, „zagranicą" będą wszystkie miejscowości, które nie dały się porwać prądowi rewolucyjnemu. Tak w r. 1793 i 1871 „zagranica" zaczynała się dla Paryża tuż przy jego bramach. Spekulant zbożowy z sąsiedniego miasteczka gnębił głodem biedaków paryskich równie dobrze, a nawet lepiej, niż hordy niemieckie, sprowadzone na terytorjum francuskie przez spiskowców wersalskich. Trzeba będzie umieć obejść się bez tej „zagranicy". I niewąt-

pliwie obejdzie się. Francja wynalazła cukier buraczany, gdy, wskutek blokady kontynentalnej, ustał dowóz cukru trzcinowego. Gdy w czasie oblężenia zabrakło w Paryżu saletry, znaleziono ją w piwnicach. Czyżbyśmy mieli okazać się gorsi od naszych dziadów, którzy stawiali pierwsze zaledwie kroki na polu nauki?

Bo rewolucja jest czemś więcej, niż zburzeniem danego ustroju. Jest to zbudzenie umysłu ludzkiego, spotęgowanie jego wynalazczości, dziesięciokrotnie, stokrotnie. Jest to świt nowej nauki, nauki Laplaców, Lamarcków, Lavoisierów.

Jest to rewolucja umysłów, — więcej nawet, niż instytucyj.

A tymczasem mówią nam o powrocie do dawnych naszych zajęć, tak jakgdyby chodziło o powrót do domu z przechadzki po sąsiednim lesie.

*

* *

Sam fakt zniesienia własności prywatnej spowoduje zupełną dezorganizację całego życia ekonomicznego w fabrykach, warsztatach, kopalniach.

Rewolucja dokona tego. Niechaj tylko Paryż, objęty płomieniem rewolucji społecznej, zostanie przez rok lub dwa odcięty od reszty świata przez obrońców ustroju burżuazyjnego, a paryżanie pokażą niebawem światu co dokonać może umysł ludzki z pomocą ożywczej siły słońca, siły wiatru, który oczyszcza atmosferę oraz tajemniczych sił życia organicznego.

Zobaczymy wówczas, jak posunie się sprawa zapewnienia dwóm miljonom istot inteligentnych żywności, odzieży, mieszkania i możliwego dobrobytu, tam, gdzie skupiają się najróżnorodniejsze, wzajem uzupełniające się, gałęzie przemysłu, przy podnoszącym ducha nastroju rewolucyjnym.

Nie snujemy bynajmniej utopji. Wystarczy zastosować rzeczy już znane, wypróbowane i uznane, zapłodnione przez śmiały podmuch rewolucji, przez samorzutny poryw mas ludowych.

XVII. ROLNICTWO.

Ekonomji politycznej często stawiano zarzut, że wszystkie swe wnioski wyprowadza z niewątpliwie fałszywego założenia, iż jedynym czynnikiem, pobudzającym człowieka do wytężenia swych sił produkcyjnych, jest, ciasno rozumiany, interes osobisty.

Zarzut ten jest zupełnie słuszny. Epoki wielkich odkryć i prawdziwego postępu w dziedzinie przemysłu, przypadają właśnie na czasy, kiedy ludzie najwięcej marzyli o szczęściu powszechnem, a najmniej myśleli o zbogaceniu osobistem. Wielcy badacze i wynalazcy pragnęli przedewszystkiem wyzwolić ludzkość i gdyby Watt, Stephenson, Jacquard (wynalazcy maszyny parowej, parowozu i warsztatu tkackiego) i inni mogli przewidzieć jaką straszną nędzę wśród klas pracujących spowodują owoce ich bezsennych nocy, spaliliby niewątpliwie swe plany i poniszczyli modele.

Również fałszywe jest i drugie założenie ekonomji politycznej, mianowicie zasada, że aczkolwiek często zdarzają się w niektórych gałęziach przemysłu wypadki nadprodukcji, to jednak naogół społeczeństwo nigdy nie będzie posiadało dostatecznej ilości dóbr dla zaspokojenia potrzeb wszystkich i że dzięki temu człowiek zawsze będzie zmuszony do sprzedawania swej siły roboczej za płacę najemną. Milczące przyjęcie tego przypuszczenia za pewnik odnajdujemy u podstaw wszystkich teoryj, wszystkich rzekomych „praw", któremi nas raczą ekonomiści.

Tymczasem jest rzeczą pewną, że gdyby jakieś społeczeństwo cywilizowane zastanowiło się nad potrzebami wszystkich swych członków oraz rozważyło jakie posiada środki dla ich zaspakajania, to przekonałoby się, że, zarówno w zakresie rolnictwa jak i przemysłu, istnieje zupełna możność zaspokojenia wszystkich potrzeb, pod warunkiem, że środki użyte będą w sposób umiejętny na pokrycie potrzeb rzeczywistych.

Nikt nie może zaprzeczyć, że, w zastosowaniu do przemysłu, jest to pewnik niezbity. Dość jest zapoznać się z metodami, jakie stosują wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe dla dobywania węgla i rud, fabrykacji stali i wyrobów stalowych, sporządzania tkanin i t. p. aby przekonać się, że co do produ-

któw kopalnianych i wyrobów fabrycznych żadnej wątpliwości pod tym względem być nie może. Już obecnie moglibyśmy zwiększyć produkcję czterokrotnie, zaoszczędzając przytem znaczną ilość pracy.

Co do nas, to idziemy dalej. Twierdzimy, mianowicie, że w takiem samem położeniu znajduje się rolnictwo, że rolnik, podobnie jak przemysłowiec, ma już dziś w swem ręku możność zwiększenia produkcji rolnej czterokrotnie, jeżeli nie dziesięciokrotnie i że uczynić to może w każdej chwili, gdy odczuje tego potrzebę. Można powiększyć czterokrotnie produkcję zboża i owoców w ciągu roku lub dwóch przy społecznej organizacji pracy.

Gdy mowa o rolnictwie, ma się zwykle na myśli włościanina, pochylonego nad pługiem, rzucającego w rolę na chybił-trafił ziarno lichego gatunku i oczekującego z trwogą, co przyniesie „dobry" lub „zły" rok. W wyobraźni naszej widzimy rodzinę włościańską, zapracowaną od świtu do nocy za nędzny barłóg i chleb suchy. Słowem przedstawiamy sobie włościanina jeszcze zawsze jako „dzikie zwierzę" („la bête fauve"), o którem pisał La Bruyère w XVIII-ym stuleciu.

Gdy się chce ulżyć doli tego człowieka, to conajwyżej ma się na myśli obniżenie podatków i renty dzierżawnej. Nikt nie ma odwagi, wyobrazić sobie choćby w myśli, włościanina, któryby wyprostował wreszcie swe zgarbione barki, używał wczasów i, pracując po kilka godzin dziennie, produkował tyle, iżby wystarczyło dla stu ludzi prócz jego rodziny. Socjaliści nie odważają się przekroczyć w swych najśmielszych marzeniach wzorów gospodarki wielkich ferm amerykańskich, która w gruncie rzeczy nie wyszła z niemowlęctwa sztuki rolniczej.

Rolnik spółczesny ma już szersze i dalej sięgające koncepcje. Niespełna hektar ziemi starczy mu do produkowania dostatecznej żywności roślinnej dla jednej rodziny. Potrafi hodować dwadzieścia pięć sztuk bydła na takiej przestrzeni, jaka dawniej była niezbędna dla wykarmienia jednej sztuki. Rolnik dzisiejszy usiłuje sam tworzyć glebę i wyzwala się z pod wpływu pór roku i klimatu przez ogrzewanie powietrza i ziemi dookoła młodej rośliny. Słowem, dąży do produkowania bez nadmiernego wysiłku na przestrzeni jednego hektara tego, co dawniej zbierano conajmniej z pięćdziesięciu hekta-

rów i to z daleko większym nakładem pracy. Twierdzi przytem, że produkcja płodów rolnych w ilości dostatecznej dla zaspokojenia potrzeb ogółu, wymagałaby od każdego nie więcej pracy, niż ta, która zdolna jest sprawić przyjemność i zadowolenie.

Taka jest tendencja rolnictwa spółczesnego.

Podczas gdy uczeni, — z Liebigiem, twórcą chemicznej teorji rolnictwa, na czele — popełniali częstokroć grube błędy w swych zapędach teoretycznych rolnicy nieoświeceni, otworzyli nowe horyzonty dla dobrobytu ludzkości. Warzywnicy z pod Paryża, Troyes, Rouanu, ogrodnicy angielscy, fermerzy flamandzcy, rolnicy z wysp Jersey, Guernesey i Scilly odsłonili przed nami widnokręgi rozległe, nieobjęte dla naszego wzroku.

Dawniej rodzina włościańska, aby wyżyć z plonów rolnych, a wiadomo, jak żyją włościanie, potrzebowała 7-8 hektarów. Obecnie wobec niesłychanej wydajności ziemi przy kulturze intensywnej — trudno nawet oznaczyć minimum obszaru, niezbędnego dla wyżywienia jednej rodziny i zapewnienia jej dobrobytu. Minimum to kurczy się z dniem każdym. I gdyby nas zapytano, ilu ludzi może dostatnio wyżyć z plonów jednego kilometra kwadratowego, nie umielibyśmy dać na to odpowiedzi. Szybkie postępy rolnictwa w czasach ostatnich bezustanku liczbę tę zwiększają.

Już w latach dziewięćdziesiątych XIX stulecia można było twierdzić, że stumiljonowa ludność mogłaby doskonale wyżyć z płodów ziemi francuskiej, nic nie importując. Atoli wobec ostatnich postępów rolnictwa, zarówno we Francji jak w Anglji, i wobec odsłaniających się dzięki temu nowych horyzontów, możemy powiedzieć, że dla wyżywienia stu miljonów ludności terytorjum francuskie jest za obszerne. Gdyby wszędzie ziemię uprawiano w sposób, stosowany już w wielu miejscowościach nawet przy najmniej urodzajnej glebie, to 100 miljonów ludzi na 50 miljonach hektarów terytorjum Francji, stanowiłoby nieznaczną tylko część ludności, którą obszar ten mógłby wyżywić. Gęstość zaludnienia rośnie w miarę tego, jak człowiek stawia ziemi większe żądania.

W każdym razie uważać możemy za rzecz dowiedzioną— jak to zobaczymy dalej, — że gdyby Paryż i dwa sąsiednie departamenty (Seine i Seine-et-Oise) zorganizowały się jutro w komunę anarchistyczną, w której wszyscy oddawaliby się

pracy ręcznej i gdyby świat cały nie dostarczał im ani jednego korca zboża, ani jednej sztuki bydła, ani jednego kosza owoców—to i tak z uprawy ziemi tych dwóch departamentów komuna miałaby dosyć zboża, mięsa, warzyw, a nawet wytwornych owoców dla całej ludności miast i wsi.

Twierdzimy nadto. że ogólny wydatek pracy byłby daleko mniejszy niż ten, jakiego dziś wymaga wyżywienie tejże ludności zbożem z Auwernji lub Rosji, warzywami przywożonemi z zewsząd po trochu i owocami z Południa.

Nie chcemy przeto powiedzieć, iż wszelka wymiana powinna być zniesiona i że każda miejscowość powinna produkować u siebie wszystko, nawet to, co z powodu warunków klimatycznych wymagałoby sztucznej hodowli. Pragnęliśmy tylko zwrócić uwagę na fakt, że teorja wymiany, w postaci w jakiej bywa dziś głoszona, jest mocno przesadzona. Znaczna część uskutecznianych „wymian" jest bezużyteczna, a nawet szkodliwa. Sądzimy pozatem, że nikt nie brał dotąd w rachubę sumy pracy, jaką zużywają południowcy na uprawę winnic, lub chłopi rosyjscy i węgierscy na uprawę zbóż, nawet na urodzajnej glebie. Przy ich obecnej gospodarce ekstensywnej tracą bez porównania więcej wysiłków, niż wymaga wyprodukowanie tego samego plonu przy natężonym systemie gospodarki, nawet przy gorszych warunkach klimatu i gleby.

Niepodobieństwem przytoczyć wszystkich faktów, na jakich się opieramy. — Jesteśmy zmuszeni skierować czytelnika po bliższe szczegóły do innej naszej pracy, wydanej po angielsku.[1]) Tym zaś,którzy poważnie interesują się tą kwestją

---

[1]) P. Kropotkin „Fields, Factories and Workshops or industry combined with agriculture and brain work with manual work" (Pola, fabryki i warsztaty, czyli przemysł, skombinowany z rolnictwem, a praca umysłowa z pracą ręczną). II wyd. 1912 Londyn (istnieje przekład francuski, niemiecki, rosyjski).

Zauważmy, że, kiedy wygłosiłem powyższe poglądy w Anglji (w r. 1888-90 w „Nineteenth Century"), to nietylko nie spotkały zaprzeczeń, lecz przeciwnie zostały podwierdzone przez redaktora Czasopisma Ogrodniczego ogrodnika-praktyka, który nawet posunął się jeszcze dalej odemnie. Przekonany jestem, że również i ogrodnicy francuscy podzielają to zapatrywanie.

radzimy zapoznać się z odnośną literaturą, zwłaszcza francuską.*)

Mieszkańcom wielkich miast, którzy nie mają pojęcia o tem, czem może być rolnictwo, radzimy wybrać się pieszo w okolice podmiejskie, by zapoznać się z pracą ogrodników tamtejszych. Nowe widnokręgi otworzą się przed nimi. Zdadzą sobie sprawę z tego, czem mogłoby być rolnictwo europejskie i zrozumieją, jaką siłą rozporządzać będzie rewolucja społeczna, gdy posiądzie tajemnicę otrzymywania z ziemi wszystkiego, co od niej zażąda.

Kilka faktów wystarczy dla wykazania, że twierdzenia nasze nie są bynajmniej przesadzone. Uważamy za pożądane poprzedzić je uwagą ogólną.

Wiadomo, w jak smutnem położeniu znajduje się rolnictwo europejskie. O ile rolnika nie grabi właściciel ziemi, to gnębi go państwo. Jeśli zaś państwo czyni to w rozmiarach nieznacznych, to opanowuje go lichwiarz, który za pomocą weksli sprowadza włościanina do roli dzierżawcy gruntu, należącego w rzeczywistości do bankierów.

Obszarnik, państwo i bankier niszczą rolnika przez rentę, podatki i procenty. Grabież ta w różnych krajach nie jest jednakowa, lecz nigdy nie wynosi mniej od ćwierci produkcji brutto włościanina, a często dosięga nawet połowy. We Francji rolnictwo wypłaca państwu 44% produkcji brutto.

To nie wszystko. Udział obszarnika i państwa wciąż wzrasta. Gdy włościaninowi, za cenę niepojętych wysiłków, wynalazczości i przedsiębiorczości, uda się otrzymać większe zbiory — to haracz, nakładany przez państwo, obszarników i banki odpowiednio wzrasta. O ile rolnik zdwoi liczbę hektolitrów z hektara, natychmiast zostanie dwukrotnie podniesiony czynsz dzierżawny, a z nim podatki, które państwo pośpieszy dalej podnieść w razie wzrostu cen. I tak dalej. Wszędzie rolnik pracuje 12-16 godzin dziennie i wszędzie te trzy sępy zabierają mu wszystko, co mógłby odłożyć i użyć dla udoskonalenia swej gospodarki. Tu jest przyczyna zastoju rolnictwa.

Jedynie w wypadkach zupełnie wyjątkowych, gdy trzy sępy pokłócą się pomiędzy sobą, lub przy nadzwyczajnych wy-

*) **Przyp. Red.** Opuszczamy listę prac z dziedziny ogrodnictwa, przytoczoną w oryginale, ponieważ pochodzą z lat 1880-90.

siłkach i inicjatywie drobnego rolnika udaje mu się niekiedy uczynić krok naprzód. A jeszcze nie wzięliśmy pod uwagę daniny, którą spłacać musi przemysłowcowi: każdą maszynę, rydel, czy beczkę sztucznego nawozu przepłaca trzy lub czterokrotnie. Niezapominajmy też o pośrednikach, którzy zabierają lwią cześć ceny sprzedażnej płodów rolnych.

Oto dlaczego w ciągu wieku XIX, wieku wynalazków i postępu, rolnictwo rozwijało się tylko w niewielu miejscowościach, przypadkowo, niesystematycznie.

Na szczęście gdzieniegdzie znajdowały się zawsze oazy, zapomniane na razie przez sępów-wyzyskiwaczy. Tu właśnie dowiadujemy się, co dać może ludzkości gospodarka intensywna. Przytoczmy parę przykładów.

W prerjach amerykańskich (które wykazują zresztą skromną wydajność 7-12 hektolitrów z hektara, a przytem perjodyczne posuchy często szkodzą zbiorom), pięciuset ludzi, pracując przez osiem miesięcy w roku, wytwarza żywność dla pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Rezultaty te osiąga się dzięki wielkiej ekonomizacji pracy. Na tych rozległych, nieobjętych dla oka, równinach, praca przy orce, żniwach i młotce zorganizowana jest niemal po wojskowemu: niema niepotrzebnego chodzenia, próżnego tracenia czasu. Wszystko odbywa się z dokładnością parady wojskowej.

Jest to wielka gospodarka ekstensywna, która bierze rolę w stanie takim, jakim ją daje przyroda, nie dążąc do jej udoskonalenia. Gdy ziemia da wszystko, co może, porzucają ją, szukając gdzieindziej dziewiczych gruntów, które z kolei wyjałowią.

Ale istnieje także gospodarka napięta, w której coraz większy udział biorą maszyny: dąży ona przedewszystkiem do dobrego uprawiania ograniczonej przestrzeni, użyźniania jej, skoncentrowania na niej pracy i otrzymania możliwie najobfitszego zbioru. Ten rodzaj gospodarki upowszechnia się z rokiem każdym. Gdy w wielkich majątkach południowej Francji i na urodzajnych ziemiach Wschodnich Stanów Ameryki przeciętny plon wynosi 10—12 hektolitrów z hektara, to na północy Francji drobni fermerzy otrzymują regularnie 46—50 hektolitrów, a czasem 56. Dla wyżywienia człowieka w ciągu roku wystarcza więc $^1/_{12}$ hektara.

Im bardziej natężona jest kultura ziemi, tem mniej pracy

wymaga każdy hektolitr pszenicy. Maszyna zastępuje człowieka w pracach przygotowawczych, które uskutecznia się raz na zawsze, — jak meljoracje, drenowanie gleby, usunięcie kamieni — a które podwajają zbiory w przyszłości. Czasami wystarcza głęboka orka, by otrzymać z ziemi średniourodzajnej, bez nawożenia, — doskonałe zbiory. Metoda ta była stosowana przez dwadzieścia lat w Rothamstead pod Londynem.

Ale nie chcemy zapuszczać się w romanse rolnicze. Zatrzymajmy się na urodzajach 40 hektolitrów z hektara, nie wymagających wyjątkowej gleby, lecz jedynie umiejętnej uprawy. Zobaczmy konsekwencje takiej wydajności gruntu.

Mieszkańcy (w liczbie 3.600.000) dwóch departamentów Seine i Seine-et-Oise spożywają rocznie niespełna 8 miljonów hektolitrów zboża. Dla otrzymania tej ilości, przy przyjętej przez nas normie wydajności ziemi, należałoby uprawiać 200 tysięcy hektarów z 610.000, któremi rozporządzają.

Oczywiście, że nie będą posługiwać się szpadlem. Wymagałoby to zbyt wiele czasu. (240 dni pięciogodzinnych na hektar). Podniosą kulturę ziemi raz na zawsze: wydrenują to, co potrzeba, zrównają grunt, usuną kamienie, choćby ta praca przygotowawcza miała pochłonąć pięć miljonów dni pięciogodzinnych, t. j. przeciętnie 26—27 dni na hektar.

Następnie zorzą ziemię za pomocą pługa parowego, co wyniesie 4 dni pracy na hektar. Poświęcą jeszcze po cztery dni na powtórne przeoranie. Nasion nie wezmą na oślep, ale uprzednio rozgatunkują je za pomocą odpowiedniej maszyny. Nie będą ich też rzucać na wiatr, lecz posieją rzędami. I na to wszystko zużyją nie więcej niż 25 dni pięciogodzinnych na hektar, jeśli praca odbywać się będzie w warunkach pomyślnych.

A jeżeli w ciągu trzech lub czterech lat poświęcą około 10 miljonów dni na ulepszenie kultury ziemi, to zapewni im to zbiory 40—50 hektolitrów z hektara przy pracy do połowy zredukowanej.

Zatem 15 miljonów dni pracy dostarczy chleba 3.600.000 ludności. Przytem wszystkie rodzaje pracy będą mogły być z łatwością wykonywane przez ludzi, nie mających stalowych mięśni i którzy uprzednio nie pracowali nigdy na roli. Inicjatywa i podział ogólny prac będzie w ręku tych, którzy wiedzą, czego wymaga ziemia. Co się tyczy samej pracy, to paryżanin lub paryżanka nie są tak słabi lub niezręczni, aby w ciągu kil-

kunastu godzin nie nauczyć się kierować maszyną lub spółdziałać przy robotach rolnych.

Przy obecnym chaosie społecznym Paryż i jego okolice liczą zazwyczaj około 100.000 ludzi pozbawionych pracy w swych zawodach (nie uwzględniając próżniaków z wyższych sfer społecznych). Siły, które przy obecnej organizacji społecznej giną bezużytecznie, wystarczyłyby zatem, aby przy umiejętnej uprawie wytworzyć żywność dla owych 3—4 miljonów mieszkańców wymienionych dwóch departamentów.

Powtarzamy raz jeszcze, że to nie jest utopja. Nie wspomnieliśmy jeszcze o istotnie intensywnej kulturze, dającej rezultaty daleko bardziej zdumiewające. Nie mówiliśmy dotąd o doświadczeniach Haletta, który po trzechletnich próbach z jednego ziarna otrzymywał wiązki kłosów z paroma tysiącami ziaren.*)

Pozwoliłoby to otrzymać zboże dla rodziny z pięciu osób na przestrzeni stu metrów kwadratowych. Nie opieramy jednak naszych obliczeń na wynikach Haletta, ale na tem, co już istnieje u wielu rolników we Francji, w Anglji, w Belgji, we Flandrji i t. d. i co możnaby urzeczywistnić w każdym czasie przy tem doświadczeniu i wiedzy, jaka została nabyta nietylko na działkach doświadczalnych, ale w praktyce rolnej na wielką skalę.

Bez rewolucji jednak reforma ta nie da się dokonać w bliskiej przyszłości, gdyż nie jest w interesie właścicieli ziemi i kapitału; włościanin zaś, dla którego byłaby korzystna, nie posiada ani wiedzy, ani pieniędzy, ani czasu na wkłady, jakich kultura intensywna początkowo wymaga.

Społeczeństwo spółczesne do tego jeszcze nie dorosło. Ale, gdy paryżanie ogłoszą komunę anarchistyczną, to zmusi ich do tego siła konieczności. Gdy grozić będzie brak chleba, nie będą wszak tak niemądrzy, by w dalszym ciągu wyrabiać cacka zbytkowne (które również dobrze fabrykuje Wiedeń, Warszawa, Berlin).

Zresztą praca rolna przy pomocy maszyn stanie się niebawem najbardziej pociągającem i przyjemnem ze wszystkich zajęć.

*) Przyp. **Red.** Doświadczenia te Kropotkin opisuje szczegółowo w swej książce „Fields, Factories and Workshop", str. 178 i następne. Wyd. II, 1912.

„Dość już jubilerstwa! Dość strojenia lalek!" — powiedzą robotnicy paryscy. „Pójdziemy nabrać hartu w pracy na roli — znajdziemy w niej nowe siły, żywe wrażenia przyrody i „radość życia", zagubioną w ponurych warsztatach przedmieść".

W wiekach średnich pastwiska alpejskie, bardziej, niż rusznice, pomogły Szwajcarom uwolnić się od królów i panów. Rolnictwo spółczesne pozwoli miastom powstańczym obronić swą wolność przed zjednoczoną burżuazją.

Załatwiwszy sprawę zboża — przejdźmy do hodowli bydła.

Anglicy spożywają naogół dużo mięsa. Na każdego dorosłego przypada rocznie około 100 kilo, co, w założeniu, że to wołowina, wynosi około $^1/_3$ wołu. Jeden wół na pięć osób (razem z dziećmi) stanowi więc normę zupełnie wystarczającą. Dla trzech z połową miljonów mieszkańców potrzeba zatem 700.000 sztuk rocznie.

Przy obecnym systemie pastwisk, dla wyżywienia tej ilości bydła potrzeba przynajmniej dwóch miljonów hektarów, ale już przy skromnem nawodnieniu łąk, jakie się stosuje w szerokich rozmiarach w południowo-zachodniej Francji — 500.000 hekt. starczy. Przy natężonej kulturze, przy użyciu buraków pastewnych, czwarta część tej przestrzeni, t. j. 125 tysięcy hektarów, okaże się dostateczną. Jeżeli zaś używać kukurydzy i paszę poddawać prasowaniu, tak jak czynią to Arabowie, to wystarczyłoby 85.000 hektarów.

W okolicach Medjolanu, gdzie obszar 9000 hekt. łąk jest nawodniony przez wodę ściekową, jeden hektar daje pożywienie dla 4—6 sztuk. Na niektórych zaś wyjątkowo pomyślnie położonych działkach z hektara otrzymuje się 49 tonn suchego siana, czyli paszę dla 9 krów dojnych. Trzy hektary na jedną sztukę i 9 sztuk bydła na hektar — oto punkty skrajne dzisiejszego rolnictwa.

Na wyspie Guernesey, na ogólną liczbę 4.000 hekt. ziemi ornej, około połowy zajmują pola zbożowe i ogrody. Druga połowa przeznaczona jest na pastwiska, na hektar których przypada trzy sztuki bydła, nie licząc baranów, świń i koni. Zbyteczne dodawać, że urodzajność gruntu jest potęgowana przez stosowanie wodorostów i nawozów sztucznych.

Powróćmy do naszych 3 i $^1/_2$ miljona mieszkańców Paryża

i okolicy. Przestrzeń potrzebna dla hodowli bydła z 2.000.000 h. zredukowała się, jak widzieliśmy, do 85.000. Nie będziemy się jednak opierać na danych najniższych. Weźmy te, jakie daje zwykła gospodarka intensywna. Dodajmy szczodrze ziemi dla nierogacizny, która częściowo zastępować będzie rogaciznę. Przeznaczmy zatem na hodowlę bydła 160.000 nawet 200.000 hekt., jeśli chcecie, z liczby 400.000, które pozostały po zaopatrzeniu ludności w chleb.

Poświęciwszy więc w ciągu roku dwadzieścia miljonów dni pracy, z których połowa idzie na meljoracje — zabezpieczamy się w zboże i mięso, nie licząc drobiu, nierogacizny, królików i t. p. i nie biorąc pod uwagę okoliczności, że ludność, mając piękne jarzyny w obfitości, będzie używać znacznie mniej mięsa, niż Anglicy, którzy potrawami mięsnemi zapełniają braki pożywienia roślinnego.

Dwadzieścia miljonów dni pięciogodzinnych — ileż to przypada na mieszkańca? Bardzo niewiele istotnie. Ludność 3½ miljonowa posiada 1.200.000 ludzi dorosłych płci obojga zdolnych do pracy. Dodajmy jeszcze trzy miljony dni na mleko, a drugie tyle na wszelki przypadek, a otrzymamy zaledwie 25 dni pięciogodzinnych na mieszkańca. Parę tygodni przyjemnie spędzonych na wsi zapewnią zatem trzy główne produkty żywnościowe: zboże, mięso i mleko, które dzisiaj obok mieszkania — stanowią ciągłą nieustanną troskę 9/10 ludzi.

Raz jeszcze przypominamy, że nie wkroczyliśmy w sferę fantazji. Mówimy wyłącznie o rzeczach już istniejących, wypróbowanych, na szeroką skalę.

Rolnictwo mogłoby chociażby jutro zreformować się w tym sensie, gdyby nie przeszkody natury prawno-własnościowej i ogólna niewiedza.

Rewolucja zostanie dokonana w dniu, w którym paryżanie zrozumieją, iż kwestja chleba, jest sprawą publiczną, o wiele ważniejszą od wszystkich debatów w parlamentach i radach miejskich. Paryż obejmie grunta dwóch departamentów i zacznie je uprawiać. Paryżanin, który dotychczas poświęcał jedną trzecią swego życia dla zdobycia lichej i niedostatecznej strawy, będzie ją teraz sam wytwarzał tuż pod murami miasta, kosztem kilkunastu dni zdrowej, pociągającej pracy.

Przejdźmy do warzyw i owoców. Opuśćmy Paryż i zapoznajmy się z jednym z tych zakładów ogrodniczych, które w od-

ległości kilkunastu kilometrów od różnych akademji, robią cuda, ignorowane przez uczonych ekonomistów. Zatrzymajmy się naprz. u p. Ponca, autora znanego dzieła o ogrodnictwie (Ponce. „La culture Maraîchere". Paryż 1869), który nie ukrywa dochodów, jakie mu przynosi ziemia, ale szczegółowo je opisuje.

Ponce, a szczególnie jego robotnicy pracują jak murzyni. W ośmiu uprawiają nieco ponad hektar ($^{11}/_{10}$ hekt.). Pracują niezawodnie po 12 i 15 godzin dziennie, t. j. trzy razy więcej niżby należało. Znalazłaby się tu zatem dostateczna praca dla 24 ludzi. Pan Ponce powie Wam niezawodnie, że ponieważ podatki i czynsz dzierżawny wynoszą horendalną sumę 2500 fr., a drugie tyle kosztuje go nawóz, nabywany w koszarach, zmuszony jest wyzyskiwać. „Sam będąc wyzyskiwany — muszę być wyzyskiwaczem" byłaby jego odpowiedź. Koszty jego instalacji wyniosły 30.000 fr., z czego połowa dostała się niewątpliwie kapitalistom przemysłowym i finansowym. W sumie wkład początkowy nie przewyższa 3000 dni pracy, a prawdopodobnie wynosi daleko mniej.

A teraz spójrzmy na roczne plony: 10.000 kg. marchwi, tyleż cebuli, rzodkwi i innych drobnych ogrodowizn, 3.000 sztuk kalafiorów, 5.000 koszów pomidorów, 5.000 tuzinów owoców wyborowych, 154.000 głów sałaty, słowem, 125.000 kilo ogrodowizn i owoców. **Zatem 11 tonn z hektara.**

Człowiek w ciągu roku nie spożywa warzyw i owoców ponad 300 kilo, zatem hektar takiego ogrodu zaopatruje obficie 350 osób dorosłych. A więc 24 ludzi, pracując w ciągu roku po 5 godzin dziennie, wytwarza ogrodowizn dla 350 dorosłych, czyli dla 500 mieszkańców.

Innemi słowy, przy uprawie takiej, jak u Ponca — a rezultaty jego zostały już prześcignięte — 350 ludzi winno poświęcać rocznie około 100 (103) godzin pracy każdy, aby wyprodukować warzywa i owoce dla 500 osób.

Zauważmy, iż uprawa podobna bynajmniej nie stanowi wyjątku. Stosowana już jest pod murami Paryża na przestrzeni 900 hektarów przez 5000 ogrodników. Tylko, że robotnicy ci doprowadzeni są do stanu bydła roboczego, dzięki rencie dzierżawnej, która wynosi przeciętnie 2000 fr. z hektara.

Czy fakty powyższe, które każdy może sprawdzić, nie dowodzą, że 7000 hektarów, (z 210.000, które nam pozostały) wy-

starczyłoby dla zapewnienia ludności naszych dwóch departamentów wszelkich warzyw i dostatecznej ilości owoców?

Co się tyczy ilości pracy, niezbędnej dla otrzymania tych zbiorów, to takowa wynosi, jeżeli, przyjąć za miarę pracę ogrodników — 50 miljonów dni pięciogodzinnych,t . j. około 50 dni pracy na każdego dorosłego. Czas ten jednak da się znacznie skrócić, jak zobaczymy niebawem, jeżeli stosować metody używane na wyspach Jersey i Guernesey. Zwracamy przytem uwagę, że nadmierne przepracowanie ogrodnika spółczesnego spowodowane jest głównie tem, że po większej części produkuje nowalje, których ceny dają mu możność spłacania niesłychanie wysokiego czynszu dzierżawnego — a hodowla nowalji wymaga bardzo wiele pracy. Przytem ogrodnik-przedsiębiorca, nie mając dostatecznych środków na instalację, wobec wysokich cen szkła, drzewa, żelaza, węgla, zmuszony jest wytwarzać sztuczne ciepło za pomocą nawozu, pomimo, że jest bardziej racjonalnie czerpać je z węgla w cieplarniach.

Dla otrzymania tych zbiorów bajkowych ogrodnicy są zatem zmuszeni zamieniać się w maszyny i odmawiać sobie wszelkich radości życia. W każdym razie dzielni ci pracownicy oddali ludzkości nieocenioną usługę, ucząc, że glebę można wytwarzać samemu. Używają do tego nawozu, który już dostarczył potrzebnego ciepła młodym roślinkom w inspektach. Ilość ziemi ogrodowej, którą w ten sposób otrzymują, jest tak znaczna, że część jej co roku sprzedają, gdyż w przeciwnym razie poziom ogrodów podnosiłby się corocznie o 2 do 3 cent. Produkowanie gleby jest wśród ogrodników tak rozpowszechnione, że do kontraktów z właścicielami gruntu wprowadzają zastrzeżenie prawa wywiezienia ziemi przy opuszczaniu dzierżawionej działki (o fakcie tym wspomina Barral w artykule o warzywnikach (maraîchers) w słowniku rolniczym — Dictionnaire d'Agriculture). Gleba, wywożona na wozach razem z meblami i ramami inspektowemi—oto odpowiedź rolników-praktyków — na wywody Ricarda o rencie, jako środku wyrównania różnic wartości naturalnej gruntu. Ogrodnicy francuscy trzymają się maksymy: „ziemia warta tyle — ile wart człowiek".

Pomimo to ogrodnicy z pod Paryża i Rouanu dla otrzymania takich samych rezultatów, mozolą się trzy razy więcej, niż ich bracia z Guernesey, którzy, stosując w rolnictwie metody przemysłowe, wytwarzają sztucznie nietylko glebę, ale także i klimat.

Cała kultura ogrodnicza sprowadza się w istocie do dwóch zasad:

1) Siać pod szkłem, pędzić młode roślinki w żyznej ziemi na ograniczonej przestrzeni, gdzie można je dogodnie pielęgnować. Przesadzać wówczas, gdy korzonki rozrosną się. Postępować, słowem, tak, jak z młodemi zwierzątkami: otaczać opieką za młodu.

2) Dla otrzymania wczesnych zbiorów, ogrzewać grunt i powietrze przez pokrywanie roślin szkłem w formie ram, lub kołpaka, oraz przez wytwarzanie ciepła w gruncie za pomocą fermentacji nawozu.

Przesadzanie i temperatura wyższa od temperatury powietrza — oto istota kultury ogrodniczej przy sztucznem wytwarzaniu gleby. Pierwszy z tych warunków, jak widzieliśmy, jest już stosowany i wymaga tylko drobnych udoskonaleń. Dla wypełnienia drugiego trzeba ogrzewać ziemię i powietrze, zastępując nawóz przez ciepłą wodę, krążącą w rurach w inspektach, lub cieplarniach.

Ongiś cieplarnie były zbytkiem bogaczy dla hodowli roślin zwrotnikowych i ozdobnych. Dzisiaj rozpowszechniają się ogólnie. Na wyspach Jersey i Guernesey całe hektary znajdują się pod szkłem, obok drobnych cieplarń, które spotyka się przy każdej fermie w każdym ogrodzie. Również i w okolicach Londynu poczynają pokrywać szkłem całe pola, a tysiące małych cieplarń powstaje corocznie na przedmieściach. Spotkać je można w różnych odmianach, poczynając od solidnych gmachów o murach z granitu, kończąc na biednych drewnianych szopach ze szklanym dachem. Koszt tych ostatnich, pomimo całego wyzysku kapitalistycznego nie przewyższa 4 — 5 fr. na metr kw. Opala się je lub nie opala wcale (wystarcza przestrzeń zamknięta, jeśli nie chodzi o nowalje) i hoduje się już nie winogrona lub kwiaty tropikalne, ale kartofle, marchew, groszek i t. p.

W ten sposób wyzwalamy się od wpływu klimatu. Unika się przytem ciękiej pracy układania nawozu warstwami i nie-

potrzeba nabywać takiej masy nawozu, którego cena wzrasta oczywiście, wraz z zapotrzebowaniem. Wynika stąd oszczędność pracy ludzkiej: dla uprawy hektara pod szkłem i otrzymywania zbiorów, niemniejszych, jak u Ponca, potrzeba 7 — 8 ludzi. Na wyspie Jersey 7 ludzi, pracując niespełna 60 godzin tygodniowo, otrzymują na minimalnych przestrzeniach plony, które dawniej wymagały całych hektarów.

Moglibyśmy przytoczyć wiele zdumiewajcych szczegółów. Ograniczymy się do jednego przykładu. W Jersey 34 wyrobników pod kierunkiem ogrodnika uprawia cztery hektary pod szkłem (gdyby pracowali po 5 godzin, potrzebaby było 70 ludzi). Otrzymują następujące zbiory:

25.000 kilo winogron w początkach maja.
80.000 „ pomidorów,
30.000 „ kartofli,
6.000 „ groszku,
2.000 „ fasoli.

Ogółem 143.000 kilo owoców i warzyw, oprócz drugiego dość pokaźnego zbioru, ogromnej cieplarni roślin ozdobnych, oraz różnych roślin z grządek pomiędzy cieplarniami.

Sto czterdzieści trzy tonny owoców i warzyw wystarcza na obfite zaopatrzenie przez cały rok 1500 ludzi. Otrzymanie ich wymaga 21.000 pół-dni pracy, t. j. 210 godzin rocznie na osobę, jeśli liczyć 500 dorosłych. Dochodzi praca przy wydobyciu 1000 tonn węgla rocznie dla opalania cieplarń na przestrzeni 4 hektarów, co czyni na osobę dodatkowo 6 — 7 godzin rocznej pracy, gdyż średnia wydajność górnika angielskiego wynosi 3 tonny na dzień dziesięciogodzinny.

Gdyby więc ludność dorosła poświęcała hodowli jarzyn i owoców pod szkłem corocznie z 50 pół-dni pracy, to wszyscy mieliby wczesne jarzyny i owoce, drugi zaś zbiór dawałby masę zwykłych jarzyn, które w zakładach Ponca wymagają pięćdziesięciu dni pracy.

Wszystko to nie są artykuły pierwszej potrzeby. Ale, jakeśmy już zauważyli, cieplarnie wykazują tendencje do zamieniania się w zwykłe ogrody warzywne pod szkłem. Cieplarnie najprostszej budowy, lekko ogrzewane w ciągu trzech miesięcy, dają bajeczne zbiory jarzyn, naprz. 450 hektolitrów kartofli z hektara w końcu kwietnia. Poczem po użyźnieniu ziemi, o-

trzymuje się nowe zbiory od maja do końca października, dzięki temperaturze tropikalnej, jaka panuje pod szkłem.

Obecnie 450 hektolitrów kartofli otrzymuje się z przestrzeni conajmniej 20 hektarów, które trzeba zorać, a potem okopywać. Wiemy, ile to wymaga pracy. W cieplarni początkowo metr kw. pochłania pół dnia pracy, ale ta praca przygotowawcza zaoszczędza połowę, a nawet trzy czwarte pracy późniejszej.

Oto fakty, oto rezultaty otrzymane, sprawdzone, ogólnie znane, z któremi każdy może się zaznajomić, zwiedzając zakłady ogrodnicze. Fakty te wystarczają, by dać pojęcie o tem, co może dać ziemia, gdy obchodzić się z nią umiejętnie.

Mówiliśmy dotąd wyłącznie o metodach już znanych, stosowanych w praktyce. Natężona uprawa, nawadnianie pól wodą ściekową, metody kultury ogrodniczej, hodowla cieplarniana, — wszystko to w rzeczywistości już istnieje. Leonce de Lavergne miał słuszność, gdy przepowiadał jeszcze przed kilkudziesięciu laty, że rolnictwo dąży bezustannie ku zmniejszaniu przestrzeni uprawianej, ku zużywaniu na danej przestrzeni coraz więcej pracy, ku stwarzaniu sztucznie gleby, wszystko to dla dania roślinom pomyślnych warunków rozwoju.

Początkowo bodźcem w tym kierunku było spieniężanie wczesnych ogrodowizn. Stopniowo jednak metody uprawy intensywnej rozpowszechniły się do tego stopnia, że obecnie znajdują zastosowanie nawet względem zwykłych jarzyn, gdyż pozwalają otrzymywać większe plony mniejszym nakładem pracy i ryzyka.

Przekonaliśmy się w rzeczy samej, że otrzymanie kartofli w kwietniu w prostych inspektach, jakie spotyka się na wyspie Jersey wymaga znacznie mniej pracy, niż uprawa na otwartem polu na przestrzeni pięciokrotnej, którą trzeba skopać, podlewać i t. d. Powtarza się tu to samo, co z narzędziami i z maszynami. Doskonalsze narzędzia dają możność zaoszczędzenia pracy, ale początkowo nabycie ich wymaga większego wkładu.

Wyczerpujących danych, co do uprawy ogrodowizn pod szkłem, brak jeszcze. Jest to, bądź co bądź, metoda nowa, stosowana jeszcze w nieznacznych rozmiarach. Wszakże co do

jednego artykułu zbytkownego — winogron posiadamy dostateczne dane, ponieważ uprawa winogron pod szkłem jest już wypróbowana od paru dziesiątków lat. Liczby te są wymowne.

W północnej Anglji, na pograniczu Szkocji, gdzie węgiel z powodu pobliskich kopalń jest tani, dawno już hodują winogrona w cieplarniach. Dojrzewają one w styczniu. Jeszcze za czasów Napoleona III kupcy nabywali te winogrona po 25 fr. za funt, by je dostarczać na dwór francuski po cenie podwójnej. Z czasem, pod wpływem konkurencji, cena spadła do 3 fr. Winogrona te całemi tonnami zalewają Paryż i Londyn. Dzięki taniemu węglowi i umiejętnej hodowli winogrona dojrzewają w zimie na północy i — w przeciwieństwie do innych owoców — wysyłane bywają na południe. W maju cena winogron angielkich wynosi już tylko 2 fr. i to utrzymuje się na tym poziomie, jak ongiś cena 50 fr., tylko dzięki słabej konkurencji. W październiku winogrona londyńskie, hodowane zawsze pod szkłem przy nieznacznem ogrzewaniu sztucznem, nie są droższe od winogron z winnic szwajcarskich i nadreńskich. Cena ta jest jeszcze wyższa o jakieś dwie trzecie, niżby należało, a to skutkiem wysokiej renty dzierżawnej, oraz kosztów instalacji i ogrzewania, obłożonych ogromnym haraczem na rzecz przemysłowców i pośredników. Zatem doskonałe winogrona jesienią pod szerokością Londynu, nawet przy jego niebie zamglonem, otrzymuje się niemal za darmo. Tak naprz. mieliśmy co roku na jednem z przedmieść Londynu w marnej budzie ze szkła i cementu rozmiarów 2 × 3 metrów, opartej o nasz domek, około 50 funtów wyśmienitych winogron z paroletniego krzewu*). Budynek był tak lichy, że deszcz kapał przez dach, a nocą panowała temperatura zewnętrzna. Oczywiście, że nie ogrzewało się go, gdyż byłoby to samo, co ogrzewać ulicę. Pielęgnowanie krzewu polegało na przycięciu go raz do roku, co zajmuje pół godziny czasu, oraz na przywiezieniu taczki nawozu, dla obłożenia korzeni, które znajdowały się nazewnątrz budynku w gruncie gliniastym.

Jeżeli wziąć pod uwagę pracę, którą pochłaniają winnice na brzegach Renu lub jeziora Genewskiego, gdzie na stokach górskich trzeba budować tarasy, nosić nawóz a często i ziemię

*) Jest to odmiana gatunku hamburskiego doskonale przystosowana do chłodów — rezultat pracy dwóch czy trzech pokoleń ogrodników.

do wysokości 200 lub 300 stóp — to dojdziemy do wniosku, że w sumie więcej pracy wymaga uprawa winogron w Szwajcarji i w Nadrenji, niż hodowla pod szkłem w okolicach Londynu. Na pierwszy rzut oka wydawać się to może paradoksalne. Przywykliśmy myśleć, że na południu Europy krzewy winne rosną same z siebie i wcale nie wymagają pracy. Ogrodnicy specjaliści potwierdzają nasze mniemanie. „Uprawa winogron w Anglji jest najbardziej korzystną" — powiada ogrodnik-praktyk, redaktor angielskiego czasopisma ogrodniczego. To samo daje się wywnioskować z porównania cen.

Tłomacząc te fakty na język komunistyczny, możemy powiedzieć, że 20 godzin pracy na rok, poświęconych hodowli kilkunastu krzewów winnych pod szkłem w jakimkolwiek klimacie Europy zapewniłoby nam dostateczną ilość winogron dla użytku własnego i naszych przyjaciół. Stosuje się to nietylko do krzewów winnych, ale do wszelkich innych owoców zaaklimatyzowanych.

Jeżeliby zatem jakaś gmina zastosowała powyższą zasadę na wielką skalę, to mogłaby mieć wszelkie owoce i warzywa miejscowe i egzotyczne kosztem kilkudziesięciu godzin pracy rocznie każdego członka.

Są to fakty, które można sprawdzić zaraz. Niech tylko jakaś grupa robotników przerwie na parę miesięcy swą pracę nad wytwarzaniem przedmiotów zbytku i weźmie się do przekształcenia równiny Gennevilliers (100 hekt.) pod Paryżem w ogrody warzywne, z których każdy posiadałby ogrzewane cieplarnie dla ochrony młodych roślin. Niech prócz tego pokryje rzędami ekonomicznie zbudowanych cieplarń owocowych jeszcze pięćdziesiąt hektarów, pozostawiając szczegóły urządzenia doświadczonym ogrodnikom i warzywnikom.

Opierając się na przeciętnych danych z Jersey, t. j. przyjmując, że uprawa pod szkłem wymaga — 8 robotników na hektar, t. j. około 24.000 godzin pracy rocznej, możemy powiedzieć, że na te 150 hekt. trzebaby użyć około 3.600.000 godzin pracy, którą mogłoby wykonać stu ogrodników fachowych, przy pomocy niespecjalistów, umiejących się jednak obchodzić z motyką, grabiami, sikawką i obsługą palenisk.

Plony tej pracy wystarczyłyby, jak widzieliśmy, dla zaopatrzenia we wszelkie zwykłe i zbytkowne owoce i jarzyny conajmniej 75.000 — 100.000 ludzi. Przyjmijmy, że pośród nich

znalazłoby się 36.000 chętnych do pracy w ogrodach. Na każdego przypadłoby sto godzin pracy w ciągu całego roku. Praca ta stałaby się odpoczynkiem, spędzanym wśród przyjaciół i dzieci w pysznych ogrodach, piękniejszych prawdopodobnie od legendarnych ogrodów Semiramidy.

Oto bilans niezbędnej pracy dla uzyskania w obfitości owoców, bez których dzisiaj musiemy się tak często obywać, oraz jarzyn, które tak wiele matek musi skrupulatnie wydzielać członkom swej rodziny, wobec haraczu kapitalistycznego, którym są obłożone.

Oh, jeśliby ludzkość była świadoma tego, co może i jeśliby ta świadomość dała jej siłę c h c e n i a*).

Jeśliby wiedziała, że lęk myślenia jest ową rafą podwodną, o którą rozbijały się dotychczas wszystkie rewolucje.

---

*) Reasumując dane, dotyczące rolnictwa, które wykazują, że mieszkańcy rozpatrywanych dwóch departamentów mogliby doskonale egzystować ze swego terytorjum, poświęcając nieznaczną ilość czasu na wytwarzanie żywności, otrzymamy zestawienie następujące:

Departamenty Seine i Seine-et-Oise:

Liczba mieszkańców w 1886 r.	3,600,000
Przestrzeń w hektarach	610,000
Przeciętna liczba mieszkańców na hektar	5,9
Pola zbożowe	200,000 hekt.
Łąki naturalne i sztuczne	200,000 „
Warzywa i owoce	od 7,000—10.000
Reszta (domy, drogi, parki, lasy)	200.000 hekt.

Ilość pracy niezbędnej dla uprawy i meljoracji tej przestrzeni w 5-cio godz. dniach pracy:

Zboża	15,000,000
Łąki, mleko, hodowla bydła	10,000,000
Warzywa i owoce zbytkowe	33,000,000
Prace nieprzewidziane	12,000,000
Ogółem	70,000,000

Przyjmując, że pracy na rolę oddaje się tylko połowa dorosłej ludności—to owe 70 miljonów pół-dni rozdzielone na 1,200,000 ludzi—da na osobę 58 pół-dni pracy.

Nie trudno objąć nowe horyzonty, otwierające się przed rewolucją społeczną.

Ile razy mówimy o rewolucji z poważnym robotnikiem, który widział w swem życiu głodne dzieci — to, zmarszczywszy brwi, z uporem powtarza: „A chleb. — Czy starczy chleba, gdy każdy jeść będzie do syta? A gdy wieś ciemna, ulegając reakcjonistom, ogłodzi miasta, jak to uczyniła w 1793— co wówczas?"

Niechaj wieś poprobuje. Wielkie miasta obejdą się bez wsi.

Co będą robić setki tysięcy robotników, którzy dziś duszą się po fabrykach i warsztatach, z chwilą wyzwolenia. Czyż i po rewolucji będą przesiadywać w zamknięciu? czyż nadal wyrabiać będą cacka zbytkowne, nawet wówczas, gdy chleb zacznie znikać, gdy mięso będzie coraz rzadsze, a jarzyny będą na wyczerpaniu?

Oczywiście, nie! Wyjdą z miasta pójdą w pole! Przy pomocy maszyn nawet najsłabsi wezmą udział w pracy ogólnej. Wniosą do gospodarki rolnej przeszłości niewolniczej rewolucję, dokonaną już w ideach i instytucjach.

Setki hektarów zostaną pokryte dachem szklanym i tu młode roślinki będą pielęgnowane przez delikatne ręce paryżan i paryżanek. Gdzieindziej setki hektarów zostaną zorane pługiem parowym i użyźnione przy pomocy nawozów sztucznych i skał sproszkowanych.

W rękach tej radosnej gromady rolników-amatorów pokryją się pola bogatemi plonami. Kierować pracami będą oczywiście zawodowi rolnicy, ale przedewszystkiem uczyni to wielki praktyczny rozum ludu, zbudzony z długiego snu, oświetlony promiennem światłem szczęścia powszechnego.

Już w dwa lub trzy miesiące wczesne zbiory przyniosą ulgę potrzebom najpilniejszym i zapewnią żywność ludowi, który po tylu wiekach oczekiwania będzie mógł nareszcie w zupełności zaspokoić swój głód.

A równocześnie genjusz narodowy, genjusz ludu zbuntowanego, świadom swych potrzeb — pracować będzie nad wypróbowywaniem nowych metod uprawy, które dziś zaledwie przewidujemy. Przeprowadzone zostaną próby ze światłem, tym czynnikiem jeszcze zapoznanym, dzięki któremu jęczmień dojrzewa w ciągu 45 dni w klimacie Jakuckim. Skoncentrowa-

ne światło słońca, lub światło sztuczne rywalizować będzie z ciepłem dla pędzenia młodych roślin. Jakiś Mouchot przyszłości wynajdzie maszynę, która będzie wykonywać pracę przy pomocy promieni słonecznych, zamiast, aby we wnętrzu ziemi szukać ciepła słonecznego w postaci węgla. Wybrobują nasycać grunt kulturami drobnoustrojów — myśl tak racjonalna, acz nowa, której urzeczywistnienie dostarczy roślinom komórek żyjących, potrzebnych zarówno dla odżywiania korzeni, jak i dla rozkładu cząsteczek gleby na składniki, mogące być przez rośliny zasymilowane.

Wyprobują... ale nie idźmy zbyt daleko, gdyż wkroczylibyśmy w dziedzinę fantazji. Pozostańmy na gruncie faktów ustalonych. Metody uprawy rolnej, stosowane już dziś w szerokich rozmiarach i które wyszły zwycięsko z walki konkurencyjnej, będą mogły zepewnić ludzkości dostatek, a nawet zbytek, wzamian za trochę pracy radosnej. Niedaleka przyszłość pokaże, jakie zastosowania praktyczne dadzą najnowsze odkrycia naukowe.

Co do nas to ograniczamy się do wytknięcia nowej drogi — drogi badania potrzeb i środków do ich zaspakajania.

Rewolucji zbraknąć może jedynie śmiałości inicjatywy.

Ogłupiani w szkołach, w wieku dojrzałym do samej śmierci—niewolnicy przeszłości, zaledwie odważamy się myśleć. Gdy zjawią się jakaś nowa idea, zanim wyrobimy sobie o niej własne zdanie, zwracamy się do ksiąg z przed stu lat, aby dowiedzieć się co o tem myśleli czcigodni mędrcy.

Jeżeli rewolucja zdobędzie się na śmiałość myśli i inicjatywy, to nie ma mowy, by zbrakło jej żywności.

Ze wszystkich wielkich dni rewolucji 1789 — 93 najpiękniejszym, najwznioślejszym, który na zawsze utkwił w umysłach, był ten, gdy przybyli zewsząd uczestnicy święta Federacji, pracowali przy robotach ziemnych na polu Marsowem, przygotowując go do święta.

W dniu tym Francja stanowiła jednię. Ożywiona nowym duchem, jakby przewidywała przyszłość, jaka otwiera się przed nią we spólnej pracy nad uprawą ziemi.

I właśnie ta spólna praca na roli zjednoczy wyzwalające się społeczeństwo, przekreślając nienawiści i jarzma, które je przedtem dzieliły.

Nowe społeczeństwo, świadome potęgi solidarności, tej dźwigni, wzmagającej stokrotnie energję i siły twórcze człowieka — kroczyć będzie z młodzieńczą energją ku zdobywaniu przyszłości.

Przestanie wytwarzać dla nieznajomego rynku, a będzie zaspakajać potrzeby i upodobania własnego środowiska: zabezpieczy wszystkim swym członkom podstawy dla życia pełnego i dobrobytu, dając im równocześnie zadowolenie moralne z pracy dobrowolnie wybranej i spełnianej bez przymusu, oraz radość z życia, które nie przynosi szkody innym. Pełni odwagi, przepojeni poczuciem solidarności, wszyscy razem skierują swe wysiłki ku zdobywaniu rozkoszy, jakie daje wiedza i twórczość artystyczna.

Społeczeństwo, ożywione takiemi uczuciami, nie potrzebuje obawiać się ani rozterek wewnętrznych, ani wrogów zewnętrznych. Siłom przeszłości przeciwstawi swe przywiązanie do nowego porządku rzeczy, śmiałą inicjatywę każdego i wszystkich, siłę herkulesową, jaką zrodzi przebudzony genjusz narodu.

Wobec tej siły niepokonanej „zjednoczeni monarchowie" będą bezsilni. Będą musieli uchylić się przed nią i wprząc się do ogólnego rydwanu Ludzkości, zmierzającego ku nowym światom, odsłoniętym przez rewolucję społeczną.

KONIEC.



SPIS RZECZY.

		str.
	Przedmowa do II-go wydania polskiego	
I.	Nasze bogactwa	1
II.	Dobrobyt dla wszystkich	11
III.	Komunizm anarchistyczny	20
IV.	Wywłaszczenie	30
V.	Żywność	42
VI.	Mieszkanie	64
VII.	Odzież	72
VIII.	Cel i wydajność produkcji	75
IX.	Pragnienie zbytku	81
X.	Praca radosna	95
XI.	Wolne porozumienie	103
XII.	Zarzuty	117
XIII.	Praca najemna w społeczeństwie kolektywistycznem	133
XIV.	Spożycie i produkcja	148
XV.	Podział pracy	155
XVI.	Decentralizacja przemysłu	158
XVII.	Rolnictwo	167

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

K.C. P.P.R. BIBLIOTEKA

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
57486/2